

De II 1
Tom CLXXVIII.

Zeszyt 708.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

ROK CZTERDZIESTY PIĄTY.

KWIECIEŃ.

1886.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera.
Elektoralna Nr. 14.

Ukończono druk dnia 5 Kwietnia.

TREŚĆ.

stron.

I. Pessimizm i wszechwładza państwa. Przez Eugeniusza Lipnickiego	1
II. Z psychologii empirycznej. (Pamięć, Wola, i Osobowość wedle T. Ribot). Przez S. Smolikowskiego	30
III. Dobry uczynek. (Nowelka). Przez T. Zygmunta.	48
IV. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—Uroczystość w Akademii francuzkiej: Przyjęcie pana Halevy: mowa p. Pailleron.— „Wspomnienia z lat sześćdziesięciu,” przez Ernesta Legouvé. — „Lotaryngia,” dzieło ilustrowane. — „Raporta Bartłomieja Sturmera,” komisarza austryackiego na wyspie Świętej Heleny, wydane w Wiedniu.—Nowy akademik Lecomte de Lisle.—„Rok 1802,” dyalog umarłych, na cześć Wiktora Hugo, przez Renana. — Wagner i Lohengriny. — „Komedjanci w średnich wiekach we Francyi,” p. profesora Sorbony Petit de Julleville. — Nowe kartony pana Andriolego: „Koncert nad koncertami” z Pana Tadeusza.—Pomnik grobowy pani Tamberlick, dłuta pana Cypryana Godebskiego	59

V. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.

„Pamiętnik fizyograficzny,” tom V za rok 1885. Wydawcy E. Dziewulski i Br. Znatowicz. Warszawa, druk E. Skińskiego. 8-ka wielka, arkuszy 38, stronic 607, tablio litograficznych 24. Przez A. W.	85
Histoire de la litterature portugaise depuis ses orgines jusqu'à nos jours par Loiseau Paris 1886, stronic 409. Przez J. A. Świącickiego.	96
„Il Libro dell' Amore.”—Poesie italiane raccolte, e straniere raccolte e tradotte, da Marco Antonio Canini (volume 1). Venezia, 1885. Przez Kazimierza Kaszewskiego	111
VI. Korespondencya I-sza. P. Biggs z P. M. Wentz'l i II-ga. Niemieckie Towarzystwo w Poznaniu z P. Callier.	115
VII. Kronika miesięczna. — Kilka słów o stosunkach publicznych w Europie. — Wzburzenia socjalistyczne we Francyi, Anglii i Belgii.—Zachmurzony horyzont polityczny z powodu niepewności stosunków na wschodzie.—Dalszy ciąg robót anti-ekonomicznych i anti-społecznych w Prusach, oświetlonych przez smutne dla nas dane statystyczne o stosunku polskiej własności ziemskiej do niemickiej w W. ks. Poznańskiem i w Prusach zachodnich. — Ostrzegający głos Ferdynanda ks. Radziwiłła w Izbie panów dnia 27-go lutego 1886. —Przyczyny fałszywej opinii prasy europejskiej o zasadniczych id-	

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 178.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

1886.

—
Tom drugi.

WARSZAWA.
W Drukarni Józefa Bergera,
Ulica Elektorska, Nr. 14.

—
1886.



De. II 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 24 Марта 1886 г.

PESSYMIZM

I

WSZECHWŁADZA PAŃSTWA,

PRZEZ

Eugeniusza Lipnickiego.

Pessimizm, uważający naturę ludzką jako zasadniczo złą i przewrotną, a optymizm, uważający ją jako dobrą, są to dwa sprzeczne poglądy, jak świat stare. Do wysokości filozoficznego systemu podniesionym został dotąd tylko pessimizm i to przez myślicieli szczepu germańskiego, najprzód przez Tomasza Hobbesa w zastosowaniu do teorii państwowych, przez Darwina w zastosowaniu do całego świata organicznego, wreszcie przez Schopenhauera i Hartmanna w zastosowaniu do filozofii w ścisłym znaczeniu tego wyrazu.

Z domniemaną przewagą złego pierwiastka w świecie logicznie wynika teorya „walki o byt,“ w której zwycięstwo należy się silniejszemu. Aby jednak nie zrażać tak zwanych przesądów, rzeczywistość zaś wrodzonego naturze ludzkiej poczucia sprawiedliwości, filozofia pessimizmu stroi owego silniejszego zwycięzcę w różne przymioty dodatnie i dowodzi potem, że upadek lub wytopienie żywiołów słabszych przez silniejsze, które już przez to samo są też lepsze i zdolniejsze, najpotężniej służy dobru powszechnemu!

W zastosowaniu do spraw społecznych, państwowych i międzynarodowych, pessimizm wyprowadza z przewrotnej natury ludzkiej pierwiastkową „wojnę wszystkich z wszystkimi.“ Co może tej wojnie położyć koniec? Albo zniszczenie świata, poczem już nie będzie sposobności do walki, jak twierdził w pewnej fazie filozof berliński Hartmann; albo też żelazna ręka wszechwładnego państwa, jak twierdzi Hartmannu dzisiejszy za wzorem starego filozofa angielskiego Hobbesa. Cto jeden kierunek pessimizmu energiczny, pozytywny i dogmatyczny. Drugi kierunek

bierny, negatywny i blisko spokrewniony z buddyzmem indyjskim reprezentuje Artur Schopenhauer. Jeżeli natura ludzka z urodzenia jest przewrotna, jeżeli zatem społeczeństwa „składają się w $\frac{5}{6}$ z łotrów, oszustów lub głupców,“ natenczas wyjątkowy człowiek rozumny i uczciwy najmędrzej sobie postąpi, gdy usunie się do zacisza i unikać będzie wszelkiej styczności z ludźmi i z państwem. W praktyce teoria ta znowu prowadzi do nieograniczonej władzy; bo jeżeli wszyscy ludzie rozumni i uczciwi usuną się od życia publicznego, cesar albo młotłoch opanują łatwo państwo. W stosunku międzynarodowym, dla którego optymiści, jak Hugo Grotius lub Bernardin de Saint-Pierre, zalecali bądź to pewne prawa moralne, bądź wyższy związek, strzegący praw pojedynczych państw, t. j. słabszych przeciwko mocniejszym, pesymizm z natury rzeczy nie może uznawać innej zasady jak tylko prawo mocniejszego czyli siłę przed prawem, albo też żelazną dyktaturę, czyli tak zwaną monarchią uniwersalną.

Byłoby przesadą, gdybyśmy chcieli twierdzić, że wyłącznie szczep germański praktykował w życiu państwowym i międzynarodowym zasady pesymizmu. Przedewszystkiem jednak sformułowali go naukowo myśliciele tego szczepu. Już w pogańskiej mitologii germańskiej z jej brutalnemi i bratobójczemi walkami bogów, żywo się odzwierciedla przyrodzony kierunek pesymistyczny tego szczepu. Przeważa on też w dziejach. Jeżeli są pewne „króle-duchy,“ które w sobie niejako uosobniają cnoty i wady swego narodu i czasu, to np. tak fenomenalne osobistości, jak Aleksander W., Juliusz Cezar, Ludwik XIV-ty lub Napoleon I-szy, którzy pomimo krwawych śladów, jakie pozostawili za sobą, przekazali nam jednak także pamięć niektórych czynów, wyływających z wspaniałomyślności, miłosierdzia i miłości bliźniego. Natomiast każdy król-duch germański, od najdawniejszych czasów do Barbarossy, Cromvella, Gustawa Adolfa, Fryderyka W. i ks. Bismarcka, zdawał się być uzbrojonym potrójnym pancierzem pogardy względem ludzi i przeciwko wymienionym szlachetniejszym ich uczuciom.

To też teorii i praktyki pesymizmu, w zastosowaniu do spraw państwowych, nigdzie dokładniej badać nie można, jak w książkach autorów i w czynach bohaterów szczepu germańskiego.

Zaczynamy te badania od najmniej znanego Hobbesa, aby następnie przejść do Schopenhauera i Hartmana.

I. Tomasz Hobbes.

I. „Libertas.“

Tomasz Hobbes urodził się 5-go kwietnia r. 1588 w Malmesbury, z ojca pastora. Był to ów rok pamiętny, w którym przygotowany od dawną przez Filipa II-go cios śmiertelny miał ugodzić w Anglię. Powszechna trwoga, z którą tam wyglądano nadejścia groźnej „armady“ hiszpańskiej, ogarnęła także pastorową w Malmesbury

i spowodowała przedwczesny połów. Pozostało to jednak bez ujemnych następstw dla ciała i umysłu dziecięcia. Wcześniej rozwinięty chłopiec z łatwością nauczył się języków starożytnych, potem na wszechnicy oksfordzkiej słuchał logiki i nauk przyrodniczych. Urzędownie panowała jeszcze scholastyka i metoda arystotelesowa, ale nowy empiryczny kierunek Bacona oddziaływał już na wszechnice angielskie. Do nauk prawniczych, jak się zdaje, przyszedł filozof i statysta nie przykładał się. Atoli spory o materje państwowe tak silnie wtedy zaprzętały naród angielski, że musiały wcześniej oddziaływać na umysł Hobbesa.

Już w ostatnich latach panowania Elżbiety wszczęły się spory w parlamencie. Jednak niezwykła popularność dopisała jej aż do śmierci. Ale w r. 1603 wstąpił na tron Jakób I-szy, syn nieszczęśliwej Maryi Stuart, pedant, rubaszny, głęboko przekonany o swęj naukowej i umysłowej wyższości, a jednak zmieniający co chwila zdanie, do rozrzutności hojny dla dworaków i lubiący okazałość, ztąd ciągle narażony na kłopoty pieniężne. O władzy królewskiej miał pojęcia najprzesadniejsze. „Półbogiem“ nazywa króla w swych przepisach dla syna. Przybywszy do Londynu, rzekł do posła francuzkiego: „Jestem nieograniczonym monarchą w mojem państwie, jak wasz król, i w niczem niezależny od rady lub postanowień mych poddanych.“ Do parlamentu zaś 1604 r. przemówił w te słowa: „W Szkocyi słuchano mnie nietylko jako króla, lecz także jako doradcę. Tu od rana do nocy nicują moje wnioski. Tam wszystko, co zalecałem, chętnie przyjmowano, tu wszystko podawają w podejrzenie. Postępujecie sobie często bez rozważa. Używajcie na przyszłość waszjęj wolności z większą skromnością.“ Swój ideał państwowy widział urzeczywistniony w despotycznej Hiszpanii, którą przeto pokochał i z którą, wbrew życzeniom narodu angielskiego, sprzyjającego holandczykom, zawarł pokój (28 sierpnia 1604 r.). Rozrzutność dworu wypróżniała kasy królewskie, parlament okazywał się skąpym, król począł nakładać podatki bez przyzwolenia parlamentu i tēm wskrzesał najdrażliwsze spory konstytucyjne.

Takie było położenie w Anglii, gdy Tomasz Hobbes, skończywszy nauki uniwersyteckie, w r. 1607 jako mentor młodego hrabiego Devonshire, wyjechał do Francyi, gdzie wszedł w stosunki z znakomitymi uczonymi. Powróciwszy do Anglii, aby dzięki wsparciu swego protektora oddać się dalszym studjom, postanowił wznieść system filozofii na nowych podstawach, czytał pilnie pisarzy greckich i rzymskich, i spisywał sobie notatki. Przy tēm nie pozostawał, jak Archimedes, głuchy na wzmagający się zgietk sporów politycznych, lecz ogłosił przekład dziejów Tucydidesa (1628) w wyraźnym zamiarze ostrzeżenia swych ziomek przed demokracją. Walka bowiem pomiędzy tronem a stronnictwem ludowem czyli „purytańskim“, stawała się z każdym dniem namiętniejszą. Rojaliści dobitnie podnosili teorią nieograniczonęj władzy królewskiej. Konwokacya duchowna

r. 1606 wygłosiła zasadę bezwzględnego posłuszeństwa. Wydany w r. 1607 i przypisany arcybiskupowi Bancroftowi słownik prawniczy, wystawiał króla jako „absolutnego,” stojącego „ponad prawem,” i przyznawał mu, pomimo przysięgi koronacyjnej, prawo „zmienić lub znieść ustawy.” Równą miarą wzrastał opór. W zimowej sesji parlamentu r. 1610/11 pojawiła się poraż pierwszy teorya, że wybranej przez naród Izbie poselskiej przysługują wyższe prawa, niż w Izbie panów, złożonej w części z zamianowanych przez króla członków. Już w lutym 1611 r. parlament rozwiązano. Przy wyborach r. 1614 opozycja odniosła stanowcze zwycięstwo, rozpoczęły się zatargi pomiędzy dwiema Izbami, po 2-ach miesiącach król Izbę poselską rozwiązał, czterech przywódców opozycji wtrącił do Toweru. Ale opór stawał się coraz powszechniejszym. Gorszące wypadki mnożyły się w kołach dworskich. Wszystko u dworu zdawało się być sprzedajnym: prawo i honor, urzędy i godności, łaska mężczyzn i miłość kobiet! Projekt związku królewicza Karola z infantką i kłeska zięcia królewskiego, falgrafa Fryderyka pod Białą górą, uważana jako zwycięstwo znieprawionej Hiszpanii, wywołały dosadnie kroki ze strony otworzonego 30-go stycznia r. 1621 parlamentu. Izba gmin uchwaliła ostrą rezolucyą przeciwko błędnej polityce zagranicznej i zepsuciu u dworu; kanclerza Bacona, wielkiego uczonego, ale nikiemnego człowieka, oskarżyła o sprzedajność i zmusiła do ustąpienia. Tymczasem projekt związku królewicza z infantką rozbił się, Karol i faworyt jego Buckingham zapłonęli żądzą wojny przeciwko Hiszpanii, król uległ temu prądowi i nastąpiło zbliżenie się do parlamentu. W r. 1624 parlament uchwalił subsydia na wojnę, przeciwnego wojnie ministra skarbu hr. Middlesexa, oskarżył o sprzedajność i złożył z urzędu. Uradowanego upadkiem swego osobistego przeciwnika księcia Buckingham, król strofował trafnym ostrzeżeniem: „Głupcze, sam kręcisz bicz na siebie.” Dumny z swego zwycięstwa parlament wysłał ostre napomnienie do króla, który wkrótce potem, 27-go marca 1625 roku, umarł.

Następca jego 25-cio letni Karol I-szy, miał wrodzony pociąg do intrygi i do tajnych zastrzeżeń przeciwko czynionym publicznie obietnicom. Wada ta unieważniała wszelkie jego przymioty. Nieszczęrość w słowach i czynach była tém niebezpieczniejszą, ponieważ albo nie był jój świadom, albo uważał ją jako uprawnioną. Sam mało-mówny, moralny, porządny, jak później Ludwik XVI-ty, ulegał gadatliwemu, wyuzdanemu i marnotrawnemu faworytowi księciu Buckinghamowi. Zebrany 18-go czerwca r. 1625 najprzód w Londynie, potem z powodu zarazy w Oksfordzie parlament natychmiast rozpoczął walkę przeciwko dworowi, zwłaszcza przeciwko ks. Buckingham. „Rządowi—wołał poseł sir Robert Phelps—nie dostaje dobrej rady; władza stała się monopolem.” Przykładami z dziejów Anglii dowodzone, że minister jest odpowiedzialny parlamentowi. Sarkano na zachcianki absolutystyczne. „Jesteśmy ostatnią monarchią — woła

wymieniony sir Phelips, — która przechowała swe pierwotne prawa i pierwotną konstytucyą.“ Już 12-go sierpnia król rozwiązał parlament. Tymczasem obie strony wojowały ze sobą powodzią broszur i pamfletów.

Musieliśmy nieco obszerniej nakreślić to tło polityczne, bo inaczej niepodobna zrozumieć rozwoju teorii Hobbesa o wszechwładzy państwa. Nie mogło być rzeczą wątpliwą, po której stronie w tej walce stanie Tomasz Hobbes? Temperamentu flegmatycznego, wolny od uczuć namiętnych, utrzymujący się z łaski możnych, trybem życia oddzielony od szerszych warstw narodu, nie dotknięty jego troskami, nie dzielący jego życzeń, Epikurejczyk albo Schopenhauer XVII-go stulecia, miłujący tylko sam siebie i łaknący przedewszystkiem spokoju—nie mógł inaczej, jak oświadczyć się za nieograniczoną władzą. Bo ta tylko zdawała się być zdolną uśmierzyć waśnie, które się stawały coraz namiętniejszemi, i zapewnić pokój i porządek publiczny. Zajęty głównie formułkami matematyczno-filozoficznymi, Hobbes wprawdzie mało uwagi poświęca dziejom ¹⁾. W głównych zarysach przecież nie były mu obce. Otóż cały XVI-ty wiek był okresem powszechnej walki. Walczyła nowa wiara ze starą, wolność obywatelska z despotyzmem, żywioły federacyjne i autonomiczne z centralizacją i niwelacją. Różne te prądy ścierają się ze sobą słowem i orężem. Nauka, poezya, dowcip, wymowa, stawają w służbie walki, przegłoszane zgiełkiem broni. Walczą ze sobą państwa, a wojny domowe nie schodzą z porządku dziennego. Czasy to krwawych zbrodni i dzikich czynów. Tu innowiercy płoną na stosie, tam władcy, Wilhelm Oranii (1589), Henryk III (1589), Henryk IV (1610) giną od sztyletu fanatyka!...

Myśliciel, wierzący w dobroć natury ludzkiej a zatem też w stopniowy postęp, byłby ten okres wojny wszystkich z wszystkimi uważał jako wykolejenie ludzkości z drogi, przepisanej przez prawo przyrodzone, jako stan nienaturalny i zamieszanie chaotyczne, z którego w końcu pierwiastki dobre, wyjdą zwycięzko. Pessimista, jak Tomasz Hobbes, wyrozumiał, że właśnie ta powszechna wojna jest stanem przyrodzonym ludzkości i że przywrócić spokój, może jedynie nieograniczona władza. „Iluż to zacnych królów — powiada w wstępie do dzieła „De cive“—zostało pozbawionych życia jedynie skutkiem zbrodniczej nauki, że wolno zabić tyrana? Iluż ludzi utraciło życie wskutek błędnego mniemania, że władzca z pewnych powodów przez pewne osoby może być strącony z tronu? Iluż na zgon naraziła błędna teorya, że królowie nie są panami, lecz sługami narodu? Ież zaburzeń wywołała teorya, że sąd o prawowitości rozporządzeń królew-

¹⁾ II. Grotius, proszony przez młodego człowieka o książkę, z której mógłby się nauczyć polityki, odpowiedział: „Weź księgę białego papieru i idź w świat. Zapisuj uważnie wszystkie publiczne wypadki, a przytém czytaj dawne dzieje.“

skich przysługuje osobom prywatnym? Filozofowie starożytni przewidywali to, woleli więc, aby nauka publicznego prawa była ubierana w szaty mitologii, aniżeli narażona na publiczne rozstrząsania. Zanim zaczęto roztrząsać podobne kwestyc, królowie nie tylko przypisywali sobie najwyższą władzę, lecz używali jęj. Bronili jęj nie rozumowaniami, lecz karami na przestępców, opieką dla sprawiedliwych; obywatele zaś prawo sądzili nie według mów osób prywatnych, lecz według ustaw państwa; pokój bywał zabezpieczony nie publicznymi rozprawami o prawie, lecz siłą władzy; najwyższą władzę, czy spoczywała w ręku osoby czy grona, czczono jakby bóstwo. Dla tego ambitni i nikczemi ludzie nie znajdowali, jak teraz towarzyszy do obalenia ustaw państwowych; nie pojmano, jak można chcieć znosić nawet to, na czém polega własne utrzymanie, bo prostota owych czasów nie była zdolna zrozumieć takiego uczonego głupstwa ¹⁾. Panował więc pokój i wiek złoty, który się skończył wtedy, gdy powstała nauka, że wolno i przeciwko królom wziąć się do broni.“

Oprócz sporów domowych, z których miała niebawem wyniknąć wielka rewolucya angielska, głównie przykład wracającej po długim zamieszaniu do nieograniczonej władzy Francyi, wpłynął na rozwój teoryi Hobbesa. Jako towarzysz młodego hr. Cliftona r. 1629 zawiątał powtórnie do Paryża, gdzie studyował geometryą Euklida i przyswoił sobie tegoż niesmaczną metodę matematyczną. Z młodszym hrabią Wilhelmem Devonshire r. 1631 poraz trzeci przybył do Paryża, gdzie się zaprzyjaźnił z epikurejczykiem Piotrem Gassendim (1592—1655) i z O. Maryanem Mersenne'm, jednym z koryfeuszów empiryzmu. W r. 1637 powrócił do Anglii, ale z obawy przed wzmagającą się walką stronnictw, w r. 1640 poraz czwarty przeniósł się do Paryża, gdzie w gronie uczonych przyjaciół, do których przyłączył się Descartes, poświęcał się pracom filozoficznym, a królewiczowi Karolowi, późniejszemu królowi II-mu tego imienia, udzielał lekcyi filozofii i matematyki.

Za każdym nowém przybyciem do Francyi, spostrzegał postęp prądu centralistycznego i absolutystycznego. Od r. 1629 w imieniu Ludwika XIII-go samowładnie rządził kardynał Richelieu, żelazną ręką druzgocąc wszelki opór, czy to możnych, nie wyjąwszy brata królewskiego, czy hugonotów, usuwając z ustroju państwowego dawne sejmy (états généraux), nie zwoływane już od roku 1614, pozbawiając znaczenia parlamenty (trybunały sądowe), słowem, wskrzeszając nieograniczoną władzę. Francya wtedy, korzystając zrecznie z zamieszek u sąsiadów, śmiało zajmowała pierwsze wśród wielkich mocarstw miejsce, z którego zwolna ustępowała Hiszpania. Wtedy to, „widząc ojczyznę zakłóconą zapowiadającemi blizką wojnę domową sporami o prawie władzców i posłuszeństwie obywateli,“ Tomasz Hobbes wydał w Paryżu, z razu w szczupłej liczbie egzemplarzy dla znajomych,

1) Odnosi się to do komunistycznej sekty „Lovellerów.“

swę „Elementa philosophica de Cive“ (1642). Drugie, przeznaczone dla ogółu wydanie z dedykacją dla hr. Devonshire, datowaną z Paryża 1-go listopada 1646, wyszło w roku następnym w ówczesnej metropolii ruchu księgarskiego Amsterdamie ¹⁾.

Niedługo potem (1650) wydał w Londynie dzieło: „Leviathan, or the matter, form and authority of government,“ ciekawe o tyle, że tam swemu ideałowi państwowemu nadał trafne imię biblijnego potwora, Leviathana. Co do treści „Leviathan“ jest tylko rozwoduńczeniem zasad, wypowiedzianych w dawniejszém piśmie „de Cive,“ ale wydany w języku angielskim, zwrócił powszechną uwagę na autora i ściągnął nań nienawiść wyższego duchowieństwa, które go oskarżyło przed Karolem II-im o bezbożność. Wskutek tego musiał opuścić dwór królewicza i Paryż, w r. 1652 powrócił do Anglii, gdzie podczas panowania Cromwella spokojnie żył na jednym z majątków dawnego wychowawca swego, hrabiego Devonshire, utrzymując ścisłe stosunki z Herweyem, Seldenem, Cowlejem i innymi uczonymi, i zajęty pracami matematycznymi i fizykalnymi, tudzież polemikami ²⁾. Umarł bezżenny 4-go grudnia 1679 r. w Hardville, włości hr. Devonshire, przeżywszy lat 91.

Obok urozmaiconego i ożywionego mnóstwem trafnych cytatach z pisarzy greckich i rzymskich pomnikowego dzieła „de jure belli ac pacis“ Hugona Grotiusa, i obok zachwycających deklamacyi J. J. Rousseau, książka „de cive“ pod względem wykładu zajmuje bardzo niskie miejsce. Wierny ulubionej metodzie geometrycznej, Hobbes wszelkie zalety stylu poświęcił rubasznej jasności. Prawda, że nie można dobitniej, niż to uczynił, z fałszywej przesłanki wyprowadzić logicznych wniosków. Człowiek jest z natury przewrotnym, powstaje przeto walka powszechna, którą kończy i zabezpiecza pokój wszechwładne państwo! Oto w krótkich słowach filozoficzno-państwowa teoria Hobbesa. O modnym wówczas pierwostanie („état de nature,“ „Naturzustand“) traktuje w pierwszej części dzieła swego, noszącej napis „libertas,“ co tu znaczy tyle co swawola, rozwiązłość, anarchia,

¹⁾ Dzieło „de cive“ stanowi trzecią część systemu filozofii Hobbesa. Pierwsza „de corpore“ wyszła w Londynie dopiero 1655 r.; druga „de homine,“ tamże, 1658 r. Już w r. 1649 wyszedł przekład francuzki dzieła „de cive“ przez p. Sorbiera. Pomnikowe dzieło Hugona Grotiusa „de jure belli et pacis,“ na które przyjdzie nam niekiedy odwołać się, wyszło w Paryżu r. 1625, a zatem w 17 lat przed pierwszym wydaniem dzieła „de cive.“ „Lo contrat social“ J. J. Rousseau wyszedł w Paryżu 1762 r.

²⁾ W r. 1654 wydał rozprawę „O wolności i konieczności,“ w której, co zresztą logicznie wynikało z jego systemu, negował wolną wolę. Dr. John Bramhall, biskup Derby, wystąpił w obronie wolnej woli („délense de la vraie liberté“ etc.). Hobbes odpowiedział pismem „Quaestiones de libertate, necessitate i t. d., 1656 i t. d.“

i wszelka zgroza. Przypisanie wyrazowi „libertas“ tak ujemnego znaczenia nikogo nie zadziwi, kto pozna ideał państwowy Hobbesa. O uzasadnienie swęj przestanki nie starał się. Mógł to uczynić albo a priori, jak później Schopenhauer, podnosząc jednostronnie wszystkie ujemne strony charakteru ludzkiego, i wykazując w ten sposób, że człowiek jest najnikczemniejsze i najokrutniejsze stworzenie pod słońcem; albo też empirycznie, zbierając dowody z życia ludów pierwotnych, dzikich i nie ujętych jeszcze w karby państwowe, gdzie zapewne mógł znaleźć niejedyn fakt, jakiego potrzebował, choćby ich można odszukać więcej na poparcie przeciwnęj teoryi.

Ale Hobbes wybrał drogę wygodniejszą, powołując się po prostu na stosunki społeczne, a mianowicie angielskie. „Na pierwszym miejscu—powiada w wstępie—kładę powszechnie znany z doświadczenia pewnik, że ludzie, gdyby ich nie hamowała bojaźń przed władzą, podejrzewaliby się ciągle i bali przed sobą, oraz że każdy, o ile starczą siły, może i chce się bronić przed drugim. Niektórzy temu przeczą. Atoli widzimy, że wszystkie państwa, nawet w czasie pokoju, zabezpieczają swe granice warowniami i załogami, miasta wałami, rowami i bramami. Po co, gdyby się nie obawiano sąsiadów? Nawet wewnątrz państw, gdzie istnieją prawa i kary na przestępców, nikt nie wyjedzie w podróż bez broni, ani się uda na spoczynek, zanim zamknięto bramy przeciwko spółobywatelom; wszakże nawet w obec domowników używamy zamków i zapór. Czyż ludzie mogą dobitniej objawiać swą wzajemną nieufność? Tak czynią państwa i jednostki. Tylko w słowach przeczy się temu i z nałogu sprzeciwiania się drugim, sami sobie kłam zadajemy.“ Jeżeli to wszystko było trafnym odnośnie do stosunków społecznych, czyż niem było także w zastosowaniu do pierwostanu, kiedy jeszcze nie znano miast, warowni, zamków i kluczy? „Rozprawiając ciągle o potrzebach, chciwości, ucisku, ambicyi i dumie, przenosimy do stanu natury wyobrażenia, zaczerpnięte z terażniejszości; mówimy nibyto o człowieku pierwotnym a malujemy człowieka, będącego członkiem terażniejszego ust. oju społecznego i państwowego“¹⁾. Gdy pesymista Hobbes w spiczonych stosunkach społecznych szuka przykładów na wyjaśnienie przyrodzonej przewrotności ludzkiej, optymistą J. J. Rousseau działa odwrotnie. Myśliciel francuski pisał wtedy, gdy absolutystyczne marzenia Hobbesa niemal w całej Europie były rzeczywistnione. Świat nie tak się przeto lepszym, lecz raczej gorszym. Czyliż ztąd Rousseau wywodził wnioski, że natura ludzka musi być istotnie przewrotna? Nie, sądził, że spaczoną instytucjami społecznymi i państwowymi, tudzież dziejami ludzkość trzeba odświeżyć, wracając do zdrowszych zasad i zwyczajów pierwostanu, czyli do owęj „libertas“, którą w tak czarnym świetle wystawił Hobbes. Nadto było niedorzecznością, opiera-

¹⁾ Jean Jacques Rousseau: „Discours sur l'origine de l'inégalité parmi les hommes.“

jąc się głównie na stosunkach angielskich, wyprowadzić ztąd ogólny system filozofii. O Anglii trafnie zauważył Montesquieu: „duch tego narodu sprawia, że mniej się zajmuje własnem szczęściem, niż zazdrością na powodzenie drugich; zazdrość jest główną cechą charakteru angielskiego, czego dowodzą między innymi wszystkie handlowe i marynarskie ustawy angielskie.“ Ale, jak to już zauważył starożytny pisarz Porphyzjus, „niektóre narody zdziczały i stały się nieludzkimi; sprawiedliwy sędzia ich winy nie powinien kłaść na karb natury ludzkiej“.

Oprócz nie dowodzących niczego przykładów, zaczerpniętych z stosunków spółczesnych, mianowicie angielskich, Tomasz Hobbes na poparcie swój przesłanki, stawia dogmat: człowiek, nie posiadający wolnej woli, działa z konieczności, a powoduje się jedynie miłością własną, a zatem: to żądzą, to obawą. Nieprawda—był odpowiedział na podobne twierdzenia Aristippa i Epikura, wierzący w cnoty ludzkie Hugon Grotius: „Człowiek bowiem jest stworzeniem (animans), wyższego rodzaju od wszystkich innych. Pomiedzy odróżniającami ludzi od innych stworzeń właściwościami, znajduje się pociąg do towarzystwa (appetitus societatis), nie tylko do jakiegobądź spółności, lecz do owego spokojnego i rozumnie uporządkowanego spółnictwa z bliźnimi, co stoicy zwali *Oikeiow*. Zdanie, że każde stworzenie szuka tylko swój korzyści, nie jest w tej ogólności trafnym. I tak u dzieci z natury objawia się pewna skłonność do dobroczynności, którą już obserwowwał Plutarch, tudzież przyrodzone miłosierdzie. Człowiek dożył z owym popędem towarzyskim, do którego sam jeden pośród innych stworzeń posiada narzędzie stosowne w mowie, łączy zdolności działania według ogólnych prawideł, czém znowu różni się od innych stworzeń. Ten odpowiadający rozumowi ludzkiemu popęd towarzyski jest źródłem (naturalnego) prawa, do czego należy poszanowanie cudzej własności, zwrócenie jój, dotrzymanie obietnic, naprawienie wyrażonej krzywdy i ukaranie przestępcy“¹⁾.

Podobnie Jean Jacques Rousseau podnosi wielkie znaczenie mowy, jako czynnika towarzyskiego, a spółczucie uważa jako podstawę wszystkich innych cnót, których odmawiają ludziom: „En effet qu'est ce que la générosité, la clémence, l'humanité, si non la pitié appliquée aux faibles, aux coupables ou à l'espèce humaine en général?“

U szczepu germańskiego, jak uczą przeszło tysiącletnie dzieje, to uczucie miłosierdzia, miłości bliźniego, ujęcie się za bliźnim, a co dopiero poświęcenie się za niego, było zawsze nieznanem. Wprawdzie jednostki, podniosszy się ponad poziom szczepowego samolubstwa, mogły niekiedy okazać się zdolnemi do miłości bliźniego i poświęcenia się, ale zbiorowo, jako szczep, germanie nigdy nie zaznaczyli tej zdolności²⁾. Jeżeli niekiedy pod wpływem ogólnych prądów

1) „De jure belli ac pacis,“ prolegomena § 6—8.

2) Zaznaczyli ją niejednokrotnie francuzi, choć znano słowa Salvant-

zaczęli przynajmniej w słowach ujmować się za uciśnionymi, wywołało to natychmiast ostre napomnienie ze strony tych, których uważać trzeba jako najznakomitszych reprezentatów germańskiego ducha narodowego. Angielski pesymista pozostał więc wierny duchowi germańskiemu, gdy zaprzeczając ludziom wszelkich cnót, egoizm uznał jako jedyną pobudkę ich czynów.

„Prawie wszyscy pisarze—powiada w § 2-im rozdziału o „wolności,”—którzy traktowali o początkach państwa, przypuszczają lub twierdzą, że człowiek posiada przyrodzone uzdolnienie do życia towarzyskiego, co grecy zowią—*ζῶον πολιτικόν*. Na tém przypuszczeniu opierają swą teorią państwową ¹⁾. Błędne to mniemanie wynika z zbyt powierzchownego badania natury ludzkiej. Głębiej się zastanawiając nad powodami, z którą łączą się ludzie, łatwo zrozumiemy, że nie dla tego, aby z przyrodzenia inaczej nie mogli, lecz z przyczyn postronnych. Gdyby człowiek z przyrodzenia kochał drugiego, dla czegożby każdy nie kochał równym sposobem wszystkich, gdyż wszyscy są ludźmi, lecz szukał tylko towarzystwa pewnych osób? Nie z popędu wrodzonego człowiek go szuka, lecz aby uzyskać pochwałę lub korzyść. O to mu chodzi przedewszystkiemi. I tak, w spółce handlowej (przykład dziwaczny, gdy się bada pierwotnie!), każdy ma na okużytek nie spółników, lecz swój własny. Gdy ludzie łączą się celem uzyskania urzędów, powstaje wprawdzie pewnego rodzaju koleżeństwo, które jednak mieści w sobie więcej wzajemnej obawy, niż miłości i wytwarza raczej kamaraderyą, niż dobroczynność. W towarzystwie, założonem celem umysłowej rozrywki i zabawy, każdy lubuje najwięcej w tém, co śmiech obudza, aby przy porównaniu swój własnej nikczemności z wadami i ułomnościami drugich, wydawał się lepszym. W takich zebraniach bawimy się kosztem nieobecnych (*les absents ont toujours tort!*) ich życie, słowa i czyny roztrząsamy, nicujemy i nadużywamy do uszczypliwych dowcipów; własnych towarzyszy spotyka ten sam los, skoro wyjdą za drzwi. Mądrze przeto robił ten, który takie zebrania opuszczał zawsze ostatni. Czy wreszcie mam wspomnieć o tych, którzy chcą być mędrszymi od drugich? Gdy się zbiorą aby mówić o filozofii, to będą chcieli pouczać drugich i uchodzić za mistrzów, ale swych kolegów nie miłują więcej od innych, lecz się pomiędzy sobą nienawidzą. Doświadczenie więc uczy, że ludzie dla tego tylko stowarzyszają się, aby ztąd zjednać sobie korzyść, albo szacunek i poważanie u drugich.“

„...Niepodobna jednak oprzeć trwałego związku na żądzy czci. Bo skoro cześć dostaje się wszystkim towarzyszom, żaden jej nie po-

dego: „*Les Français commencent toujours par ce que veut l'honneur, sans s'inquieter de ce qui plairait à la politique,*“ tak ogólnie wzięto nie zupełnie się zgadzają z prawdą historyczną.

¹⁾ Odnosi się to przedewszystkiemi do Hugona Grotiusa, którego dzieło Hobbes znał, choć go ani razu nie wymienił.

siada, gdyż cześć zasadza się właśnie na odróżnieniu i przewyższeniu drugich; nadto stawa zdobyta za poparciem drugich, mniej znaczy niż zdobyta własnymi siłami i bez obcej pomocy. Wprawdzie przyjemności życia mogą być zwiększone wzajemnym wspieraniem się, łatwiej i lepiej jednak zapewniamy je sobie panowaniem, to też człowiek, o ile go nie wstrzymuje obawa, szuka raczej panowania, niż towarzystwa. Przyczyny więc szerszych i trwałych związków nie należy dopatrywać się w wzajemnej miłości, lecz w obopólnej obawie ¹⁾).

Powód obopólnej obawy spoczywa w tém, że ludzie są sobie wszyscy równi i wszyscy skłonni szkodzić sobie (§ 3). „Równi są bo każdy może zabić drugiego. Wolę szkodenia sobie w pierwotanie mają wszyscy, choć nie z jednakowych powodów i nie z tą samą winą (§ 4). Ten, odpowiednio przyrodzonej równości, drugim pozwala tego wszystkiego, co sam sobie pozwala; tak czyni człowiek skromny. Drugi uważa się za wyższego, chce czynić co mu się podoba i domaga się czci i posłuszeństwa od drugich; tak czyni człowiek surowy. U niego wola szkodenia drugim powstaje z próżności i przeceniania swych sił, u pierwszego zaś z potrzeby obrony własnej przed drugimi ²⁾).

¹⁾ Przez obawę Hobbes rozumie „wszelki wzgląd na możliwe zło.“
Przypisek do § 2-go.

²⁾ Choćbyśmy nawet nie posiadali na to w jego własnych pismach dostatecznych dowodów, a priori trzeba by przypuszczać, że Fryderyk II, zasadniczo pogardzał ludźmi i był skrajnym pesymistą. Na tém opiera się cała polityka tego niemieckiego kolegi angielskiego filozofa. Ale też Fryderyk II, nigdy nie ukrywał swych pesymistycznych przekonań, owszém popisywał się nimi, niezawodnie dla tego, aby uniewinnić poniekąd własne zdróżne czyny. I tak na jedném miejscu powiada: „L'homme restera, malgré les philosophes, le plus méchante bête de l'univers. Il y aura toujours des guerres, comme il y aura toujours des pertes, des banqueroutes, des pertes et des tremblement de terre.“ Pastorowi Sulzerowi, który się raz przed królem odezwał o pociągu ludzi do onoty, Fryderyk II odpowiedział: „Widzę już mój kochany, że nie znasz tak jako ja, przekłętęgo plemienia, do którego należymy.“ Z świeżo wydanych poufnych rozmów Fryderyka II, z Henrykiem de Catt, możnaby zestawić cały system pesymizmu. „Prawią, powiada król, raz o miłosierdziu, o spółozuciu i enocie. Tymczasem zalety te w życiu nie znaczą, a co gorsza, zbrodniarz, któremu się powodzi znajduje większego uznania, niż człowiek zaony, ścigany nieszczęściem. Zepsucie jest ogromne i wszędzie rozpowszechnione. We wszystkich stanach napotymano na nie, a zwłaszcza u dworów człowiek uczciwy nie doczeka się szczęścia.“ Na inszym miejscu: „Wszystcy mamy słabości. Moja babka, elektorka hanowerska, razu pewnego zapytała posła francuzkiego, jak to podobna, że tylo francuzek daje się uwieść?

— „Królewska Mość, odparł, diamenty!“

— „Ale któż się sprzeda za diamenty?“

„Niezgoda powstaje przedewszystkiém z mierzenia wzajemnych sił umysłowych. Walka ta jest najnamiętniejsza. Nie tylko bowiem, że przeciwnik śmie potępiać nasze zdanie, ale już to, że nie przystaje na nie, obudza naszą nienawiść, albowiem kto choć milcząco odrzuca nasze zdanie, tém samém o błąd nas oskarża. Jeżeli drugi w wielu rzeczach sądzi inaczej od nas, znaczy to że nas uważa za głupców. To téż żadne wojny nie bywają toczone z większą namiętnością, od sprzeczek pomiędzy sektami tego samego wyznania, albo pomiędzy stronnictwami tego samego państwa, walczącemi jedynie o zasady religijne lub polityczne.

„Inném źródłém niezgody jest to, że wielu żąda dla siebie tego samego przedmiotu, chociaż on często nie może być ani spólnie używany, ani podzielony. Osiągnąć to więc może tylko mocniejszy, a kto nim jest, o tém rozstrzyga walka (§ 6).

„Przy tylu niebezpieczeństwach, grożących człowiekowi od chuci ludzkich, musi usiłować ubezpieczyć się ile możności; i nie może nawet czynić inaczej bo każdy pragnie tego, co dla niego jest dobrem, a unika co jest szkodliwém, przedewszystkiém więc unika największego naturalnego złego, t. j. śmierci, i to tak koniecznie, jak kamień spada na ziemię. Dla tego człowiek z natury zadaje sobie wszelką pracę, aby ciało swe uchronić przed boleścią i śmiercią, zabezpieczyć swe członki i utrzymać się przy zdrowiu; co zaś zgadza się z rozumem, to nazywany prawem. Wyraz prawo (w pierwostanie) oznacza tylko wolność każdego, używania swych sił rozumnie. Podstawą więc naturalnego prawa jest, że każdy według możliwości powinien zabezpieczyć życie i zdrowie swoje. § 7.

„Ponieważ prawo na nic się nie przyda bez odpowiednich środków, przeto każdemu musi być wolno, użyć wszelkich środków celem zatwierdzenia wymienionego prawa § 8.

„Czy zaś środki użyte celem zabezpieczenia życia i zdrowia, były potrzebne lub nie, o tém w pierwostanie sądzi każda jednostka. § 9.

„Przyroda w pierwostanie każdemu dała prawo do wszystkiego. Zanim ludzie związali się umową, każdy mógł czynić, co mu się podobało i przeciwko komu się podobało, tudzież zabrać i używać wszystkiego, o ile chciał lub mógł. Bo skoro wszystko, czego człowiek pożywał, tém samém było pożytecznym i potrzebnym do jego utrzymania, o czém sam tak sądził (§ 9), i skoro to, co uważa jako potrzebne do swego utrzymania, prawnie mu się należy (§ 7): przeto

— „No, a za 100,000 talarów!“

— „Ohydnie, za pieniądzel!“

— „Piękny sznur pereł.“

— „Na miłość Bogo, margrabió przestań!“

Babka moja miała wielki nałóg do pereł, to była jej słabość. Wi-dzisz pan, takimi to są wszyscy ludzie.“ „Gespräche Friedrichs des Grossen mit Henri de Catt,“ Lipsk 1885, str. 11.

w pierwostanie każdy może wszystko posiadać i czynić. Ztąd wynika, że w tym stanie prawo mierzy się korzyścią. § 10.

„Wszelako to równe prawo wszystkich, do wszystkiego nie przynosiło nikomu korzyści, bo skutek takiego prawa jest taki, jak gdyby nie było żadnego. Chociaż bowiem każdy o wszystkiem mógł rzec: to moje, nie mógł go jednak używać z powodu sąsiada, który równem prawem i równą siłą dowodził, że to do niego należy, § 11.

„Z namiętności ludzkich, mianowicie z próżności i przeceniania się wynika naturalnie skłonność do wzajemnego szkodzenia sobie. Skoro do tego dodamy prawo, że wszystko wszystkim należy, a zatem pierwszy prawnie zaczepia, drugi się prawnie opiera, powstaje ciągle podejrzenie, obawa jednych przed drugimi; nie można zatem wątpić, że w pierwostanie ludzie znajdowali się w wojnie i to nie w pojedynczej, lecz w wojnie wszystkich z wszystkimi (*bellum omnium contra omnes*). § 12.

„Nie potrzeba dowodzić, jak zgubną jest nieustająca wojna, która z powodu równości walczących nie może być skończona zwycięstwem jednej strony, bo i chwilowemu zwycięzcy ciągle grozi niebezpieczeństwo, a nawet najsilniejszy chyba cudem dociągnąłby do podeszłego wieku. Przykłady dostarczają nam terażniejsze stosunki w Ameryce; dawniejsze czasy pokazują nam inne narody, które dziś są oświecone i kwitną, ale wtedy były szczupłe liczbą, dzikie, krótkiego życia, ubogie i brzydkie, gdyż im niedostawało tych wszelkich ozdób i wygod, których dostarcza tylko pokój i społeczeństwo. Gdyby więc kto twierdził, że należało pozostać w owym pierwostanie, gdzie wszystkim było wolno wszystko (co twierdzili niektórzy z tak zwanych „utopistów“), sam staje w sprzeczności ze sobą, bo wszyscy z konieczności pragniemy dobrego (t. j. korzyści), a nikt owę wojny powszechną, związaną z pierwostaniem (czemu właśnie zaprzeczali utopiści) nie będzie uważał jako rzecz dobrą. Przeto, wskutek wzajemnej obawy uważamy jako rzecz konieczną, wydostać się z takiego stanu i szukać towarzyszy, abyśmy, skoro musi trwać walka, nie prowadzili jęj przeciwko wszystkim, ani też bez pomocy. § 13.

„Według prawa przyrodzonego każdy tego, nad którym ma moc, może zmusić aby dostarczył rękojmi posłuszeństwa swego. Zwycięzca więc zwyciężonego bądź to groźbą śmierci, bądź więzieniem zmusza do służenia sobie; tak samo silniejszy może zmusić słabszego do posłuszeństwa. Bo skoro prawo własnej obrony wynika z niebezpieczeństwa, to zaś z równości, nakazuje przeto rozum, zawczasu zabezpieczyć się uzyskaniem posłuszeństwa (od zwyciężonych lub słabszych), nie zaś narazić się w przyszłości na wątpliwą walkę, gdy ci dorosną lub wzmocnią się i uwolnią z pod naszej władzy. Nic nie jest niedorzeczniejszém, jak wypuścić z pod naszej władzy słabego i pozwolić mu, stać się silnym i wrogiem. Ztąd przemoc nadaje też prawo (§ 14).

„Jednak ludzie, którzy się znajdują w pierwostanie, t. j. w nie-

ustającej walce, z powodu równości ludzkich sił i zdolności, nie mają nadziei trwałego zabezpieczenia się. Dla tego rozum nakazuje szukać pokoju, gdy się okaże odnośna nadzieja, a poki nie, starać się o towarzyszy wojennych (§ 15).

Pokój zaś znajdujemy w państwie, o którego powstaniu i atrybucjach traktuje część druga dzieła „de Cive.“ Zanim do niej przystąpimy, trzeba nam przedewszystkiém zastrzedz się przeciwko teorii, która umowę jednostek wystawia jako źródło państwa. Twórca jej Hugo Grotius oparł rzekomą umowę na wrodzonym popędzie towarzyskim; ale ponieważ ludzie w pierwotanie są wszyscy wolni i sobie równi, przeto państwo powinno jak najmniej krępować swobodę jednostek. Takie jest rozumowanie optymizmu, który się zaznacza także w teorii państwowej Jana Jakóba Rousseau. Przeciwnie pesymista Hobbes z rzekomą przyrodzoną niegodziwością ludzi wyprowadził wniosek, że umowa, celem zawarcia związku państwowego, opiera się na obawie i że przeto tylko wszechwładne państwo zdoła przemocą uśmierzyć waśnie i utrzymać pokój. Cała ta teoria tak Grotiusza, jak Hobbesa jest zasadniczo błędną. Albowiem człowiek nigdy nie występuje w rzeczywistości jako oderwana jednostka, jak np. drzewo lub gałąz. Przy urodzeniu wstępuje w rodzinę. Gdy zaczyna mówić, tęp samém staje się członkiem pewnego związku językowego czyli narodowościowego; z rozwinięciem swych wyobrażeń o swym stosunku do Boga i świata, a takie wyobrażenia istnieją nawet u plemion najdzikszych, człowiek przystępuje do pewnego grona religijnego; stopień inteligencji lub zatrudnienia bliżej go łączy z odpowiednimi warstwami społecznymi; wreszcie i kraj i klimat wytwarzają odmienne charaktery i fizyczne typy, bo mieszkaniec stepów innych nabiera cech ducha i ciała, niż mieszkaniec gór lub wybrzeży morskich i t. d. W rzeczywistości więc owe oderwane jednostki czyli atomy ludzkie, któremi liczą statystyci tęp szkoły co Hugo Grotius i Tomasz Hobbes i później także Jana Jaques Rousseau, nigdy i nigdzie nie istniały. Dzięki świetnemu rozwojowi nauk historycznych, wiemy dziś dokładnie, że państwa powstały w bardzo różny sposób. Niegdzie, np. w niektórych stanach północnej Ameryki (Pensylwania) zawiązek państwowy oparto istotnie na umowie emigrantów angielskich. Ale żadną miarą nie można umowy uważać bezwzględnie jako źródło państw.

Lecz wracajmy do wykładu Hobbesa.

2. Imperium.

Jak więc podług niego powstaje państwo?

Przedstawiwszy w pierwszej księdze domniemany zwierzęcy pierwotan ludzkości i wojnę wszystkich z wszystkimi, autor w drugiej księdze, noszącej znaczący tytuł: „imperium,“ co się tu równa

wszeczwładzy lub omnipotencyi państwa, „absolutum dominium,” i t. d. wyłuszcza przemianę owego pierwotnego społeczeństwa a raczej zbioru (multitudo) wrogich jednostek w ciało państwowe.

Celem zarządzenia środków, koniecznych do utrzymania pokoju, potrzeba jednój woli. Jednostki przeto muszą swą wolę tak poddać bądź to osobie bądź zgromadzeniu ¹⁾, aby tych wola stała się wolą wszystkich. To poddanie się następuje wtedy, gdy się każdy w obec drugiego zobowiąże, nie odmawiać owój osobie lub owemu zgromadzeniu swych sił i swego mienia. Do uchwalenia aktu poddania się wystarcza większość głosów ²⁾. Oto początek państwa. Jest ono osobą, której wola na mocy umowy większości stała się wolą wszystkich i która przeto siłami i mieniem jednostek rozporządza celem spólnej obrony i utrzymania pokoju.

Na rozróżnieniu pomiędzy osobą lub zgromadzeniem, któremu się poddali ludzie, aby się stać obywatelami (cives), zasadzają się różne rodzaje państwowe. Z poddania się jednostce powstaje monarchia; jeżeli się poddano zgromadzeniu, zachodzi pytanie, czy w niem mają udział wszyscy lub nie? W pierwszym razie powstaje demokracja, w drugim arystokracja. Podział ten państw na monarchie, demokracje i arystokracje, Hobbes przejął z Arystotelesa, choć w XVII-ym stuleciu istniały już państwa mieszane.

Jako najdoskonalszą formę państwową uważa monarchiczną. „Nie chcę podnieść że wszeczwładem rządzi jeden Bóg; że starożytny świat składał téj zasadzie hołd, przypisując Jowiszowi władzę nad bogami, że na początku narodów wola władców była prawem; że ustanowiona przez Boga władza ojcowska jest monarchiczną, że inne państwa zostały sztucznie utworzone z resztek i odłamów dawniejszych monarchii i że naród wybrany stał pod królami: bo to są tylko przykłady. Ale sam rozum prowadzi do wniosku, że monarchia jest najlepszą formą państwową.“ Bo w monarchii obywatel ponosi mniejsze ciężary, nie jest narażony na tyle niebezpieczeństw i kar, co w demokracji, nie jest więcéj uciskany i t. d.

Ale mniejsza o to, czy poddano się woli osoby lub zgromadzenia, w każdym razie najwyższa władza musi być nieograniczona. „Ku zabezpieczeniu publicznego porządku nie wystarcza, aby wszyscy ustnie lub piśmiennie zobowiązali się szanować prawo, bo ludzior wrodzona jest niegodziwość, a doświadczenie uczy, że jedynie obawa przed karą skłania ich do spełnienia obowiązku. Porządku bronią więc nie układy, lecz kary i to wtedy, gdy będą tak surowe, że z popelnienia przestępstwa wyniknie większa szkoda, aniżeli z zaniechania go. Bo wszyscy wybierają to co korzystniejsze, komu będzie od-

¹⁾ „Przez zgromadzenie rozumiem tu zebranie pewnej liczby ludzi, którzy obradują nad tém, co trzeba uczynić lub czego zaniechać ku spólnemu dobru.“ V, § 6.

²⁾ „Initium civitatis est majoris numeri consentientis.“

dane prawo karania czyli „miecz sprawiedliwości,“ ten otrzyma naj-
wyższą władzę. Kto bowiem dowolnie może nałożyć kary, ten wszyst-
kich może zmusić do wszystkiego a to jest najwyższa władza.“

Tęże przysługuje dalej prawo wojny. „Utrzymanie pokoju na
nieby się zdało bez obrony państwa od zewnętrznych wrogów. To
wymaga zespolenia wszystkich sił. Ku temu najwyższej władzy mu-
si przysługiwać prawo zwołania w każdej potrzebie wojska, tudzież
zawarcia, jeżeli się to okaże korzystnym, pokoju. Trzeba więc przy-
puścić, że obywatele prawo wojny i pokoju przenieśli na jedną osobę
i to tę samą, której oddali miecz sprawiedliwości. Bo nikt nie stanie
w szeregu, jeżeli mu nie będzie grozić kara za nieposłuszeństwo ¹⁾.“

„Taż władza musi posiadać prawo sądenia. Sąd nie może na-
leżeć do jednych, wykonanie wyroku do drugich, bo kto nie może wy-
konać wyroku, na próżno go wygłasza, i staje się sługą tego, który go
wykonywa. Przeciwnie, system konstytucyjny zasadza się na od-
dzieleniu władzy wykonawczej od sądowniczej. Niby to apriorysty-
czny wniosek filozofa nie jest zresztą niczem innym, jak wynikiem
ówczesnych zaburzeń angielskich. Za rządów Jakóba I, izba posel-
ska przed izbą panów wytoczyła proces przeciwko faworytom królew-
skim. Za rządów Karola I-go dwaj główni doradcy królewscy hr.
Strafford i arcybiskup Laud przez Izbę poselską zostali oskarżeni
o zdradę stanu. Na mocy uchwalonej przez parlament „bill of attaindre“
Strafford został ścięty w maju r. 1641. W następnym roku wy-
buchła wojna domowa. Z tych wypadków Hobbes wysnuł potrze-
bę złączenia władzy sądowniczej i wykonawczej. Ustanowiona przez
wymienionych dwóch królów osławiona „izba gwiazdzista“ i „wysoka
komisya,“ dopuszczająca się najochoydniejszych gwałtów, mniej uprze-
dzonego myśliciela mogły doprowadzić do innych wniosków.

Dalej przypisuje on panującemu nieograniczoną władzę praw-
odawczą. „Bo ważniejsza zapobiedz sporom, aniżeli wybuchte uśmie-
rzać. Spory zaś powstają z sprzecznych zdań o własności, prawie,
dobrem i t. d., najwyższa władza więc musi ustanowić i ogłosić spólne
prawidła i miary co dobre lub złe, moralne a niemoralne, aby każdy
wiedział co czynić, czego zaniechać.“ W państwie konstytucyjnym
władzą prawodawczą dzielą się parlamenta, które ustawy uchwała-
ją, z monarchją, który je potwierdza. Tę powszechnie teraz prakty-
kowaną teorią Hobbes zalicza do rzędu „zdań buntowniczych“ które
rozsadzają państwa. (XII, § 5). I tu zatargi pomiędzy królami a pa-
lamentem angielskim oddziaływały na rozumowanie naszego filozofa.
Zdawało mu się, że bez parlamentu niebyłoby przyszło do rewolucyi.

¹⁾ Żeby obywatele celem obrony kraju z samego zapalu śpieszyli pod
chorągiew, tego naturalnie pesymista, jak Hobbes, nie przypuszcza; nato-
miast logicznie z jego definicyi natury ludzkiej wynikałoby, że władza zmu-
szona będzie raczej hamować bojowniczo zapędy obywateli, aniżeli ścigać ich
do szeregów karami.

Rzeczywiście zaś może byłaby przybrała inne formy, atoli błędy i gwałty Jakóba I-go i Karola I-go byłyby prawdopodobnie wywołały inne ruchy rewolucyjne, jeszcze zgubniejsze dla narodu angielskiego, bądź to, że byłyby sprowadziły nieograniczoną władzę motłochu, albo też całkowity upadek wszelkiej samodzielności i swobody obywatelskiej.

Jako fanatyczny wielbiciel jednolitej i nieograniczonej władzy, Tomasz Hobbes żywi naturalnie wielki wstręt do wszelkich zgromadzeń parlamentarnych. „Może właśnie dla tego Rzeczpospolita wydaje się doskonalszą od monarchii, ponieważ tam, gdzie wszyscy biorą udział w traktowaniu spraw publicznych, wszyscy znajdują sposobność popisywać się na zebraniach publicznych swym rozumem, nauką i wymową. Wskutek przyrodzonej ludzom próżności, dla wielu, którzy się takimi zaleciami odznaczają, albo tak sądzą przynajmniej, jest to rzecz bardzo przyjemna a ta droga do szczytów i sławy w monarchii (absolutnej) jest zamknięta. Ale czy to jest rzeczywiście nieszczęściem? Cóż się dzieje na zebraniach publicznych? Widzimy, że zdanie człowieka, którym gardzimy, odnosi zwycięstwo nad naszym; że nasz rozum nie znajduje uznania, o próżną sławę rozpoczynamy niepewną walkę przez którą, czy zwyciężymy, czy ulegniemy, ściagniemy na siebie nienawiść, z powodu różnicy zdań musimy nienawidzić lub stać się zniechęconymi; bez potrzeby musimy się radą naszą dzielić z wszystkimi, a wreszcie zaniedbywać nasze sprawy domowe. Oto trudy i przykrości zebrań publicznych a choćby wabiły zdolniejszych i wymowniejszych, nie może być rzeczą szkodliwą usunąć się od nich.

„Nadto obrady wielkich zgromadzeń są gorsze, niż obrady mniej liczego grona, ponieważ do odpowiedniego traktowania spraw państwowych potrzeba znajomości nie tylko wewnętrznych, lecz także zagranicznych stosunków. Co do zewnętrznych trzeba wiedzieć, jakimi środkami utrzymuje i zabezpiecza się państwo, które miejsca stosują się na warownie, z kąd wziąć i opatrzyć wojsko, jakie jest usposobienie obywateli względem władzy i wiele tych podobnych rzeczy. Co do spraw zagranicznych, trzeba nadto wiedzieć na czem się zasadza potęga obcych mocarstw, jakich możemy się po nich spodziewać korzyści, lub obawiać krzywd, jak są usposobione względem siebie i jakie żywią zamiary? Tego wszystkiego rzadka jest znajomość w takich zgromadzeniach, złożonych po większej części z osób niedolnych i nieposiadających potrzebnych wiadomości ¹⁾, jakże więc w obradach mnóstwo osób o błędnych wyobrażeniach może być czém innym tylko przeszkodą.“

„Inna okoliczność, która wielkie zgromadzenia czyni szkodliwemi jest ta, że celem wyjaśnienia zdania naszego musimy wygłaszać długą mowę, którą z próżności i ze względu na słuchaczy usiłujemy

¹⁾ Tak samo książę Bismarck od 25 lat w parlamentach berlińskich oskarża nioustanie posłów o zupełną nieświadomość kwestyi politycznych zwłaszcza zagranicznych

uczynić jak najświetniejszą i jak najprzyjemniejszą. Otóż sztuka krasomówcza zwykle po nad rzeczywistość powiększa lub zmniejsza dobre i złe, pożyteczne i zbyteczne, słuszne i niesłuszne i bezprawiu nadaje pozory prawa o ile to odpowiada widokom mówcy a zatem staje się namową. Mówca wprawdzie wnioskuje logicznie, ale wychodzi z fałszywych założeń lub zakorzenionych przesądów i swych wywodów nie stosuje do natury rzeczy, lecz do namiętności słuchaczy. Uchwały przeto nie zapadają na mocy dokładnie rozważonych powodów, lecz stosownie do popędów namiętności. Nie jest to wina ludzi lecz wymowy, która zasadniczo niema na celu prawdy, lecz zwycięstwo i nie zmierza do pouczenia, lecz do namowy ¹⁾.

Trzecią wadą zgromadzeń parlamentarnych jest to, że dawają pochop do tworzenia się stronnictw, z których powstają wojny domowe. Bo skoro równie znakomici mówcy walczą ze sobą przeciwnymi argumentami, natenczas zwyciężony zapala się nienawiścią dla przeciwnika i tych wszystkich, którzy idąc za nim, wzgardzili jego własną radą i mądrością, stara się tedy, aby z rady przeciwnika powstała klęska dla państwa, gdyż wtedy jego sława tém jaśniej zabłyśnie. Jeżeli nadto większość głosów nie była zbyt znaczną, tak, iż

¹⁾ I w tym sądzie o niebezpieczeństwie krasomówstwa w parlamentarnych zebraniach, ks. Bismarck zupełnie się zgadza z filozofem angielskim którego dzieła prawdopodobnie nigdy nie czytał, ale z którym go łączy spólny pociąg ku rządóm absolutnym. W mowie z 30 kwietnia r. 1881 ks. Bismarck oświadczył: „Dobry mówca nie zawsze najtrafniej osądza sprawy polityczne; aby być świetnym mówcą, trzeba być trochę poetą, przedewszystkiéim improwizatorem. Ale dobrym mówcom, tak samo jak świetnym improwizatorom nie wolno oddać wpływu na sprawy publiczne, ani stonowiska naczelnika frakcyi, lub ministra. Jak poeta tak téż mówca nie trzyma się ściśle prawdy. Musi on być pełen zapału, uczucia i życia, aby rozognić drugich, ale nie będzie dobrze grał w wista, jeszcze mniej w szachy, a najmniej będzie wytrawnym mężem stanu. Czy przy dzisiejszym rozwoju oświaty znajdziemy lekarstwo na tę plagę krasomówstwa, nie wiem, ale dobrze już poznać chorobę. Zawsze przypominamy sobie przykład króla Fryderyka Wilhelma który przysłuchując się wywodóm dwóch adwokatów po mowie każdego zawołał: „to zuch, ma racyą,“ ale potém tak się oburzył na przewrotność wymowy, że obaj adwokaci za swój nadzwyczajny talent w przedstawieniu rzeczy w przeciwném świetle ciężko odpokutowali. Musimy sobie zawsze przypominać przykład dawnego naszego króla, gdy kogoś słyszymy mówiącego z taką elokwencyą, że właściwie do innych zatrudnień nie może mieć czasu. Wtedy wyrabia się w nim pewność taka, że już nie potrzebuje suflera. Nie chodzi mu już o rzecz, lecz o upiększenie mowy... W Erfurcie (1848) podziwiałem raz improwizowaną, jak się zdawało mowę pownego profesora heidelberskiego, aż mi jeden z jego przyjaciół frakcyjnych powiedział: „Szkoda żeś jój pan nie słyszał w zeszłym roku, wtedy wygłosił ją daleko żywiej, dobitniej!“

są widoki uzyskania na inném zebraniu większości, przywódcy zwołują zjazd swych stronników, umawiają się jak na przyszłym walnym zgromadzeniu postawić na swoim, i umiejętnie rozdzielają role. Jeżeli potem przeciwnicy z niedbałości nie zbiorą się dość licznie, plan się uda. Jeżeli zaś stronnictwo pokonane w głosowaniu rzeczywiście jest silniejsze lub tylko o mało co słabsze, spróbuje z bronią w rękę przeprzeć, czego nie zdołało osiągnąć mowami i wykretami. Może mi ktoś odpowie, że to nie musi się koniecznie wydarzyć i nie często się wydarza; ale tak samo możnaby dowodzić, że mówcy nie są koniecznie ambitni, i że w ważnych sprawach publicznych znakomici mówcy nie potrzebują być różnego zdania.

„Ztąd wynika, że jeżeli prawodawstwo przysługuje takim zgromadzeniom, prawa nie mogą być stałe, lecz stawają się zmiennymi, nie dla tego, żeby się zmieniły okoliczności lub przekonania, lecz ponieważ dziś to stronnictwo posiada większość a jutro drugie; ztąd prawa kołyszą się, jak fale na morzu.

„Obrady wielkich zgromadzeń i tę sprowadzają niedogodność, że zamiary, które w interesie państwa powinny pozostać tajnymi, zanim mogły być przeprowadzone dochodzą do wiadomości nieprzyjaciół, którzy równie dobrze jak my, wiedzą co możemy, co nie, czego chcemy, czego nie.“ (X. § 9—14).

Wszystkie te zarzuty przeciwko obradom parlamentowym są co najmniej jednostronne. Bezwzględnej doskonałości w urządzeniach ludzkich nie trzeba się domagać, lecz zadawalniać względną. Otóż chociaż Hobbes miał tu na myśli przedewszystkiém sejmy państw demokratycznych, to za jego czasów Szwajcarya, Holandya i Stany Ameryki Północnej o ile te już wtedy można było zaliczać do rzędu państw, choć nie udzielnych, to jednak obdarzonych szeroką autonomią, wykazywały dostatecznie, że parlamentarne traktowanie spraw publicznych nie jest tak zasadniczo szkodliwem, jak mu się wydaje, gdy przeciwnie nieograniczona władza np. w Hiszpanii nie zapobiegała zupełnemu upadkowi kraju. Jeżeli obrady parlamentarne przedstawiają niewątpliwie pewne niedogodności, nagradzają się one wielkim pożytkiem, jaki przynosi kontrola publiczna kroków władzy; kontroli takiej nie dostaje tajnym obradom w gabinecie, gdzie ambicya, chciwość, próżność, kabały, względy stronnice znajdują szersze pole popisu, niż w parlamencie. Dla ludzi tego usposobienia co nasz filozof-pessimista ¹⁾, udział w sprawach publicznych będzie ciężarem i przykrością, ale zawsze znajdowali się ludzie sprężyści, czynni, energiczni i zdolni, którzy zajęcie się sprawami publicznymi uważali jako zadanie najszlachetniejsze i w szkole parlamentarnej dojrzeli do godności znakomitych

1) Tak np. Schopenhauer powiada: „W świecie, w którym co najmniej $\frac{3}{6}$ jest oszustami, szaleńcami lub głupcami, każdy człowiek należący do pozostającej 6-tój części, może jedynie znaleźć szczęście w zupełnym odosobnieniu i zaciszu, im więcej oddalony od drugich, tém lopiżej.“

mężów stanów. Właśnie Anglia na to dostarczyła najliczniejszych przykładów. Nieprawda też aby znakomity mówca nie mógł być niepospolitym mężem stanu i odwrotnie. To co Hobbes a za nim inni przeciwnicy parlamentaryzmu wystawiają jako regułę, można zastosować tylko do ludzi, których zdolność nie dorównywa ich ambicji i którzy mimo to w zgromadzeniach publicznych usiłują zdobyć sobie pierwsze miejsce. Jak gdyby tacy ludzie nie dobijali się także w państwie absolutném znaczenia i wpływu manowcami i kretactwem!

Do praw najwyższej władzy Hobbes dalej zalicza mianowanie wszystkich urzędników. „Ponieważ władza nie może w pokoju i wojnie załatwiać spraw publicznych bez urzędników, sądcących sprawiedliwie, przenikających zamiary sąsiadów ¹⁾, prowadzących z ręcznie wojnę i pracujących zawsze na pożytek państwa, przeto rozum nakazuje, aby ci urzędnicy od tego byli mianowani i zależni, który posiada najwyższą władzę w pokoju i wojnie.“

Wygłosiwszy tak jedność władzy prawodawczej, sądowniczej i wykonawczej, autor zwraca się przeciwko tym, którzy przemawiają za podziałem najwyższej władzy i którzy już za jego czasów mogli się w tym względzie powołać na niejedno państwo, gdzie takowy rzeczywistość istniał. „Przypuśćmy, powiada, państwo mieszane, w którym prawo wojny i mianowanie urzędników przysługiwałoby królowi, sądownictwo arystokratom, uchwalanie podatków ludowi. Czyż wtedy dobrobyt obywateli byłby lepiej zabezpieczony? Nie. Jeżeli bowiem wszyscy są zgodni, chętnie poddawają się władzy; jeżeli zaś się poważnią, nastaje wojna domowa i wtedy znowu każdemu przysługuje prawo bronienia się i użycia przemocy.“

Na mocy nieograniczonej władzy prawodawczej, panującemu przysługuje prawo badania i stanowienia o wszystkich naukach lub zdaniach. „Czyny ludzkie bowiem zależą od naszego zdania o tém co dobre, co złe, od nagrody lub kary, której się spodziewamy lub obawiamy. Przeto w interesie pokoju jest rzeczą nader ważną, aby wśród obywateli nie dopuścić nauk lub zdań, według których mogliby mniemać, że nie są obowiązani do posłuszeństwa dla przepisów państwowych, lub że im wolno stawiać takowym opór, albo też mogliby sądzić, że nieposłuszeństwo dla ustaw nie będzie karane ciężiej, niż posłuszeństwo ²⁾. Bo skoro jeden nakazuje coś pod groźbą śmierci naturalnej, drugi zaś zakazuje to samo pod groźbą śmierci wiecznej, a obaj prawnie, natenczas wynika ztąd, że nie tylko mogą być karani niewinnie obywatele, lecz nadto państwo musi się rozwiązać, albowiem nikt nie może służyć

¹⁾ Jakoż w średnich wiekach nie rozróżniano zasadniczo pomiędzy ambasadorami a szpiegami.

²⁾ To jest wtedy, gdy kościół pod groźbą kar wiecznych zakazuje spełnić to, czego państwo domaga się pod groźbą kar doczesnych.

dwom panom, a ten, któremu czujemy się zobowiązani do posłuszeństwa pod karą potępienia, nie mniej jest panem naszym od tego, którego słuchamy z obawą przed śmiercią doczesną; a nawet pierwszy jest nim w wyższym stopniu. Dla tego najwyższej władzy musi przysługiwać prawo zakazywania nauk i zdań, niebezpiecznych dla pokoju publicznego.“

Pytanie, czy takie nauki, zwłaszcza gdy im sprzyja opinia publiczna, mogą być przytłumione i czy prześladowanie nie przyczynia się raczej do ich rozpowszechnienia, Hobbes nie dotyka, choć doświadczenie mogło mu okazać nieskuteczność wszelkiej walki policyjnej z opiniami; jakoż aby nie wspominać o dziejach męczenników w Rzymie cesarów, — wszelkie prześladowanie pisarzy i palenie ich pism za rządów Karola I, nie zdołało zapobiedz powstaniu. Głównie jednak chodzi autorowi o uzasadnienie wszechwładzy państwa nad kościołem, czyli znaną, wygłoszoną najprzód przez protestantów, choć nadużywaną później także przez niektórych monarchów katolickich teorii: „cujus regio, ejus religio.“

Do tego przedmiotu autor wraca kilkakrotnie. „Obywatele, — powiada w rozdziale XV-tym, § 17, — zawierając umowę państwową tyle praw oddali najwyższej władzy, ile mogli na nią przenieść. Prawo uporządkowania służby bożej mogli jej oddać, a zatem też oddali. Że mogli, wynika ztąd, iż przed utworzeniem państwa, każdy służył Bogu według własnego rozumu, otóż każdy swój własny rozum może poddać państwu. Nadto, gdyby każdy w państwie według własnego upodobania chciał służyć Bogu, jedni sprzeczałiby się z drugimi i ostatecznie nie byłoby żadnej czci Bożej. Istota nabożeństwa zasadza się na tém, że jest oznaką wewnętrznego uwielbienia, jednak tylko o tyle, o ile od drugich jest uznana jako taka. Jeżeli zaś jest uznana powszechnie — a to zapewnić może tylko państwo — natenczas staje się tém uroczystsą oznaką czci dla Boga. Nie sprzeciwia się więc to woli Boga, jeżeli mu się oddaje cześć w formie przepisanej przez państwo, a obywatele mogą najwyższej władzy oddać prawo stanowienia o nabożeństwie. A nawet są do tego zobowiązani, ponieważ w przeciwnym razie pojawiłyby się równocześnie w tém samém państwie najprzewrotniejsze zdania o naturze Boga i wszelkie śmieszne obrządki, które kiedykolwiek istniały u różnych narodów, i wtedy każdyby sądził, że drudzy obrażają Boga; o nikim nie możnaby wtedy mówić, że czci Boga w sposób słuszny, bo nabożeństwo dopiero wtedy staje się takim, gdy od drugich jest uważane jako takie ¹⁾. A zatem tłumaczenie praw świętych, tak samo jak państwowych, przysługuje najwyższej władzy. Bóg rozkazuje przez jej usta, a odwrotnie wszystko, co na-

1) Gdyby więc np. pomiędzy chińczykami grono katolików zebrało się na mszę świętą, nie byłoby to ważne nabożeństwo, nie byłoby oddaniem Bogu czci, ponieważ chińczycy nie uznawaliby jej jako takową!

kazuje najwyższa władza w boskich i świeckich sprawach, jest rozkazem Bożym.“

Zasada ta, wprowadzona w praktykę przez Henryka VIII-go, przez obrońców kościoła państwowego była podniesiona do godności kardynalnego prawa Anglii. Atoli rozumowanie Hobbesa wypadło tu bardzo niefortunnie. Próżność ludzka wymaga zewnętrznych oznak czci, którą też można wymusić, jakoż państwo może dowolnie ustanawiać takie oznaki, np. order, mundury i t. d. Ale Bóg chrześcijański domaga się przede wszystkim wiary i miłości, a tu kończy się władza świecka. Tymczasem angielski fanatyk wszechwładzy państwowej naukę swą posuwa do ostateczności, twierdząc, że choćby władza nakazywała czyny, któreby można uważać jako obrazę Boga — lub nakazywała dawać Bogu nazwę, o której nie wiemy, jak się do Niego stosuje, lub gdyby domagała się dla siebie czci boskiej — to poddani są zobowiązani spełnić takie rozkazy!

Tym sposobem państwo a kościół stawają się synonimem i mogą istnieć tylko kościoły państwowe. „Różne państwa chrześcijańskie nie mogą tworzyć wspólnego kościoła! Wprawdzie na mocy umowy mogą się stać jednym kościołem, ale tylko wtedy, jeżeli się złączą w jedno państwo.“ (XVII, § 22). Zwolennicy teorii wszechwładzy państwowej dziś posługują się w tej kwestyi często innymi argumentami, ale zasada jest ta sama. Znane pruskie „ustawy majowe“ pozostawają w najściślejszym związku z filozofią Tomasza Hobbesa.

Jak według tej filozofii przed powstaniem państwa nie było religii, tak też nie było własności.

Ponieważ stosunek państwa do własności (indywidualnej) jest jedną z najważniejszych i najczęściej dziś roztrząsanych kwestyi społecznych, zastanowimy się nad nim nieco bliżej.

Co to jest własność? W szerszym znaczeniu to wszystko, do czego posiadamy wyłączne prawo, a zatem nasze życie, ciało, nasze umysłowe i cielesne siły, w znaczeniu ściślejszym i pospolitem przedmiot, „który się znajduje w naszej mocy tak, że możemy go dowolnie używać i nim szafować, będąc uprawnieni do wykluczenia drugich od jego posiadania, używania i dysponowania nim“¹⁾. Przyrodzone zaś prawo posiadania, nabywania i pomnażania własności (przez zajęcie rzeczy nie należącój do nikogo: „res nullius cedit primo occupanti,“ przez zwiększenie — „accessio,“ — przez podział, ugodę, spadkobierstwo) zasadza się na następujących względach:

I. Do życia i rozwoju swych sił fizycznych i umysłowych człowiek potrzebuje pewnego zasobu zewnętrznych dóbr, jako to pokarmu, pomieszkania, środków nauki i wykształcenia i t. d.; posiadając przyrodzone prawo życia i rozwoju, musi też mieć prawo zapewnienia sobie odpowiednich środków.

¹⁾ A. Stöckel „Philosophie,“ II, str. 500.

II. Człowiek jest uprawniony i zobowiązany zapewnić sobie i rodzinie utrzymanie nie tylko na chwilę obecną, lecz także na przyszłość, ztąd wynika prawo nabywania własności trwałej i pomnażania jęj godziwemi środkami.

III. Społeczeństwo ludzkie nie może istnieć bez pojęcia własności. Gdyby bowiem każdy miał prawo zabrać drugiemu własność, panowałoby jedynie prawo silniejszego i wywiązałaby się wojna wszystkich z wszystkimi, co się sprzeciwia wskazanęj na życie towarzyskie naturze ludzkiej.

IV. Wszelki postęp ludzkości opiera się na prawie własności ¹⁾.

A zatem tak samo jak życie ludzkie, rodzina, religia, narodowość, także własność jest prawem przyrodzonem, nie zaś wyrobem lub urządzeniem państwowem. Przeczy temu teoria o pierwotnej przyrodzonej spólności dóbr bądź to, że ludzkość jako całość była właścicielem wszystkiego, bądź że każdej jednostce przysługiwało prawo do wszystkiego. Przejście zaś z tego domniemanego pierwostanu komunistycznego do systemu indywidualnej własności jedni tłómaczą tak, że niektórzy zdradziecko przywłaszczyli sobie, co należało do wszystkich. Najwymowniej wypowiedział to Jean Jaques Rousseau w słynnym ustępie swęj rozprawy: „O początkach nierówności pomiędzy ludźmi,“ który się zaczyna od słów: „Pierwszy, co ogrodził kawał ziemi i śmiał powiedzieć: to jest moje, a znalazł prostaków, którzy mu uwierzyli, był rzeczywistym założycielem społeczeństwa cywilnego. Ileż zbrodni, wojen, zabójstw, ile nędzy i zgrozy byłby rodzajowi ludzkiemu oszczędził ten, któryby był wyrwał z ziemi słupy, zapełnił rów i zawołał do swych bliźnich: Strzeżcie się słuchoać tego oszusta, jesteście zgubieni, jeżeli zapomnicie, że owoce należą do wszystkich a ziemia do nikogo ²⁾.“ Szkoła komunistyczna rozwinię-

¹⁾ „Aby jednostki mogły się rozwinąć coraz wszechstronniej i podnieść się coraz wyżej, potrzeba intensywnego postępu oświaty. Ten zaś opiera się na nierówności warunków bytu w społeczeństwie, której służą głównie dwie dzwignie: własność i prawo spadku. Bez nich i wynikających ztąd różnic w społeczeństwie, niemożliwym jest intensywny postęp kultury.“ Brentano: „Die gewerbliche Arbeiterfrage.“ — „Comme la religion, la propriété s'est constituée d'elle même chez tous les peuples élevés à un certain degré de civilisation et elle s'y présente comme le second fondement de l'organisation sociale,“ I, str. 148. — „C'est que l'homme moderne tient plus à ses biens qu'à sa vie même; car ses biens sont sa vie d'abord, puis la vie de sa femme, de ses enfants, de sa posterité.“ Lamartine.

²⁾ „Questa bestia crudele uscì dal pondo
Dell inferno a quel tempo che pur fatti
Alle campagne i termini, et pu il pondo
Trovato e la misura e seritti e patti...“

Ariosto: „Orlando furioso,“ Canto XXVI, 40.

„Ce chien est à moi, disaient ces pauvres enfants, cest ma place au

ła te myśli dalej, doszła wreszcie do przekonania, że „la propriété cest le vol,“ i do wniosku, iż celem przywrócenia prawowitego pierwotnego stanu ludzkości trzeba znieść wszelką własność indywidualną.

Drudzy przejście z domniemaną pierwotną wspólnotą dóbr do indywidualnej własności tłumaczy umową. „Nie stało się to jedynie przez wolę osobników — powiada Hugo Grotius „de jure belli“ II. 2—bo wtedy drudzy nie byłiby wiedzieli, czego kto żąda dla siebie i od czego więc powinni się wstrzymać, a wielu też byłoby domagało się tej samej rzeczy. Stało się raczej na mocy ugody, bądź to wyraźnie, jak przy podziale, bądź milcząco, jak przy zajęciu (occupatio).“ Według tej teorii Grotiusa, za którym poszli Puffendorf, Thomasius i t. d. własność mogła powstać przed państwem i niezależnie od niego.

Według teorii Hobbesa, którą przyjęli poniekąd Kant, Fichte i prawie cała tak zwana „historyczna szkoła prawnicza“ w Niemczech, własność powstaje przez państwo, istnieje tylko dzięki państwu i o ile najwyższa władza na to przyzwala. „Ponieważ przed utworzeniem państwa wszystko należy do wszystkich a nikt nie może nazwać swą własnością, czegoby drugi nie mógł pożądać dla siebie, przeto własność powstaje dopiero z państwem i każdy posiada tylko tyle, ile na mocy praw i z dozwolenia najwyższej władzy może zatrzymać dla siebie. Obywatele więc posiadają jako własność to, do czego żaden z współobywateli nie ma prawa; bo ci są poddani tym samym prawom. Natomiast nikt nie posiada własności w tym znaczeniu, że najwyższy władca byłby od niej wykluczony, bo on stanowi prawa, jego wola mieści w sobie wolę wszystkich obywateli, on został wyniesiony na urząd najwyższego sędziego. Wprawdzie władza niekiedy pozwala obywatelom wytoczyć skargę przeciwko skarbowi państwowemu; ale wtedy nie chodzi o to, co najwyższa władza prawnie uczynić może, lecz o to co uczynić chciała.“ „Jeżeli—objaśnia w przypisku—obywatelowi wolno wytoczyć przeciwko najwyższej władzy skargę (o naruszenie własności), nie chodzi wcale o kwestyę, czy władza ma prawo do spornego przedmiotu (bo prawo nieograniczonej władzy do wszystkiego jest niewątpliwe) lecz o to, czy najwyższa władza chciała go zabrać.“ VI. § 15. Jak najdobitniej stosunek nieograniczonej władzy do własności cechuje autor w rozdziale VIII, traktującym o niewolnikach. „Pan nad niewolnikami posiada najwyższą władzę, gdyż o nich, jak o każdym innym żywym lub martwym przedmiocie może powiedzieć: to moje. Ztąd wynika, że wszystko co niewolnik przedtem posiadał, przechodzi na pana i że wszystko co nabywa, jest nabytkiem pana; bo kto ma władzę nad osobą, posiada ją także nad wszystkiem, czém ta osoba rozporządza. Dla tego niewolnik w obec pana nie może sobie rościć pretensyi do żadnej własności.

soleil; voilà le commencement et l'image de l'usurpation de toute la terre.“ Pascal: „Pensées,“ I, 9 § 53.

Tylko z łaski pana otrzymuje pewną własność, której może bronić przeciwko swym współniewolnikom, tak samo jak obywatelom przeciwko woli najwyższej władzy nie przysługuje żadna własność, choć ją posiadają w obec współobywateli ¹⁾.”

Twierdzenie, że jednostkom przysługuje nieograniczone prawo własności nie tylko w obec społobywateli, lecz także w obec państwa, autor zalicza do tych buntowniczych teorii, które sprowadzają upadek państwa (XII. § 7).“ Kto ma pana, ten jak wykazałem powyżej, nie może mieć własności. Otóż państwo na mocy powstania swego (przez układ) jest panem wszystkich obywateli. Przed zawarciem umowy państwowej nikt nie miał własności, bo wszystko było wspólnem, a zatem wszelka własność pochodzi z państwa, ponieważ wszyscy przenieśli swe prawa na państwo; a zatem i ten, który wygłasza takie teorie (buntownicze) prawo swe przelał na państwo a własność przysługuje mu tylko o tyle i dopóty państwo na to zezwala, tak samo jak w rodzinie synowie o tyle tylko posiadają własność, o ile na to pozwala ojciec. Wprawdzie statyści po większej części dochodzą do innych wniosków. Według nich, ludzie z natury są równi i nikt nie może mi większém prawem odebrać własności, niż ja jemu. Jakkolwiek więc celem spólnej obrony czasem potrzeba pieniędzy, to kto ich żąda, powinien wykazać konieczność i może je wziąć tylko od tych, którzy je ofiarują dobrowolnie. Statyści ci zapominają, że to czego żądają, stało się już przy założeniu państwa; a rozumując tak, jak gdyby istniało jeszcze rozwiązane pospólstwo a nie państwo, rozwiązują właśnie państwo.“ Zbyteczna podnieść jak wielce teoria Hobbesa o własności sprzyja dzisiejszym mrzonkom komunistów. Skorooby w jakim państwie powstała władza komunistyczna, miałaby według systemu Hobbesa, wszelkie prawo do zabrania majątków, fabryk i t. d. i rozdzielania ich dowolnie. I rozumie się téż, że w imię teorii Hobbesa, ks. Bismarck nie potrzebowałby nawet wystarać się o 100 milionów marek, gdyby uważał za potrzebne wywłaszczenie wszystkich właścicieli téj lub owéj prowincyi!

Jak o religii i własności, tak o moralności stanowi państwo. „Kradzieży, zabójstwa, cudzołóstwa i wszelkiego uszkodzenia zakazuje wprawdzie prawo przyrodzone. Ale co w państwie będzie uważane jako kradzież, zabójstwo i t. d., o tém orzeka najwyższa władza. Nie każde bowiem odebranie rzeczy, którą posiada drugi, jest kradzieżą, lecz tylko cudzej. W Sparcie wolno było chłopcom przywłaszczać sobie pewne rzeczy, byle się przytém nie dali schwycić, władza w tym razie orzekała, że ukradzioną rzecz nie była cudzą, lecz należącą do tego, który ją ukradł. Podobnie zabójstwo nie jest zbrodnią w wojnie, lub popełnione w własnej obronie. Małżeństwo w jedném państwie bywa uznane jako prawne, w drugiem jako nieprawne. I w tém

¹⁾ „Przeciwnie Seneca: „ad reges potestas omnium pertinet, ad singulos proprietas.“ De Benef. VII. 4.

samém państwie jeden obywatel, zawiera ślub prawnie, drugi nie posiadający prawa zawierania umowy, nieprawnie. Przysięga lub sakrament nie mogą uprawniać umów nieprawnych. A zatem co jest kradzieżą, zabójstwem, cudzołóstwem i w ogóle zbrodnią lub bezprawiem, wynika z prawa cywilnego, czyli z rozporządzeń najwyższej władzy.“ (VI. § 16).

Skoro więc panującemu przysługuje prawo orzekać co złe a co dobre, co sprawiedliwe a co niesprawiedliwe, co przyzwoite a co nieprzyzwoite, „buntownicze są wywody, choć je słyszymy codziennie, jakoby tylko ten był królem, który rządzi sprawiedliwie i jakoby tylko godziwym rozkazom królów należało się posłuszeństwo. Przed utworzeniem państwa nie istniało złe i dobre, ponieważ czyn sam przez się nie jest ani złym, ani dobrym i staje się takim dopiero według tego, czy odpowiada nakazom państwowym lub im się sprzeciwia. Co jest złem, co dobrem, to zależy od uznania władcy. Co więc władca nakazuje, to tém samém staje się dobrem, a złem, czego zakazuje. Jeżeli zaś obywatele roszczą sobie prawo do sążdenia co złe a co dobre, przywłaszczają sobie tém samém władzę królewską, co niezgodne z dobrem państwa.“ (XII, § 1).

To téż poddani, wykonując rozkazy najwyższej władzy, nie popełniają nigdy grzechu. „Jeżeli z rozkazu wykonywam coś, co dla rozkazującego jest grzechem, nie popełniam sam grzechu, skoro rozkazujący jest moim prawowitym panem“ i t. d. Grzechem zresztą w teorii Hobbesa w szerszém znaczeniu jest „wszelkie wykroczenie przeciwko rozumowi,“ w ściślejszém „przeciwko rozumowi państwa,“ bo państwo orzeka co złe a co dobre. (XIV. § 16 i 17).

Że ztąd wynika dalej bezkarność najwyższej władzy, rozumie się samo przez się. Hobbes jednak wyprowadza to nie z braku prawa, lecz z braku siły po stronie obywateli. „Ponieważ wszyscy swą wolę przeleli na najwyższą władzę a zatem przeciwko niej nie mogą użyć swych sił, więc też niema nikogo, któryby posiadał dostateczną siłę do ukarania władcy, przeto téż nikt nie ma prawa karać go“ (VI, § 12). Obywatele w obec władcy zobowiązani są do bezwzględneho posłuszeństwa. Na dotyczące uwagi przeciwników, Hobbes w drugim wydaniu w przypisku odpowiada: 1) że nieograniczona władza może wprawdzie niekiedy stać się złem, ale jest złem nieuniknioném; 2) że wszędzie najwyższa władza była nieograniczona, choć nie de facto, to de jure, (VI. § 13) co jest prostem twierdzeniem, ale nie dowodem.

Daléj najwyższa władza nie jest zobowiązana przestrzegać praw państwowych. „Wola najwyższej władzy, jest wolą państwa i zawiera w sobie wolę wszystkich, przeto osoba, której oddano najwyższą władzę, nie jest krępowana ustawami państwowemi, bo w takim razie byłaby zobowiązana względem siebie saméj, nie względem obywateli.“ (VI. § 14). Zdanie przeciwne należy do teorii buntowniczych, które podkopują państwo, bo sąd o tém, co się zgadza z ustawami

państwa a co nie, przyznaje jednostkom. „Ustałoby posłuszeństwo, skoroby się rozkaz władzy wydawał nieprawnym, bez posłuszeństwa zaś niema państwa. Pomimo tego błędne to zdanie znalazło licznych zwolenników, pomiędzy niemi Arystotelesa, który sądzi, że ze względu na ułomność ludzką w państwie najwyższą moc powinny mieć ustawy. Ale mężowie ci nie zrozumieli istoty państwa, skoro mniemają, że władzę wykonawczą, wykład ustaw i władzę prawodawczą można powierzyć poddanym. Państwo nie może być zobowiązane swemi ustawami, ponieważ nikt nie może się zobowiązać względem siebie samego“ (XII. § 4).

Jakaż tedy zachodzi różnica pomiędzy monarchią a tyranią? Oczywiście żadna, co też Hobbes bez zastrzeżenia twierdzi ¹⁾. „Tylko z powodu swych namiętności ludzie nie chcą tego przyznać. Wprawdzie wolą, aby jeden panował zamiast wielu, ale sądzą, że państwo wtedy tylko będzie dobrze rządzone, gdy się zastosuje do ich zdania. Ale czy tyran różni się od króla, tego nie można rozstrzygnąć namiętnością, lecz rozumem. Otóż nie różnią się tém, aby władza owego była wyższą od władzy tegoż, bo nad najwyższą władzę nie ma wyższej; i nie różnią się tém, iżby jeden posiadał nieograniczoną a drugi ograniczoną władzę, bo król z władzą ograniczoną nie jest królem, lecz poddanym tego, który mu zakreśla granice (z czego by wynikało, że dzisiejsi królowie wszystkich państw konstytucyjnych nie zasługują na tytuł królewski!) Także w sposobie nabycia najwyższej władzy nie zachodzi żadna różnica. Gdyby bowiem w państwie arystokratycznym lub demokratycznym obywatel przemocą dobił się najwyższej władzy, to uzyskawszy przyzwolenie ogółu, staje się władcą prawowitym, jeżeli zaś nie uzyska owego przyzwolenia, pozostaje wrogiem, ale nie jest tyranem. Cała różnica więc zasadza się na wykonaniu władzy. Królem ma być ten, co rządzi sprawiedliwie, tyranem ten który rządzi inaczej. Czyli innymi słowy, obywatele prawowitego monarchę, jeżeli rządzi według ich upodobania, pozwalają sobie nazywać królem, w innym razie tyranem. Tyrania i królestwo nie są przeto dwie różne formy państwowe, lecz ten sam władca otrzymuje jako tytuł zaszczytny nazwę króla, jako obelżywy tyrana (według przesądów obywateli jak wiemy, wcale nie uprawnionych do orzekania, czy władca rządzi sprawiedliwie lub nie, dobrze czy źle!). Co zaś w pismach czytamy przeciwko tyranom, pochodzi od pisarzy greków i rzymian, w których władza była przy ludzie lub arystokratach, przeto nie tylko tyrani, lecz także królowie byli znienawidzeni.“ (VII, § 3).

Zachodzi wreszcie pytanie, czy ten potwór wszechmocnego państwa może być prawnie zniesiony, względnie rozwiązany? „Ponieważ

¹⁾ Natomiast Pliniusz w Panegiryku na Trajana rozdz. 48 powiada: „Scit, ut sunt diversa natura dominatio et principatus, ita non aliis esse principem gratiorem, quam qui maximo dominum graventur.“

najwyższa władza powstała wskutek umowy obywateli, mógłby kto przypuszczać, że też za zgodą wszystkich może być zniesiona. Ale choćby tak było jakież ztąd wyniknie niebezpieczeństwo dla panującego? Ponieważ owa pierwotna umowa obejmuje wszystkich, opór jednego wystarczyłby, aby zwichnąć umowę co do rozwiązania państwa. Otóż nie można przypuścić, aby wszyscy obywatele równocześnie i bez wyjątku oświadczyli się za zniesieniem najwyższej władzy ¹⁾. Dla tego nie jest rzeczą prawdopodobną, aby panujący legalnie mógł być wyzuty z swęj potęgi i swego urzędu. Wprawdzie przeważa zdanie, że skoro obywatele biorą się, bądź to zwołani przez władzę, bądź w celach powstańczych, zgoda większości równa się zgodzie wszystkich. Jest to zdanie błędne; bo z natury rzeczy zgoda większości nie jest zgodą wszystkich, ani w powstaniu; jest nią wtedy tylko, jeżeli najwyższa władza zwołuje obywateli i z powodu ich zbyt wielkiej liczby ustanawia, że wybrani mają przemawiać w imieniu wyborców, większość w imieniu ogółu. Tymczasem nie można przypuścić, aby panujący zwoływał obywateli do rozstrząsania swego własnego prawa do władzy, chyba że wskutek uprzykrzenia sobie tronu, pragnie ustąpić.

„Często z nieświadomości przypisujemy legalność uchwałom, zapadłym nietylko wskutek zgody większości, lecz nawet tylko wskutek woli mniejszości solidarnej i zdolnej narzucić swe zdanie zgromadzeniu publicznemu. Ale chociaż władza państwowa powstała na mocy umowy jednostek pomiędzy sobą, prawo panowania nie na niej jedynie się zasadza, lecz nadto na zobowiązaniu się obywateli w obec właściciela najwyższej władzy, (tu więc autor oprócz owęj pierwotnej umowy, na której zasadza się państwo, wsuwa jeszcze do swego systemu specjalne zobowiązanie się, czyli darowiznę wobec właściciela najwyższej władzy). Przy umowie każdy obywatel oświadczał: „Przelewam moje prawo na tego, abyś i ty twoje prawo na niego przelał;“ i dla tego prawo każdego celem spólnego pożytku zupełnie oddaném zostało jednęj osobie lub jednemu zgromadzeniu (osobie zbiorowęj). Ponieważ więc istnieje najprzód umowa zawarta przez jednostki pomiędzy sobą, powtóre zaś darowizna prawa, przelanego na panującego, przeto władza najwyższa jest zabezpieczona dwojakim zobowiązaniem się. Obywatele zatém, choćby ich było jak najwięcej, nie mogą prawnie stracić władzy z tronu ²⁾.“

1) Tu nagle autor powołuje się na liberum veto!

2) Przeciwnie J. J. Rousseau z tęj samęj zasady umowy dochodzi do wniosku, że władza wykonawcza nie stała się panem narodu, lecz urzędnikiem, i dodaje: „Quand dono il arrive que le peuple institue un gouvernement héréditaire, soit monarchique dans une famille, soit aristocratique dans un ordre de citoyens, ce n'est point un engagement qu'il prend; c'est une forme provisionnelle qu'il donne à l'administration, jusqu'à ce qu'il lui plaise d'en ordonner autrement.“ „Du contrat social,“ III, 18.

„Taki więc jest początek państwa, owego Leviathana ¹⁾ albo dokładnej śmiertelnego Boga, któremu pod nieśmiertelnym Bogiem zawdzięczamy pokój ²⁾ i opiekę.“ Czuł Hobbes potworność swego ideatu państwowego, dla tego go porównał trafnie z Leviathanem, owym mytycznym potworem, o którym mówi księga Hioba: „Ciało jego jakby pokryte stalowymi łuszczkami, z paszczy buchają płomienie i pochodnie, z nosa dym jak z rozpalonego kotła, na swym karku niesie moc, przed nim kroczy nędza; serce jego twarde jak kamień, na ziemi niema potęgi równej mu, bo jest stworzony, aby się nie bał nikogo, a królował nad dziećmi pychy,“ a dodaje objawienie św. Jana: „I kłaniali się bestyi, mówiąc: Któż podobny bestyi? A kto z nią walczyć może. I dano jej usta mówiące wielkie rzeczy i bluźnierstwa... I dano jej walkę czynić ze świętymi i zwyciężać je. I dano jej władzę nad wszelkiem pokoleniem i ludem i językiem i narodem!“ Co tu w słowach apostoła odnosi się niezawodnie do wszechwładnej Romy, w wyższym nierównie stopniu można zastosować do Leviathana Hobbesa. Bo nawet cezaryzm rzymski uznawał pewne starsze od państwowych prawa własności, rodziny i t. d. gdy w teorii angielskiego pesymisty wszechwładne państwo staje się jedynym i wyłącznym źródłem wszelkich praw naturalnych i obywatelskich, tudzież wszelkich pojęć moralnych.

(d. c. n.).

1) „Leviathan“ rozdz. 17.

2) „On vit tranquille aussi dans les cachots, en est ce assez pour s'y trouver bien?“ J. J. Rousseau.

Z PSYCHOLOGII EMPIRYCZNEJ.

(Pamięć, Wola i Osobowość wedle T. Ribot).

PRZEZ

S. Smolikowskiego.

T. Ribot. — Choroby Woli. Przełożył z francuzkiego J. K. Potocki. Warszawa. Nakładem księgarni Gruszeckiego. 1885, str. XXXIV, 165.

Choroby Osobowości. Przełożył z francuzkiego J. K. Potocki. Warszawa. Tamże, 1885, str. XXII, 186.

Choroby Pamięci. Przełożył z 3-go wydania oryginału Julian Steinhauz. Warszawa. Nakładem księgarni Gruszeckiego. 1886, str. II, 185.

T. Ribot, redaktor wychodzącego od r. 1876 w Paryżu „Przełglądu filozoficznego“ i autor bardzo pożytecznych pod względem informacyjnym dzieł o psychologii współczesnej w Anglii ¹⁾ i w Niemczech ²⁾, oraz pięknej pracy o „Dziedziczności psychicznej“ ³⁾ i rozbiotu filozofii Schopenhauera ⁴⁾, wydrukował w organicie swoim filozoficznym w latach 1880—84 szereg ciekawych studyów, odnoszących się do istoty „pamięci“, „woli“ i „osobowości“ ludzkiej. Studya te nie są wynikami własnych badań autora, ani poglądami zupełnie ory-

¹⁾ 1-sze wyd. w 1871; 2-gie w 1875; 3-cie w 81. Posiadamy przekład polski J. Ochorowicza z drugiego wydania p. t. „Współczesna psychologia w Anglii.“ Warszawa, 1877.

²⁾ La psychologie allemande contemporaine. École expérimentale. Paris, 1879. Drugie wydanie, 1885.

³⁾ Posiadamy przekład polski z 2-go poprawionego wydania St. Bartoszewicza p. t. „Dziedziczność psychologiczna.“ Warszawa, 1885 r.

⁴⁾ La Philosophie de Schopenhauer. Paris, 1874, 2 wyd., 1885.

ginalnem, ale umiejętnem zestawieniem i usystematyzowaniem naukowym materiału, powstałego ze spostrzeżeń badaczy specjalistów, to jest medyków w ogóle i psychiatrów w szczególności. Materiał ten, odnoszący się do wielu nader ważnych a spornych punktów psychiatrii, na jaw wydobyty, wzbogaca zarazem i psychologią, wcielając do jej zakresu to, co dotąd stanowiło dodatkowe spostrzeżenia medyków i fizyologów przy specjalnych ich poszukiwaniach klinicznych. Zebranie wielu ciekawych i doniostych faktów z dziedziny zjawisk psychicznych w pewną systematyczną całość, nadaje tym faktom inne niż dotąd, często zupełnie nowe, a w każdym razie czysto naukowe oświetlenie i ułatwia tym sposobem orientowanie się wśród materiału, rozrzuconego dotąd po pismach medycznych i przyrodniczych, wskazując przytém na obecny stan danych kwestyi w literaturze naukowej. Studya te są też wyborań ilustracją kierunku i metody badań nowszej szkoły psychologów empiryków, usiłujących nadać badaniom swoim podstawę ściśle naukową, opartą na analizie faktów, schodzącej do najelementarniejszych ich składników i szukającej wyjaśnienia objawów myśli, woli i uczucia w najprostszych zjawiskach biologicznych. Jasność wykładu, właściwa autorowi we wszystkich pracach jego, odznacza szczególnie wspomniane trzy studya, zwłaszcza w osobnem ich wydaniu skróconem i w części przerobionem ¹⁾, czyniąc je tym sposobem cennymi nabytkami w specjalnych kwestyach psychologii nowoczesnej.

Chociaż studya nad „pamięcią“, „wolą“ i „osobowością“ ludzką nie są oryginalnem, t. j. nie są wynikiem nowych badań i spostrzeżeń samego autora, mają jednakże cechę samodzielną w dążności swojej, ujawniającej się w samem nawet ugrupowaniu materiału. Ugrupowanie to bowiem skutecznił autor w sposób, jaki wydał mu się najodpowiedniejszym dla uwydatnienia myśli jego przewodniej, a mianowicie: rozpatrywanie zjawisk psychologicznych na tle teoryi ewolucyi, oraz zastosowanie do ich badań metody empirycznej, polegającej w danym przedmiocie na analizie zjawisk ogólnych, sprowadzającej je do najbardziej elementarnych i wyjaśniającej złożone ich przejawy najprostszemi ich postaciami. Metoda ta, zastosowana już z powodzeniem przez autora w dziele jego o „Dziedziczości psychicznej“, i we wspomnianych trzech studiach sprowadza zjawiska psychiczne do biologicznych, psychologią do biologii, a przynajmniej daje jej za podstawę ogólne funkcyje życiowe, czyniąc najbardziej syntetyczne objawy duchowe uogólnieniem całego łańcucha objawów podrzędnych i schodząc tym sposobem do najpierwotniejszych ich zjawisk. Jest to nowe stanowisko nauki, która rugując ze swego zakresu goszczące w niej tak długo i tak wy-

¹⁾ W zbiorze „Bibliothèque de philosophie contemporaine,“ 1881—1885.

łącznie istności o d e r w a n e (entités), wyjaśnia odpowiednie im zjawiska z konkretnych danych biologicznych.

Autor rzeczonych monografi nazwał je: „Chorobami“ pamięci, woli i osobowości. Zdawałoby się więc, że traktuje wyłącznie o patologicznych zjawiskach duchowych, ale właściwie objawy chorobne tych aktów psychicznych, służą mu tylko za wskazówkę do zrozumienia natury ich normalnej, czyli ich istoty. I rzeczywiście, zboczenia od danej normy, chorobne rozwijanie się pewnych funkcji, są najlepszym probierzem pozytywnym w metodzie analitycznej, gdyż owe wybujałości nienormalne, silnie uwydatniając pewne szczególne strony zjawisk, a przez to i ich składniki elementarne, pozwalają zarazem wyprowadzić wnioski o naturze całości złożonej, albo lepiej całości usystematyzowanej organicznie, jakimi wedle Ribota są: pamięć, wola i poczucie osobowości czyli ludzkie: „ja.“ To też takie analizowanie objawów psychicznych, czyli rozkładanie ich na części składowe, fizyologiczne, zastosował on nader umiejętnie przy rozbiórce procesu stopniowego słabnięcia i utracania „pamięci,“ „woli“ oraz poczucia „osobowości,“ a nadto co do „pamięci,“ potwierdzając swe wnioski na przykładach powrotu danych indywiduów od władz utraconych, odbywającym się w odwrotnym lecz stale odpowiednim porządku. Metodę tę badań nazwał Ribot „dysolucyjną;“ odpowiada ona w zupełności „ewolucyjnej,“ nieraz już w nowszej psychologii stosowanej, głównie przez Herberta Spencera, ale idzie w kierunku wprost przeciwnym.

I. Rozprzęganie się pewnych działań psychicznych pod wpływem chorób lub pewnych specjalnych czynników, daje możność wnioskować o ich powstawaniu i rozwoju w stanie normalnym. I tak np. w „amnezjach postępowych,“ t. j. w takich gatunkach „ogólnej choroby pamięciowej,“ które „przez powolny i nieustanny proces rozkładu prowadzą do zupełnego zniknięcia pamięci,“ bieg choroby jest bardzo pouczający, zdaniem Ribota, „gdyż pokazując nam, w jaki sposób pamięć się rozkłada, objaśnia on nam, jaką jest jej organizacja“ ¹⁾. Badanie różnych przejawów tej choroby przekonywa autora, że istnieje pewne stałe prawo „postępowego rozkładu pamięci,“ które formułuje on w ten sposób:

Rozkład postępowy pamięci „zchodzi stopniowo od form niestających do stałych.“ „Rozpoczyna się od najświeższych wspomnień, niedobrze ustalonych w elementach nerwowych a kończy się na pamięci czuciowej, instyktownej, ustalonej w organizmie, stanowiącej jego część, albo raczej jego samego i przedstawiającej najwyższy stopień organizacyi“ ²⁾.

I rzeczywiście porządek ten potwierdzają wszystkie przytoczo-

¹⁾ Choroby pamięci, str. 102.

²⁾ str. 107.

ne przez autora spostrzeżenia i badania kliniczne psychiatrów, ale ważniejszymi są przykłady dowodzące odpowiedniego porządku przy powrocie chorych do zdrowia. Takie mianowicie przykłady, w których przy rozwoju choroby utrata pamięci szła od wspomnień najbliższych do najdalszych, a powrót pamięci odbywał się stale w odwrotnym porządku t. j. od najdalszych do najbliższych. Przykładów takich trudniej było autorowi nagromadzić, raz, że dotąd mało zwracano na to uwagi, powtóre, że choroby najodpowiedniejsze do tego rodzaju badań, rzadko kiedy kończą się powrotem do zdrowia. Z kilku przytoczonych wypadków, jeden jednakże zapożyczony z obserwacji Koemfena, pomieszczonej w „Pamiętnikach“ paryżkiej Akademii medycznej, jeszcze w r. 1835 jest decydującym ¹⁾).

Ribot uznaje niezbędność stawiania hipotez naukowych dla wyjaśnienia badanych zjawisk, ale przytém sam zaleca zachowanie ostrożności w tym względzie, co w takich przedmiotach jak obserwacje psychologiczne nieraz jest rzeczą bardzo trudną. Prawo to jednakże psychologiczne, które tylko co przedstawiliśmy, uważa on za prawdziwe, dopóki nie napotka dowodów przeciwnych. Pomijając to, że prawo to lepiej od innych teorii tłómaczy rzeczony zjawiska, prawdziwość jego potwierdza, zdaniem Ribota, i ta okoliczność, że jest ono zupełnie zgodnem z ogólnem prawem biologicznem, którego téż ma być tylko szczególnym objawem. „Powszechnie znanym jest fakt biologiczny, powiada Ribot, że to co powstało najpóźniej, najwcześniej podlega rozkładowi,“ dalej, że „w zjawiskach biologicznych rozkład odbywa się zawsze w porządku wprost przeciwnym temu, w jakim odbywa się rozwój. Hughlings Jackson pierwszy szczegółowo wykazał, że czynności wyższe, złożone, specjalne, dowolne układu nerwowego znikają najwcześniej, zaś czynności niższe, proste, ogólne, automatyczne — najpóźniej. Obydwa te fakty skonstatowaliśmy w rozwoju pamięci: co nowe, to ginie wcześniej od starego, co złożone — wcześniej od prostego“ ²⁾). Łączność ta praw psychologicznych z prawami biologicznymi jest téż kanonem nauki współczesnej, a Ribot nie nuży się w powtarzaniu, że „pamięć jest faktem biologicznym,“ jest to mianowicie „pewna całość skojarzeń dynamicznych, bardzo stałych i zawsze gotowych, aby się zbudzić“ ³⁾).

Dalsze wyniki studyum Ribota o pamięci są następujące: „Pamięć jest ogólną czynnością całego układu nerwowego; podstawą jej jest własność elementów, mocą której przechowują one otrzymane modyfikacje i dążą do tworzenia skojarzeń.“ Te skojarzenia wynikające z doświadczenia nazwał autor dynamicznymi, dla odróżnienia od skojarzeń naturalnych czyli anatomicznych. Przechowywanie

1) str. 109—111.

2) str. 112.

3) str. 25.

tych skojarzeń dynamicznych warunkuje się odżywianiem, które odnawiając je bezustannie utrwała; zdolność zaś odtwarzania zależy głównie od obiegu krwi. „Odżywianie i przechowywanie, te najgłówniejsze podstawy pamięci, są więc związane z zasadniczymi czynnościami życiowymi. Reszta—świadomość i dokładne umiejscowienie w czasie—jest tylko udoskonaleniem. Pamięć psychiczna jest tylko najwyższą i najbardziej złożoną formą pamięci“¹⁾. Gdyż w ogóle „pamięć świadoma jest tylko szczególnym wypadkiem pamięci biologicznej“²⁾.

II. Podobnie jak w studyum o pamięci Ribot usiłował dowieść, że pamięć nie jest oderwaną jakąś siłą, ani odrębną, jednolitą własnością organizmu, tylko syntetycznym powiązaniem różnych funkcji organicznych; tak znowu w studyum o woli uwydatnia on, że i ta funkcja organizmu nie jest odrębną jakąś własnością duchową, ale tylko „koordynacją“ to jest pewną „sumą stosunków,“ albo inaczej „sumą skutków,“ „wypadkową, która się zmienia w zależności od swoich pierwiastków“³⁾.

Dla potwierdzenia tego założenia, autor rozwija cały zasób dowodów zaczerpniętych z patologii woli. Metoda nazwana przezeń „disolucyjną,“ a której użył przy analizie pamięci, znalazła też szczególniejsze zastosowanie przy badaniu istoty woli. A zadanie było tu trudniejszym, gdyż samo rozumienie „woli“ mniej jest ustalonym w nauce aniżeli „pamięci,“ a przytém napotyka na trudniejsze zagadnienia i częściej każe uciekać się do hipotez. To też więcej spotykamy tu ciemnych stron teorii, więcej domysłów, niż w pierwszym studyum.

Badanie objawów woli, a głównie stanów jęj chorobnych, odkrywa autorowi dwa główne pierwiastki jęj ustroju. Są niemi „skłonności do czynu lub powściągu“ i „charakter.“ Pierwsze są wynikiem przyczyn „zewnątrznych,“ to jest rozwinięte pod wpływem różnych okoliczności, rad, wychowania. Drugi czynnik, pierwiastek główny woli t. j. charakter jest wynikiem przyczyn „wewnętrznych,“ t. j. „wypadkową owęj nieskończonej liczby stanów i niezmiernie małych skłonności wszystkich pierwiastków anatomicznych, składających dany organizm.“ Charakter ów będący „psychologicznym wyrazem pewnego ciała ustrojowego,“ jest zarazem ostateczną podporą, na której spoczywa możność chcenia i na której opiera się ta różnorodność objawów woli, która ją czyni dla nas: energiczną, miękką, niestałą, pospolitą, niezwykłą⁴⁾.

Rozpatrując dalej wolę, już nie w jęj pierwiastkach składowych, lecz w fazach jakie przebywa zanim się ukonstytuje, przekonywa się

1) str. 183.

2) str. 58.

3) Choroby woli, str. 138—9.

4) str. 139.

autor, że „chcenie jest ostatnim wyrazem stopniowego rozwoju, którego pierwszym i prostym szczeblem jest odruch.“ Naturalnie, że pomiędzy temi krańcowymi przejawami zdolności wykonywania czynów czyli—reagowania, jest cały łańcuch pośrednich jój stopni, a chcenie będące świadomym reagowaniem jest wynikiem przyczyn spoczywających w danym osobniku, w jego otoczeniu i w całym jego gatunku a nawet w gatunkach.

Tak jak patologiczne objawy pamięci dały możność autorowi wykrycia prawa rozkładu pamięci, tak znowu patologia woli wykrywa, zdaniem jego, prawo rządzące rozprzężeniem się woli (dissolucją woli), sformułowane przezeń ostatecznie w następujący sposób: „rozprzężenie (dissolucya) dokonywa się w kierunku wstecznym od bardziej dowolnego i złożonego do mniej dowolnego i prostszego, t. j. do automatyzmu ¹⁾.“

Jest to porządek wprost przeciwny rozwojowi. Dissolucya wskazuje tu przebieżoną pierwiastkowo ewolucją procesu woli w osobniku: to co uformowało się najpóźniej znika najwcześniejszy, to co najwięcej złożone, ustępuje wpierw niż mniej złożone, objawy najprostsze znikają najpóźniej gdyż są najtrwalsze, najbardziej automatyczne, graniczą niemal z odruchem; „ostatni wyraz ewolucyi“ jest więc „pierwszym słowem dissolucyi ²⁾.“

Powiedzieliśmy, że badanie woli trudniejszym jest od badania pamięci, i rzeczywiście objaw ten psychiczny jest jeszcze bardziej złożonym, i bardziej zagadkowym niż proces pamięci, a więc i dla hipotez większe jeszcze następcza pole. Można się zgodzić z Ribotem co do zaznaczonego przezeń porządku w „koordynacyi stanów woli,“ ale istota tego procesu pozostanie tajemnicą, z mniejszymi widokami odkrycia jój niż w procesie pamięci, od której zresztą nie odrywa się ona w zupełności, czego między innymi dowodzą niektóre wypadki afazy czyli niemoty. Wprawdzie i Ribot przyznaje, iż sposób w jaki wola porusza naszymi członkami jest tajemnicą, ale, dodaje, tylko dla tych którzy w niej widzą uparcie przyczynę a nie skutek, jakim ona jest w istocie. Usuwa więc tę tajemnicę, tłumacząc że jój być nie może w obec przekonania, że „wola“ nie jest przyczyną tylko skutkiem, że nasze „chcę“ zaznacza tylko pewne położenie, lecz go nie tworzy ³⁾. „Tajemnicy owęj czynów dokonanych, powiada on, trzeba szukać w naturalnej skłonności uczuć i wyobrażeń do ujawnienia się w ruchu.“

„Mamy tutaj, mówi dalej, pewien bardzo złożony wypadek prawa odruchów, wypadek, gdzie pomiędzy tak zwanym okresem pobudzenia i okresem ruchu ukazuje się pierwszorzędny objaw psychiczny „chcenie,“ zaznacza ono, że pierwszy okres się kończy, a zaczyna drugi ⁴⁾).

¹⁾ Choroby woli str. 141.

²⁾ Tamże str. 147.

³⁾ str. 163—4.

⁴⁾ str. 164.

To chcenie jednak, uważane samo w sobie pozbawione jest wszelkiej skuteczności w zakresie czynów, gdyż wola wedle orzeczenia samego Ribota jest tylko „szczęśliwym przypadkiem 1)“. W tej wypadkowej zawitej koordynacji, jaką jest wola, głównym czynnikiem jest charakter osobnika. Charakter zaś, który nadaje jej całą siłę i „konkretną jedność zgodności (consensus)“, będący „psychicznym wyrazem ustroju osobnika“, jest właśnie najtrudniejszym do zbadania zagadnieniem w psychologii, gdyż jest syntezą wszystkich czynników działalności organizmu a więc najbardziej złożonym objawem, dla ścisłych badań prawie niedostępnym. Z jednej więc strony owa „naturalna“, ale dodajmy, dotąd niewyjaśniona, „skłonność uczuć, wyobrażeń i pojęć do ujawnienia się w ruchu“, a z drugiej—charakter osobnika, nie przestają być dla nauki tajemnicą. Tajemnicą o tyle naturalnie, o ile nieznamy samego procesu ich tworzenia się. Bo to, że zdajemy sobie sprawę z kolejności tych zjawisk i rozumiemy ich wzajemną zależność, nie wyprowadza nas jeszcze poza sferę prostego konstatowania faktów. Rzecz się ma zupełnie tak samo i z uzewnętrznieniem się tych czynności psychicznych, które nazywamy w ogóle wolą, bez względu na to czy ją uważać będziemy za przyczynę czy skutek.

A w obec tego wszystkiego głoszone przez autora usunięcie jakoby tej tajemnicy psychologicznej przez nieszukanie przyczyny tam gdzie jest tylko skutek, aktu prymordyalnego tam gdzie jest tylko siła wypadkowa, nie jest właściwie zupełnym usunięciem jęj z zakresu psychologii, ale tylko przesunięciem jęj na inny, dalszy plan. Rzecz się tu ma podobnie jak w ogóle z usuwaniem zagadnień filozoficznych z zakresu nauki, dokąd one powracają stale, choć inną drogą i pod inną postacią.

Zresztą bezsilność nauki dotychczasowej w obec tych najwyższych zagadnień umysłowych wcale się nie zmniejsza przez to, iż autor, jako wynik pracy swojej podaje, że „wola człowieka rozsądnego jest koordynacją niezmiernie złożoną i nietrwałą, jest kruchą w skutek samęj już swojej wyższości; i kończy słowami Maudsley'a określającami wolę ludzką jako: „siłę najwyższego porządku, jaką natura zdołała wytworzyć dotąd,—ostatni wykwit, streszczający w sobie wszystkie jęj dzieła cudowne 2)“.

III. Badanie pamięci i woli z istoty swojej prowadzi do innęj, równie a nawet więcj jeszcze zagadkowęj, a przytęm nader ważnej kwestyi wyjaśnienia „osobowości“, to jest poczucia jaźni naszęj czyli odrębnosci, jednolitości i tożsamości naszego „ja.“ Kwestya ta jest tak ważną, że nie można się dziwić, jeżeli i dotąd jeszcze psychologia idealistyczna na punkt ten głęwnie wytęęza swoje uwagę i na nim

1) str. 81.

2) str. 165.

opiera się uporczywie przy udowodnianiu istnienia odrębnej, świadomej i nieśmiertelnej duszy ludzkiej.

Nie takie są dążności przedstawicieli psychologii doświadczalnej, z umysłu krępujących polot swych pragnień w celu wytrwania na stanowisku czystej nauki to jest konstatawania faktów i tylko faktów. Łatwo też zrozumieć z poprzedniego jakie stanowisko zajmie Ribot w tej kwestyi i jaką metodą będzie badał ten ważny objaw psychiczny naszego organizmu. Zresztą i sam tytuł ostatniej z trzech rozpatrywanych przez nas monografii, głoszący „Choroby osobowości“ pokazuje na jaką stronę tych objawów położy on nacisk szczególnie, zastosowując też samą co i w poprzednich studiach metodę „dissołucyjną.“

Powiedzieliśmy, że badanie woli i pamięci prowadzi z istoty swojej do wyjaśnienia osobowości, i rzeczywiście, oznaczone temi terminami procesa psychiczne wiążą się tak ściśle ze sobą, że właściwie rozrywanie ich w badaniach może być usprawiedliwione jedynie dążnością wysledzenia wybitnych cech i źródeł tych funkcji, nie zaś uwydatnienia zupełnej ich odrębności. To też, mówiąc jeszcze o pamięci, nie mógł autor pominąć naturalnie z nią łączącej się kwestyi o jaźni i świadomości i podnieść słusznie fakt, że poczucie tożsamości osoby czyli „jedność jaźni“ „nie jest jednością punktu matematycznego, lecz jednością niezmiernie złożonej machiny. Jest to odczucie naraz wszystkich czynności życiowych, koordynowanych najprzód przez układ nerwowy, tego koordynatora par excellence, a potem przez świadomość, której przyrodzoną formą jest jedność 1).“ Owa ta świadomość nadaje jaźni naszej jedność, ale ta jedność ze swojej strony warunkuje się pamięcią, która umożliwia i zachowuje skojarzenia. I rzeczywiście, przy poczuciu naszej osobowości to jest tożsamości naszego „ja,“ zależność świadomości od pamięci tak jest widoczną, że nader często spotykamy w traktatach psychologii całe rozprawy o tém czy pamięć warunkuje poczucie tożsamości, czy na odwrót poczucie tożsamości jest źródłem pamięci. Wedle jednych bowiem bez pamięci mielibyśmy tylko poczucie teraźniejszości, a więc niemoglibyśmy dojść do pojęcia tożsamości naszej osoby ujawniającej się w kolejności stanów czyli w czasie; wedle innych bez poczucia tożsamości mielibyśmy wprawdzie, dzięki pamięci, świadomość naszych stanów przebytych, ale nie uważalibyśmy ich za nasze własne. Otóż formułowanie pytania tego w sposób powyższy, podobnie jak w ogóle wychodzenie w badaniach psychologicznych od pojęcia z góry powziętego o odrębnej jakiejś sile, jaką jest np. osobowość, jest błędem wedle Ribota. Badając bowiem osobowość ludzką, podobnie jak przy badaniu pamięci i woli, należy, zdaniem jego, przedewszystkiém pozbyć się takięj z góry ułożonej istności nazależnej a natomiast przez analizę samego zjawiska dojść do najelementarniejszych składników tego objawu psychicznego. Analiza taka będzie zarazem odpowiedzią na powyższe pytanie:

1) Choroby pamięci, str. 96.

który z objawów psychicznych, pamięć czy osobowość jest przyczyną, a które skutkiem? Odpowiedzią znoszącą samo to pytanie, gdyż żaden z tych objawów w obec ich analizy nie przedstawi się jako przyczyna drugiego, ale oba okażą się skutkami, których wspólne przyczyny tkwią w organizmie ¹⁾. „Źródło ich wspólne znajduje się w ustroju, w którym i tożsamość i pamięć są właściwie t^ęm sam^ęm ²⁾.“ Tak zaś jak pamięć organiczna jest podstawą pamięci psychicznej, to jest najwyższej swojej formy, tak samo i indywidualność organiczna, to jest osobowość, jest podstawą wszystkich najwyższych j^ęj form, będących tylko stopniowemi j^ęj udoskonaleniami. A wobec tych faktów, stwierdzonych badaniami patologicznymi ich przeobrażeń się, jasnym staje się dla badacza, że i poczucie tożsamości oraz jedności naszego „ja“, jest zjawiskiem nader złożon^ęm, że owa jedność jest właściwie wielością usystematyzowaną, czyli całością złożoną, a teoria ewolucji łącznie z zastosowaną do niej metodą „dissolucyjną“ potwierdza nadto, że poczucie owe idzie nie z góry lecz z dołu i że świadomość, podobna jak w procesie pamięci, udoskonala je lecz go nie stanowi, nie stwarza.

Jedn^ęm słow^ęm, autor stara się tu udowodnić to, co jest równie^ęż podstawą wszystkich jego bada^ń poprzednich a mianowicie, że wszelkie procesa psychiczne bez wyjątku są udoskonalonemi procesami nerwowymi a więc, że i osobowość psychologiczna jest odbiciem się osobowości biologicznej, że jaki ustrój, taka osobowość, a powtóre, że podobnie jak pamięć i wola, osobowość jest nader skomplikowaną koordynacją, a jako wyższy i psychiczny objaw nader to krucha i zmienna synteza.

Oto treść i kierunek prac nagłówkiem artykułu niniejszego objętych. Jeżeli można zgodzić się z autorem na ich wyniki, to tylko o tyle, o ile sam on ma poczucie niedostateczności materiału, jaki nauka dotąd zgromadzić zdołała w t^ęj kwestyi i o ile konsekwentnie z t^ęm nie przedstawia wyników tych jako ostatecznych, niezbitych dowodów nauki, ale jako wskazówki usprawiedliwiające hipotezę, służyć mającą przedewszystki^ęm do orientowania się w studiach psychologicznych, które dotąd, wychodząc z nieuzasadnionych doświadczeniem teoryi, lekcewałyły stron^ę doświadczalną, empiryczną. Współczesna szkoła psychologii doświadczałnej, a której historiją przedewszystki^ęm zajmował się Ribot sympatyzując z nią najwięcej i idąc sam j^ęj śladem, staje na stanowisku wręcz przeciwn^ęm szkole idealistycznej; usuwając bowiem pytania dążące do rozstrzygnięcia istoty zjawisk psychicznych, bada ona ich objawy konkretne, dając zaś materiał, pomagający do umiejętnego ugrupowania ich i oznaczenia pewnej stał^ęj pomiędzy nimi prawidłowości, bynajmniej

¹⁾ Choroby osobowości, str. 104.

²⁾ Tamże, str. 105.

przycém nie rości pretensyi do wypowiedzenia ostatniego słowa nauki, a hipotezy swoje uważa, w teoryi przynajmniej, za tymczasowe. Tęj drogi właśnie z zasady trzyma się Ribot, to też przeciwko uogólnieniom jego nie można robić zarzutów metodologicznych, gdyż ugrupowane przezeń fakta dają rzeczywiście wskazówki ich wzajemnej łączności i prawidłowości, a hipotezy jego, jako rezultaty zestawień nie tylko w myśli naszej związanych ale i w naturze ujawnionych rzeczy, są rękojmią prawdy, chociaż, dodajmy, nie całej prawdy, tylko tej strony zjawisk, na którą zwrócono przy badaniach uwagę szczególną. Z zastrzeżeniem fragmentarności zdobytych danych, możemy więc uważać je za wyniki nauki a ich uogólnienia za hipotezy naukowe, to jest zgodne z wymaganiami dzisiejszej nauki, ale, dodajmy, czekające dalszego potwierdzenia od nauki jutrzejszej. Nie trzeba bowiem zapominać, że jakkolwiek każdy materiał umiejętnie zebrany, pozostaje zawsze cennym nabytkiem naukowym, to jednak stanowisko badacza względem przyrody nie pozostaje zawsze jednostajnym i stałym. Przeciwnie, stosunek myśli względem obiektu zmienia się ciągle, punkt obserwacyjny badacza a z nim i kąt widzenia jest w ciągłym ruchu, ruch ten pomaga zaznaczać różne strony badanego przedmiotu a z tąd razem z nowym materiałem zdobytym drogą obserwacji, rozszerza się jednocześnie i zakres badań i kąt widzenia. Każdy też kierunek badań, bez względu na to czy będziemy go zbyt ściśle nazywać idącym z „dołu,“ lub z „góry,“ jest uzasadnionym o ile badawca umiejętnie t. j. naukowo, i o ile nie ulega prądowi frakcyjnemu myśli naszej, dążącemu do identyfikowania pewnego zakresu zjawisk z całością wszechzjawiskową. Dziś psychologia jeżeli chce być nauką nie może obejść się bez podstawy naukowej, bez fizjologii. Już Jan Müller, w pierwszej ćwierci tego wieku, zaraz na początku badań swoich fizjologicznych głosił: „Psychologus nemo nisi Physiologus.“ Ci co dziś jeszcze obawiają się dla psychologii zlania jej z fizjologią są krótkowidzami, nawet ze stanowiska własnego ich, „szkołą“ zacieśnionego, poglądu idealistycznego. Prawda nie jest ani idealistyczną, ani materialistyczną, podobnie jak żaden z tych dwóch zasadniczych kierunków myśli nie jest błędem z upełnym, ani prawdą całą. Im więcej punktów widzenia i im szerszy kąt obserwacyjny, tćm więcej rękojmi zbadania danęj rzeczy wszechstronnie.

Psychologia nie oświecona biologią, powiedział Lewes, podobną jest do astronomii chaldejczyków, nie opartęj na matematyce. Samo obserwowanie gwiazd choćby najcierplwsze, nie wykryje nam tajemnicy ich obrotów, podobnie jak najsumienniejsze obserwowanie stanów naszej świadomości, nie odkryje ich praw. Bez pomocy i współdziałania innych czynników, całe wieki takich obserwacji nie wydałyby owocu, a nawet niezdołalibyśmy samą taką obserwacją poznać najelementarniejszych zjawisk ¹⁾.

¹⁾ Ribot, La psychologie anglaise contemporaine. 1875, p. 371.

Ale z drugiej strony nie należy tracić z oczu i innych kierunków myśli. Dziś już odwrócić można zbyt zaufaną w siebie tezę fizyologów o znaczeniu psychologii i zastosować ją do fizjologii, twierdząc, nie bez zasady, że psychologia wzbogaca również fizjologię i że fizjolog nieznający dokładnie zjawisk psychicznych, nie jest prawdziwym fizjologiem; a więc, że i badanie wewnętrznego doświadczenia na tle biologii nie jest zupełnie czczem i pozbawionem prawdziwości, bo także na tle rzeczywistości opartej, podstawy. Wszakże i socjologia należycie pojęta i zbadana z pewnością wzbogaci kiedyś i samą biologię, bo rozszerzając zakres badanych zjawisk życia, przyczyni się zarazem i do rozszerzenia pojęcia samego życia, a więc w ogóle biologii. Jeżeli zaś korzyść dla biologii z rozwoju socjologii ujawnia się już teraz w literaturze naukowej, to tém bardziej oczekiwać należy podobnej korzyści i dla fizjologii z badań psychologicznych w ścisłym ich znaczeniu, to jest nie tylko w pojęciu nowszej psychologii empirycznej, zlewającej się z fizjologią mózgu, ale także w pojęciu wszelkich badań zjawisk duchowych w ogóle, a więc i t. zw. wewnętrznej obserwacji. Sposób ten badania nie wydał wprawdzie dotąd rezultatu naukowego, gdyż był wyłącznym i zbyt oderwanym pojmowanym; przy innym zastosowaniu i głębszem pojęciu, stać się jednak może nowym, bogatym źródłem wiedzy psychologicznej.

Nauka korzysta zawsze na tém, gdy arsenał jej się zwiększa, pod warunkiem jednak aby znała broń swoją a przede wszystkim jej słabe strony. Żaden myśliciel głęboki nie jest też wyłącznie empirykiem tylko lub tylko idealistą, a gdy przedsięwzięcie badanie jakich zjawisk świata, nie traci przeświadczenia o granicach swojej metody badania. Empiryk prawdziwy nie będzie z materiału danego wysnuwał tego, czego on nie daje. Grupując fakta metodą indukcyjną może on uleść prądowi naturalnemu myśli, biegnącej często w innym, odwrotnym kierunku niż jej wskazał; rezultatu myśli swojej nie będzie jednak utożsamiał z rezultatem zbadanego materiału. Idealem mędrca nie jest ten co idzie niewolniczo za prądem epoki i bojąc się zarzutu nienaukowości nieśmie nawet nie wierzyć w to co nauka współczesna mu podaje jako niewątpliwy rezultat swój, jako prawdę naukową, a współczesna mu szkoła filozoficzna jako materiał pozytywny. Prawda, powtarzamy, nie jest ani naukową, ani filozoficzną, ani pozytywną, ani oderwaną, ani idealistyczną, ani materyalistyczną, ale jest zdobyciem faktu, wnikiem w stosunki i wzajemną zależność zjawisk, zmierzaniem całej ich strony faktycznej formą myśli naszej, jednym słowem zestawieniem praw zjawisk z prawami myśli, ujęciem faktu—myślą. Wszelka przesada z natury rzeczy popycha w odwrotnym kierunku, bo nie jest ujęciem całej prawdy, tylko jednej jej strony—potrzebującej dopełnienia. To też żadna szkoła nie daje zupełnie błędnego rezultatu badań, gdy ma przeświadczenie swego kierunku naukowego i gdy nie wykracza ze swym zasobem poza sferę odpowiednią to jest dostępną jej, jednym słowem, jeżeli nauka nie filozofuje, a gdy to czyni, jeżeli czyni ze świadomością. Szkoła empiry-

czna w psychologii o ile nie filozofuje, to jest nie wyciąga wniosków metafizycznych z danych, chociażby zdobytych doświadczeniem, ma też większe prawo do naukowości niż dotychczasowa psychologia idealistyczna, która filozofowała lekceważąc empiryę, i przewyższa ją o tyle o ile nie rozwiązuje tajemnicy. Skoro jednak głosi, że usuwa tę tajemnicę, przekracza tém samém swoje zadanie, to jest tajemnicy tej zaznaczenie, a przenosząc tylko punkt ciężkości metafizyczny, wpada w tę samą przesadę i to samo subiektywne snucie jakiego używała i nadużywała szkoła idealistyczna.

Ribota możnaby nazwać pozytywistą czystej wody; jako taki w badaniach swoich z zasady nie przekracza on granic nauki, którą się zajmuje, trzymając się danych zaznaczonych nie wychodzi ze sfery sobie zakreślonej, i o tyle prace jego są cennym nabytkiem i służą mogą wszelkim szkołom i poglądom do rozważenia. Trudność wytrzymania na takiem, odporném względem filozofii, stanowisku pozytywném czyli naukowém, jest znaczną dla umysłów głębszych, powiedzmy ciekawszych, ze stanowiska pozytywizmu nawet zanadto ciekawych. Często też uogólniają oni zbyt prędko. Dziwić się temu niepodobna, żądać jednak potrzeba aby te uogólnienia podawane były jako hipotezy tymczasowe, wymagające naukowego stwierdzenia. Nie zawsze jednak zastrzeżenie z góry, jakie spotykamy u autorów tej kategorii, że w snuciu hipotez starają się zachować stanowisko możliwie ostrożne i nie wykroczyć przeciwko metodzie czysto naukowej, znajduje swoje potwierdzenie w rzeczywistości. To też i wiele uwag Ribota, własnych lub powtarzanych, nosi cechę nie tylko subiektywnych, lub, jakby orzekli pozytywiści, filozoficznych zapatrywań się, ale i strona ich dowodowa nie zawsze jest dostatecznie naukową. Na to trzeba mieć ciągle uwagę zwróconą przy badaniach teorii współczesnej nam szkoły psychologii doświadczalnej; jakkolwiek bowiem i w hipotezach, o ile osnute są na rzeczywistych danych, może być czasem przecucie jakiej prawdy, należy jednak przyjmować je ostrożniej niż sami ich autorowie, a z drugiej strony nie przeceniać materiału, który często rzekomo tylko jest naukowym. Czasem i najtrzeźwiejszym pozytywistom zdarzy się przesada i największym empirykom—illuzya przy pojmowaniu znaczenia i w ocenianiu doniosłości dowodów.

Znaleźliśmy dwa takie słabe punkta u Ribota. Mówiąc o studjum jego o „woli,“ zaznaczyliśmy już zbyteczną pewność w prawdziwość odpowiedniej hipotezy. Drugim takim punktem nadającym się do krytyki jest przecenienie pewnych danych naukowych i niefilozoficzne rozumowanie przy wysnuwaniu hipotezy o świadomości.

Ze względu na ważność przedmiotu zastanowimy się dłużej nad tém pojęciem świadomości, następczającém autorowi pole do rozumowania, które wydaje nam się nieodpowiedniem i nieuzasadnionem naukowo i stanowi przeto niezrozumiały dla nas wyjątek przy ostrożnej i ścisłej w ogóle metodzie, jaką Ribot stosuje do swoich prac

psychologicznych. Wbrew ustalonym do niedawna jeszcze w psychologii metafizycznej poglądom na świadomość ludzką, jako na istotę duszy odrębnej i niezależnej od organizmu, Ribot wyprowadza świadomość, jak sam powiada, nie z gróry jak to czynią idealiści metafizycy, ale z dołu, to jest z ustroju organicznego, a lubo przyznaje jęj wartość psychiczną nader wysoką, nie uważa jęj jednakże, ani za dowód istnienia takiej odrębnej jednolitej siły, ani tęż za najwyższy objaw psychologiczny ustroju nerwowego człowieka. Świadomość, wedle Ribota, przeinacza i uduchownia, że się tak wyrazimy, procesa organiczne zamieniając je na psychologiczne. I tak pamięć organiczna podobnie jak i osobnik organiczny stają się pamięcią i osobnikami psychicznymi dzięki świadomości; ale świadomość nie warunkuje ich bytu. Świadomość bowiem, jak już powiedzieliśmy, nie „stanowi“ wedle autora ani pamięci, ani osobowości, ale je „uzupełnia“, „wykończa.“ I rzeczywiście „nędzną byłaby osobowość, powiada Ribot, nie mająca innej podstawy, oprócz świadomości; niedostateczność takiego przypuszczenia widoczną jest w obec faktów najprostszych; jak wytłómaczyć sobie np. dla czego po 6 lub 8 godzinach głębokiego snu, odnajdujemy siebie bez wahania? Nadawać istocie naszej osobowości taki rodzaj istnienia, aby znikła ona przynajmniej przez trzecią część naszego życia (świadomość)—jest to rozwiązywać zagadnienie w sposób szczególny ¹⁾.“ Teorye idealistyczne czyniące świadomość cechą istotną duszy nie przyznawały możności przerwy w świadomości, otóż Ribot swoją hypotezę świadomości jako procesu, że się tak wyrazimy, wtórnego, nieistotnego, opiera głównie na jęj przerwalności (intermittence) ²⁾. Jest to jednak najślabszy punkt jego hypotezy; walcząc przeciwko psychologom idealistom dowodzącym, że myślenie będące cechą duszy towarzyszy jęj zawsze, nawet gdy niemamy w pamięci przechowanych jęj przejawów, Ribot sądzi, że dosyć udowodnić istnienia snów pozbawionych wszelkich marzeń sennych aby obalić ich teorye. Powołuje się on w tym względzie na świadectwo Despine'a (Psychologie naturelle), opisującego okoliczności w których zdarza się niektórym łączyć chwilę usnięcia z chwilą przebudzenia w ten sposób jakby okres czasu chwilami temi objęty wcale dla nich nie istniał. Prawda, zdarza się to samo i przy zemdleniu, epileptycznych zawrotach głowy i w innych podobnych przypadkach. Ale zdarza się także, czemu i sam Ribot nie przeczy, że stany świadomości, nie pozostawiając żadnego śladu w pamięci w chwili obudzenia się, mogą odżyć nieco później. „Ograniczymy tu, powiada Ribot ³⁾, do możliwych granic liczby wypadków zupełnego przerwania się świadomości, ale nawet jednego tylko dość będzie, aby nastroczyć hy-

¹⁾ Choroby osobowości, str. 103.

²⁾ str. IX.

³⁾ str. XIII.

potrzebie, pojmującej duszę jako istotę myślącą, nieprzewyciężone trudności.“

Otóż nam się zdaje, że jest to błędne rozumowanie, gdyż ani obala ono teorii przeciwników Ribota, ani potwierdza własnego jego założenia o istocie świadomości, jak to on sam mylnie mniema. Można zgodzić się z autorem, że świadomość jest tylko dodatkowym zjawiskiem w procesie nerwowym, że ten ostatni jest zasadniczym i czynnym, psychiczny zaś proces (świadomość) jest „współrzędnym,“ „czémś naddatkowém ¹⁾“, „objawem towarzyszącym“ (un accompagnement) ²⁾; ale dla udowodnienia tego, „przerywalność“ jest zbyt słabym argumentem a nadto nie kwadrującym z zasadą ewolucji, będącej podstawą psychologii doświadczalnej. I tak pozwolimy sobie naprzód zauważyć, że zupełnej przerwy świadomości nikt nie jest w stanie udowodnić, nawet owego jednego faktu nie znajdzie autor udowodnionego rzeczywiście, naukowo. Na to nie posiadamy praktycznie żadnych danych, choćby nawet fakt ten był możliwy teoretycznie; ale i teoretycznie nie możemy sobie wyobrazić ścisłej granicy pomiędzy bezwiednym, tak zwanym nieświadomym, a świadomym myśleniem. Możemy być świadomi rezultatu nieświadomego procesu, i na odwrót świadomie szukać rozwiązania zagadnień, których rezultat zjawi się nam bezwiednie. Zresztą myślenie nie wypełnia całego zakresu świadomości i sam autor słusznie rozgranicza pewne stopniowanie w poczuciu osobowości a mianowicie: osobowość organiczną, uczuciową i umysłową. Ale wszystko to nie dowodzi jeszcze aby świadomość, jakkolwiek będąca zjawiskiem dodatkowym w procesach nerwowych, jakkolwiek zależna od pewnych szczególnych warunków im towarzyszących, była przerywaną w zupełności. Pamięć, ów proces psychiczny także w nerwach siedlisko swe mający, a który Ribot identyfikuje często ze świadomością, również nie może być bezwzględnie przerywaną w swojej organicznej działalności. Sam Ribot zwrócił ściślej, niż zwykle to czyniono, uwagę na stronę dynamiczną w procesie nerwowym przy zjawiskach pamięci, i bardzo słusznie, a właśnie ten dynamizm łącznie z zasadą a raczej faktem ewolucji, mógł być nasunąć mu myśl, że inna rzecz ujawnienie się działań drobinowych komórek nerwowych w postaci zjawiska psychicznego, a inna rzecz sam ich proces psychiczny wewnętrzny, utajony, niedostępny dla ścisłej analizy. Jeżeli zaś nie możemy logicznie przypuścić aby brak świadomości ujawnionej dowodził zawieszenia się odpowiedniego procesu w głębi organizmu, to i argument Ribota przeciwko idealistom nie ma znaczenia. Nie jest on „pozytywny jak fizjologia“ w obec „negatywnego“ argumentu „jak psychologia ³⁾“, gdyż właśnie fizjologicznie nie jesteśmy w stanie udowodnić absolutnego braku świadomości tam, gdzie brak

¹⁾ str. VII.

²⁾ str. XX.

³⁾ str. XIV.

tę ujawnia się nawet psychologicznie. Wadą w całym tym rozumowaniu jest szukanie istotowej, jakościowej różnicy, tam gdzie jest tylko różnica ilościowa, w stopniowaniu. Zresztą dodajmy, że argument idealistów tak jak go scharakteryzował Ribot nie ma podstawy z ich własnego nawet stanowiska, a więc i obalenie go nie ma naukowej doniosłości.

„Dusza jest liczbą w ruchu,“ orzekł niegdyś Pytagores; dziś mierzenie procesów psychicznych jest modą, ale wymierzając ich wartość liczebną, zapominają fizyologowie i psychologowie, że ujawniają stosunki jednej tylko strony zjawiskowej, że mierzą samą liczbę, ale nie znają liczby tej ruchu, co więcej, że miara ta jest raczej miarą ich własnych myśli, aniżeli procesu jaki badają. Otóż i u Ribota widoczna analiza tej liczby duchowej, ale niewyjaśniony zostaje ruch jej wewnętrzny, kojarzący całość syntetyczną i warczący bez przerwy w około niewidzialnej osi, jednym słowem, wypuszczony z uwagi dynamizm organizmu, którego pamięć, wola i osobowość są tylko uzewnętrznieniami dla nas. Dynamizm ten wyklucza statykę bezwzględną, a więc i wszelką przerwę istotną ruchu. Dodajmy jeszcze, że i sam Ribot idąc w tym względzie za H. Spencerem, a może schodząc się z nim jednocześnie, szuka logicznie przyczyn ciągłości zjawisk duchowych w głęboko ukrytej podstawie organicznej, ztąd słuszne zwrócenie przezeń baczniejszej uwagi na dynamizm w nerwach przy tworzeniu się pamięci. Otóż szukanie przerwy zupełnej świadomości jest zaprzeczeniem tego przekonania o podstawie organicznej zjawisk psychicznych. Jeżeli zaś zauważy kto, że brak świadomości choćby tylko ilościowo zmniejszonej, jest argumentem potwierdzającym hipotezę Ribota, powiemy: 1) że teza ta nie potrzebuje tego argumentu w obce uznania zasady ewolucjonizmu, 2) że bynajmniej nie obala ona zasady idealistów. Jeżeli zaś komu się zdawało, że krytyka rozumowania powyższego Ribota, nie zasługuje na tak szerokie uwzględnienie, powiemy, że punkt ten słaby należało podnieść właśnie dla tego, że uderza on témbardziej w autorze, będącym tak ostrożnym w snuciu hipotez nie tylko przy określaniu istoty, ale nawet i warunków zjawiania się procesów psychicznych ¹⁾. Widocznie uległ on tym razem złudzeniu, powziąwszy raz fałszywe przekonanie: 1) że tylko jego hipoteza o naturze zjawisk świadomości, może wyłómaczyć główną jakoby jej cechę—przerywalność, i 2) że przerywalność ta wzmacnia tę hipotezę ²⁾. Gdy tymczasem co do 1-go, idealisci mogliby odpowiedzieć, że dusza może myśleć sama w sobie a mózg może odpoczywać, co z ich stanowiska, przyznającego istnienie odrębnej istoty duchowej, a co właśnie miał obalić Ribot, nie jest zupełną sprzecznością. Co do 2-go zaś, przerywalność ta ani wzmacnia, ani osłabia jego hipotezy, gdyż nie jest zgodną z założeniem

¹⁾ Choroby osobowości, str. VIII.

²⁾ str. IX.

psychologii empirycznej, która powinna by przedewszystkiém odróżniać zjawisko świadomości uzewnętrznionej, od procesu samego w sobie wewnątrz-nerwowego. Zresztą i Ribot ostrzega w jedném miejscu, iż „nie należy brać za jedno indywidualności samej w sobie, istniejącej jako fakt w naturze rzeczy—z indywidualnością taką, jaka istnieje dla siebie samej, dzięki świadomości (sobowości“¹⁾). Toż samo uczynił przy „pamięci“²⁾. Otóż tę samą uwagę moglibyśmy zrodzić mu odnośnie do samej świadomości. I tu trzeba by dostrzedz różnicy pomiędzy ujawnioną i utajoną, jeśli można tak się wyrazić, świadomością, a wtedy nie byłoby przeskoku w zjawiskach badanych, podobnie jak ich nie ma w naturze. Inaczej zbyt czułe rozgraniczanie (jakościowe a nie ilościowe) będzie zawsze wadą w metodzie, podobnie jak jest błędem co do rzetelności. Brak bowiem świadomości, powtarzamy, nie jest brakiem bezwzględny, podobnie jak sen nie jest zupełnym zawieszeniem funkcji psychicznych. A jeżeli słuszném nawet jest twierdzenie autora, że przy zjawieniu się odpowiednich warunków i okoliczności, świadomość się zjawia, to dodajemy nie powstaje tu nowy proces, ale ujawnia się ukryty, podobnie jak przy przebudzeniu się ze snu, nowe warunki otoczenia nie stanowią nowego rodzaju życia psychicznego, ale są materyjalnym podkładem, paliwem, pomagającym świadomości uzewnętrznić się w inny, bogatszy sposób. Nic też nie upoważnia nas do obalenia twierdzenia, że w stanie utajonym, a nawet czynnym do pewnego stopnia, świadomość tkwi jakby we śnie swoim. To co autor nazywa brakiem jest raczej kwestyą stopniowania niż przerwy, to co on nazywa przerwą, jest tylko przerwą ujawnień się, to co nazywa zjawieniem się świadomości, jest jój uzewnętrznieniem się.

Trzy owe studia, których kierunek i znaczenie scharakteryzowaliśmy, zostały niedawno przełożone na język polski. Czy wybór był trafny? W odpowiedzi na to pytanie należy przedewszystkiém mieć wzgląd praktyczny na uwagę, a mianowicie nie tyle wartość rzeczy przełożonych, ile głównie potrzeby naszej literatury naukowej. Ponieważ zaś wzgląd ten ostatni nie znajduje dotąd dostatecznego u nas zastosowania przy wydawnictwie tłumaczeń rzeczy naukowych a szczególnie filozoficznych, pozwolimy sobie nieco obszerniej na pytanie to odpowiedzieć. Otóż zdaje nam się, że przy braku dobrych podręczników ogólnych, przedstawiających czy to historią pewnego kierunku myśli, czy to gałąź jaką filozofii w swój całości systematycznej, tłumaczenie specjalnych traktatów, które zresztą i sam autor spożytkuje prawdopodobnie przy dziele całość zjawisk psychicznych

¹⁾ str. 103.

²⁾ Choroby pamięci.

przedstawiającem ¹⁾, jest zbytkiem wydawniczym w ubogiej naszej literaturze filozoficznej. Nazywamy to zbytkiem, nie iżby rzeczy te nie zasługiwały na poznanie, ale ze względu, że wiele innych rzeczy jest nam potrzebniejszych, a więc i pożyteczniejszych dla nas w zakresie miejscowych warunków badań filozoficznych. I tak wspomniane trzy studia są materyałem tylko, chociaż naukowo i umiejętnie ugrupowanym, a powtórę dla specjalistów z pewnością znane w oryginale, bo żaden człowiek nauki nie obejdzie się, zwłaszcza w naszym społeczeństwie, bez znajomości obcych języków; dla przeciętnych zaś czytelników zbyt to specjalne kwestye. Nie mogą więc rzeczony prace mieć znaczenia pedagogicznego w zakresie naszych studyów filozoficznych, a zdaje się mieli to głównie na myśli tłumacze, gdyż gdziegdzie podali przypiski objaśniające (Choroby woli, choroby osobowości). Gdyby jeszcze przekład był bardzo potoczny, a język zupełnie poprawny, mogłyby podobne broszury zachęcić niejednego do studyów psychologicznych. Przekład obu tłumaczy jest zupełnie wierny ²⁾, ale język p. Potockiego nieco ciężki, p. Steinhausena płynniejszy, ale rażący statem umieszczaniem przymiotnika lub kilku przymiotników przed rzeczownikiem, co sprzeciwia się duchowi języka naszego, o ile jest zastosowanem tak niewolniczo w jednym porządku stale i niezmiennie. Ciemne jest zdanie będące streszczeniem wyników badań autora w zakresie prawa rządzącego zjawiskiem pamięci: „Pamięć polega na procesie organizacyi o stopniach zmiennych, zawartych między dwiema ostatecznymi granicami: stanem nowym i zarejestrowaniem organicznem“ ³⁾. Ciemne również są okresy na str. 32, 50 i 138 w Chorobach osobowości, oraz na str. 118 in f. w Chor. woli przekładu p. Potockiego. Na usprawiedliwienie tłumaczy można by powiedzieć, że i w oryginale w miejscach odpowiednich jest pewna niejasność, ale właśnie dla tego należało miejsca te uzupełnić przypiskami objaśniającymi.

Skłonność do wytworzenia nowych terminów naukowych jest usprawiedliwioną tam, gdzie nie ma wyrobionej terminologii, ale zbyt pohopne uleganie tej skłonności, powoduje często utrudnienie raczej niż zrozumienie rzeczy. Nie stosuje się to do tłumaczy rzeczonych

¹⁾ Zwłaszcza, że powołany niedawno do objęcia katedry psychologii w Sorbonnie, Ribot zniewolonym będzie do systematycznego wykładu całej nauki. Wstępna prelekcya wyszła właśnie oddzielnie z druku p. t. „La psychologie nouvelle, leçon d'ouverture au cours de psychologie expérimentale à la Sorbonne. Paris, 1885.

²⁾ Nie można tego powiedzieć o przekładzie d-ra Dunina dziełka Luys'a „Mózg i jego czynności.“ Warszawa, 1879; przekład ów lubo płynny i jedyny jest raczej przeróbką oryginału, nieco nawet skróconą, niż zupełnie wiernym przekładem. Prawda, że styl Luys'a jest znającym, gdyż podobnie jak niegdyś styl Comte'a przeladowany zbyt wielu zdaniem pobocznych, ale przy eliminowaniu ich w tłumaczeniu argumentacya autora traci na precyzyi.

³⁾ Choroby pamięci, w przekładzie p. Steinhausena, str. 185, oraz toż samo na str. 54. 107.

rozpraw, gdyż zupełnie nowęj terminologii nie tworzą oni, ale posiłkują się wytworzoną w ostatnich latach dorywczo i przypadkowo terminologią, która wymaga jeszcze rozpatrzenia i sankcyi jeśli nie ogólnej, to przynajmniej większości przedstawicieli nauki. Tu porozumienie się tłumaczy jest koniecznym, ale ono nie nastąpi dopóki nie będzie wydawnictw z planem prowadzonych przez specjalistów, którzy najłatwiej mogliby nomenklaturę naukową unormować. Nie należy walczyć przeciwko nowym terminom z zasady, to jest dla tego, że nowe np. miejscozmienność, uwstecznienie, otamowanie, ale jak nowych terminów będzie tyle ilu tłumaczy, czy to przyczyni się do spopularyzowania nauki? W każdym razie nim to porozumienie kiedy nastąpi, dla jasności należałoby obok nowych tych wyrażeń umieszczać termina oryginalne w nawiasie, jak to zresztą czyni czasami p. Potocki.

Niech nam wolno będzie zakończyć uwagą, że dzieła systematyczne, obejmujące całość przedmiotu, albo co jeszcze pożyteczniejsze, historią jego, są dla nas przedewszystkiem pożądane, gdyż dając możliwość oryentowania się czytelnikowi w literaturze naukowej i ułatwiając mu wybór dzieł, torują zarazem drogę do obrania pewnego kierunku w studyach, a następnie i do rozwinięcia prac samodzielnych. To też byłoby do życzenia, żeby wspomniani tłumacze, którzy w pracach swoich coraz większą wprawę wykazują, przełożyli także na nasz język inne dzieło tegoż autora, historyczne, przedstawiające rozwój i obecny stan nowego kierunku psychologii w Niemczech, a mianowicie szkoły empirycznej, na czele której stoi Wundt w Lipsku, gromadzący w koło siebie wielu młodych pracowników na niwie psychofizyki ¹⁾. Posiadamy już przekład psychologii doświadczalnej w Anglii, uskuteczniiony przez Ochorowicza, przegląd téjże szkoły psychologicznej w Niemczech, będący wybornem dopełnieniem pracy poprzedniej, wyszedł właśnie niedawno (1885 r.) w drugim poprawionem i powiększonym wydaniu. Z dwóch tych dzieł systematycznych, Biblioteka Warszawska podała już w swoim czasie obszernie sprawozdanie (1880 r. wrzesień, październik), do którego ciekawszych czytelników odsyłamy.

¹⁾ W pracowni jego, istotnym laboratorium psychologii doświadczalnej, badano i wymierzane są różno ciekawe zjawiska funkcji nerwowo-zmysłowych. Rezultaty prac swoich помещa Wundt w wydawanych przez siebie od r. 1881 „Philosophische Studien.“

DOBRY UCZYNEK.

(NOWELKA).

PRZEZ

T. Z y g m u n t a.

I.

— Drugi dzwonek do Krakowa!...—zawołał konduktor na dworcu w mieście N. Liczni podróżni powstali z pośpiechem od stołów, które obsiedli byli po salach wszystkich trzech klas. Ten i ów dopijał jeszcze resztę piwa, herbaty lub kawy, inny wołał kelnera dla uiszczenia się za spożyte potrawy, każdy zaś myślał o tém, żeby się nie opóźnić, a przede wszystkim, żeby sobie jaknajwygodniejsze zapewnić miejsce.

W tym ożywionym, pełnym niezwykłej różnorodności ruchu, nie dziw, że nikt nie zwracał uwagi na stojący na uboczu stoliczek, od którego w tej chwili dwie powstały osoby...

Była to około 40-tu lat licząca kobieta, ubrana czarno, a pas biały, którym obszyta była jej suknia, dowodził nieupłynionej jeszcze żałoby. Smutne, prawie cierpiące rysy jej twarzy, miały jakiś dziwnie szlachetny wyraz, w którym doświadczony fizyognomista mógłby wyczytać smutek i żal, mający przecież w sobie pewien odcień otuchy, i nadziei...

— Bywaj zdrów Stasiu! — mówiła ona ze łzami do 18-to letniego młodzieńca, który całował ją czule po rękach, — bywaj zdrów, a pamiętaj donosić często o sobie!

Sala już była zupełnie próżna, gdy młodzieniec porwawszy swój kuferek podróżny, i zawoławszy jeszcze raz ostatni — bądź zdrowa najdroższa matczko!... rzucił się do drzwi, przy których stojący sługa kolejowy zawołał jeszcze za nim:

— Prędjéj panie, prędjéj, bo pociąg odejdzie natychmiast...

Jakoż istotnie było już dosyć późno; wszystkie miejsca zdawały się być zajęte, podróżni zamykali jeszcze tu i owdzie drzwiczki od wagonów, dając zapewne do zrozumienia, że już nie ma miejsca dla nikogo, a tém mniej dla ubogo, choć czysto ubranego młodzieńca, który nadto trzymał w rękach niewielki kufeczek.

— Trzecia klasa p. konduktorze!—wołał młodzieniec proszącym głosem, gdy niecierpliwy konduktor ofuknął go dosyć niegrzecznie.

— Szukajże pan teraz sam sobie miejsca!...

Stanisław biegał szybko od jednego oddziału do drugiego, ale w jednych już było pełno, w innych otworzyć mu nie chciano...

Kto wie, czy w obec znanéj grzeczności naszych konduktorów, a niestety i bardzo wielu podróżnych, nie byłby Stanisław zmuszony zaczekać do następnego pociągu. Na szczęście jednak, nadszedł naczelnik stacyi, a widząc, że wagony III-éj klasy były już przepełnione, kazał konduktorowi wpuścić młodzieńca do wagonu klasy drugiej.

Konduktor, mruczając coś pod nosem, spełnił rozkaz naczelnika, a odebrawszy bilet, zamknął z niecierpliwością drzwiczki wagonu.

W téj chwili dał się słyszeć świst i pociąg ruszył z miejsca.

Stanisław wychylił głowę z okienka i spojrzął ku drzwiom sali klasy 3-éj. Przybliżył rękę do ust i tak ostatecznie jeszcze posłał pocałunek stojącej tam matce, która z daleka błogosławiła go znakiem krzyża świętego.

Znaczną już przestrzeń ubiegł pociąg, a Stanisław ciągle jeszcze wyzierał przez okienko... aż wreszcie nie mogąc już dojrzeć dworca, otarł łzę i westchnął głęboko...

Teraz dopiéro dostrzegł, że nie jest sam, lecz ma towarzysza, którym był jakiś starszy mężczyzna.

Stanisław uchylił zatém kapelusza i skłoniwszy się grzecznie rzekł:

— Przepraszam pana dobrodzieja, że w pierwszej chwili nie uwzględniłem... wszedłem tu zapewne wbrew życzeniu pańskiemu, ale cóż robić—stało się to z rozkazu naczelnika stacyi...

— Bardzo się cieszę z tego—odparł podróżny, lubię towarzystwo, a już kilkanaście stacyi prawie samotnie przejechałem.

— Koniec wakacyi — mówił dalej Stanisław — wiele młodzieży wyjeżdża do szkół i dlatego zapewne, zwłaszcza wagony III-éj klasy tak przepełnione.

— Ale dokądże pan jedziesz, jeżeli wolno zapytać—przemówił znowu starszy podróżny.

— Do Krakowa—odrzekł Stanisław—gdzie mam zamiar zapisać się na kursa uniwersyteckie...

Tak się rozpoczęła rozmowa między dwoma podróżnymi, którzy w pierwszej już chwili sympatyczne sprawili na siebie wrażenie. Starszy mężczyzna, który w zdrowéj, rumianéj twarzy młodzieńca czytał wyraz silnéj woli, co chwila zapytywał o coś Stanisława... Mło-

dzieniec odpowiadał trafnie i śmiało, a miał w swoim głosie i w sposobie mówienia taką otwartość i szczerłość, że każdy uwierzyłby jego słowom i powziąłby do niego zaufanie,

W ten sposób opowiadał Stanisław, że jest synem niskiego urzędnika, zmarłego przed kilku miesiącami, że ukończył świetnie gimnazjum tarnowskie, a w przyszłości chciałby poświęcić się zawodowi prawniczemu.

— A masz pan z czego się utrzymać? zapytał na to starszy podróżny.

— Spodziewam się znaleźć utrzymanie, mam dobre świadectwo, może znajdę jakie lekcye prywatne.

— Nie tak to jednak łatwo!—odparł starszy podróżny. W Krakowie młodych ludzi, chcących udzielać lekcyi, jest bardzo wielu... zresztą chociażbyś pan po wielu mozolach i trudach zdołał ukończyć wydział prawny, lub jakkolwiek inny, czy sądzisz, że zaraz znajdziesz stanowisko. Dziś pełno prawników, lekarzy i profesorów. Dla tego wierz mi pan, radziłbym panu inną pójść drogą.

Stanisław słuchał tych słów uważnie, nie śmiejąc przerywać, gdy tymczasem mówiący ciągnął dalej...

— Dobro kraju nie na tém tylko polega, żebyśmy mieli wykształconych prawników, lekarzy i profesorów, potrzeba się także starać o to, żeby kraj miał zacnych i wykształconych przemysłowców i kupców. Minęły już Bogu dzięki owe czasy, kiedy sądzono, że waga lub łokieć jest ubliżającym dla polaka zajęciem. Dziś między kupcami naszymi spotkasz już wielu ludzi gruntownie wykształconych, a niejednego kupca nazwisko znalazłbyś pan w herbarzu Niesieckiego lub Paprockiego...

— Więc radzisz mi pan, żebym wstąpił do handlu? przerwał Stanisław—o i ja nieraz o tém myślałem, jednak matka moja życzy sobie, żebym został prawnikiem.

— Jeżeli tak, to świętém jest życzenie matki, chociaż nie wątpię, że zdołałbyś ją przekonać, iż na drodze, którą ja ci wskazuję, mógłbyś pan równie być krajowi pożytecznym. Wierzaj mi pan, że i moi kiedyś rodzice marzyli o tém, żebym został księdzem; Bóg jednak zrządził inaczej i oto jestem dziś jednym z najmożniejszych kupców w Krakowie, a co ważniejsza cieszę się przyjaźnią i zaufaniem wielu zacnych i dobrych ludzi.

Zapewne pan odziedzyczyłeś handel po ojcu?—spytał Stanisław.

— Bynajmniej, zdobyłem go sobie własną pracą w warunkach bardzo trudnych i zewszecmiar nieprzyjaznych. Opowiedziałbym nawet panu dzieje mego życia, gdyby to pana zajmowało, i gdyby nie to, że za chwilę dojeżdżamy już do Krakowa.

— O jakże żałuję! — odparł Stanisław, coraz więcej zaciękwiony.

— Jeżeli tak—odpowiedział kupiec — zechciej mnie pan kiedyś w domu moim odwiedzić, a chętnie dotrzymam obietnicy. Ale, ale,

czyż masz pan w Krakowie znajomego, u którego mógłbyś się w pierwszej chwili umieścić?...

— Niestety — odparł Stanisław — nie mam nikogo... zamieszkał tymczasem w jakim niedrogim hoteliku, a spodziewam się wkrótce znaleźć jakie umieszczenie.

— W takim razie musisz pan na to zezwolić, że zabiorę cię ze sobą do mojego pomieszkania, które jest i tak dla mnie starego za obszerne...

Stanisław nie wiedział, co na to odpowiedzieć, nie śmiało zatem odezwał:

— O, byłoby to zbyt wielkiem nadużyciem grzeczności, na którą jeszcze nie zasłużyłem...

— Nie obawiaj się pan o to, nie pierwszy jesteś, któremu taką usługę oddaję; zresztą nie myślę pana więzić, zostaniesz tak długo u mnie, dokąd nie znajdziesz stosownego umieszczenia, któreby ci pomieszkanie i stół zapewniło... Powiem nawet, że możesz mi pan być użytecznym. Ja, stary jestem, mam wzrok osłabiony, dlatego mógłbyś mi czytywać gazety, książki...

Stanisław podniósł ciekawie oczy, jak gdyby go dziwić miało to ostatnie słowo.

— Tak, książki — ciągnął dalej kupiec, i niech to pana nie zdziwia, mam własną bibliotekę, z której w razie potrzeby będziesz mógł korzystać.

Młodzieniec niezmiernie tém zainteresowany, czuł, że niepodobna mu odrzucić tak korzystnej propozycji, tém bardziej, że ofiarował mu ją człowiek, który od pierwszej chwili obudził w nim żywą sympatią a nadto on, który już od kilku lat utrzymywał się z własnej pracy, mógłby łatwo się domyśleć, że za jedną lub chociażby i więcej godzin czytania nigdzie korzystniejszego nie znalazłby umieszczenia.

— Widzę — odezwał się zatem, — że skuteczném było błogosławieństwo mojej drogiej matki, kiedy już przy samym wstępie do samodzielnego życia, zesłał mi Bóg takiego łaskawego dobrodzieja; przyjmuję zatem podane warunki, bo, doprawdy byłoby grzechem je odrzucić.

Kupiec uścisnął rękę młodzieńca z widoczném zadowoleniem, gdy w téj samej chwili pociąg zatrzymał się na stacyi...

Wśród gwarne go tłumu podróżnych, dwaj nasi znajomi zaledwie przebić się zdołali do bramy dworca, przed którym już mnóstwo czekało dorożek i powozów...

— Siadaj pan zemdłał — odezwał się kupiec do młodzieńca, fiakrowi zaś kazał jechać na ulicę Grodzką, przed sklep Kwiatkowskiego...

— Dobrze panie, — odpowiedział woźnica i zaciął konie...

Powóz pędził szybko, a Stanisław z bijącym sercem przypatrywał się pięknym domom miasta, które raz pierwszy oglądał...

Pan Kwiatkowski, o którego nazwisku teraz dopiero dowiedział się młodzieniec, wskazywał mu ciekawsze przedmioty i wymieniał nazwi-

ska ulic, przez które właśnie przejeżdżali... Nie zadługo wjechali już na ulicę Grodzką, gdy fiakier zatrzymał konie, zeskoczył z kozła, i otworzył drzwiczki od powozu...

Stanisław rzucił okiem na dom, przed którym stanęli i w istocie obaczył szyld „Jan Kwiatkowski.“

Był to sklep korzenny, który pomimo obszernego miejsca, jakie zajmował, nie uderzał na zewnątrz żadną olśniewającą wystawą, bo właściciel jego należał do tych kupców, którzy mniej dbają o pozór i zewnętrzną wystawę, a zato starają się mieć towary jak najdoskonalsze i stosunkowo nie drogie.

W sklepie, do którego wszedł p. Kwiatkowski, było kupujących tak pełno, że kilkunastu stojących za ladą chłopców i subiektów zaledwie podołać mogło zatrudnieniu.

Stanisław, który w swém mieście rodzinném bywał nieraz w sklepach korzennych, zdziwiony został najprzód wielką czystością, jaką zaledwie w sklepie takim mógł przypuszczać, a powtóre grzecznością i uprzejmością młodzieży handlowej, okazywaną względem kupujących.

Ukazanie się p. Kwiatkowskiego w sklepie, wywołało radość na obliczach wszystkich młodzieńców. Starsi i młodzi poskoczyli też żywo, aby się z nim przywitać. Pan Kwiatkowski wszystkich nawzajem serdecznie pozdrowiał, mówiąc:

— No, dzięki Bogu, wszyscy jak widzę dobrze i żwawo wyglądacie... Ale,—ale niechaj-no Paweł zaprowadzi tego pana na piętro i otworzy mu pokoik, gdzie jest wasza biblioteczka, bo trzeba wam wiedzieć, że sobie nowego przywozłem bibliotekarza...

Na te słowa przybiegł służący, odebrał z rąk Stanisława kufereczek i bocznymi drzwiami przez szeroką sień kamieniczną zaprowadził go na pierwsze piętro...

Po drodze gadatliwemu słudze nie zamykały się usta, to też nim Stanisław zdołał wejść do przeznaczonego dla siebie pomieszczenia, dowiedział się już o tém, że w owój biblioteczce od kilku miesięcy nikt nie mieszkał, bo pan Słotwiński, który przedtém ten pokoik zajmował, jest już doktorem medycyny.

— A któż-to był ów p. Słotwiński? — zapytał Stanisław.

— Jakto, to panicz go nie zna, to wychowaniec naszego pana, przed laty 6-ciu przyjechał, tak jak pan dzisiaj razem z p. Kwiatkowskim, zajmował się książkami i panu czytywał gazety, a teraz jest już na własnym chlebie... Ale otóż i pokoik, w którym on mieszkał,—zakończył służący, otwierając drzwi do niewielkiej, ale bardzo schludnej izdebki, gdzie stało kilka szaf zaszklonych, napełnionych książkami. Kilka krzesel, stolik, sofka i łóżko, jak gdyby świeżo zaślane, stanowiły resztę sprzętów tego pokoiku...

Stanisław, którego służący zostawił teraz samego, miał dość czasu, aby się rozpatrzeć w tém nowém swoim pomieszczeniu, zbliżył się tedy i do szafek, a już z tytułów na grzbietach książek, przekonywał się, że p. Kwiatkowski ma wcale piqny zbiór dzieł rozmaitych,

które ułożone były w pewnym porządku i wykazywały widoczny postęp od książek treści łatwiejszej, i dla młodego wieku właściwej, do coraz trudniejszych, a nawet wyłącznie naukowych. Więc były tam i małe powiastki obyczajowe, i życiorysy sławnych ludzi, którzy własną pracą i zasługą szeroko zasłynęli, opisy podróży, przystępne popularne dzieła historyczne i „Żywoty Świętych“ Piotra Skargi.

W chwili kiedy się Stanisław uważnie książkom tym przypatrywał, wszedł do pokoju p. Kwiatkowski.

— No jakże się tu podoba, panie Stanisławie—zagadnął młodzieńca niespodzianie.

— Jestem nadzwyczaj uszczęśliwiony—odparł Stanisław—i na domiar mam towarzystwo książek, które nadewszystko lubię...

— Tém lepiej, bo właśnie zajmowanie się temi książkami będzie szczególnie obowiązkiem pańskim. Są to książki, jak się pan zapewne już domyśliłeś przeznaczone dla użytku mojej młodzieży handlowej. Oddawna bowiem jest u mnie zwyczajem, a nawet przepisem domowego życia, że część czasu wolnego od zajęcia w sklepie, poświęca młodzież moja czytaniu książek pożytecznych i zajmujących.

— To prześliczna myśl!—zawołał Stanisław.

— Być może—odparł p. Kwiatkowski—ale proszę nie mieć, że była ona tak łatwą do wykonania. Dzisiaj jednakże młodzież moja już tak przywykła do tego pokarmu duchowego, że prawie każdy z nich, aczkolwiek znużony całodzienném w sklepie zajęciem, zanim spać się położy bierze chociażby na pół godziny, jaką pożyteczną książkę do ręki. W ten sposób już przy mojej pomocy nie jeden własną pracą wyszedł na kupca światłego i wykształconego. Ale wracam do rzeczy, otóż zwykle miewam kogoś z młodych ludzi, kształcących się w uniwersytecie, który mieszkając u mnie, zajmuje się tą biblioteczką, czuwa nad tém, żeby ona wzrastała zwracając uwagę moją na każdą książkę, którąby dla niej nabyć należało. Prócz tego, obowiązkiem jego jest mieć w ewidencji książki wypożyczane.

— Bardzo chętnie podejmuję się tego wszystkiego, i spodziewam się, że pan dobrodziej będzie ze mnie zupełnie zadowolniony.

II.

Od owęj chwili ubiegło kilka tygodni.

Stanisław zapisał się w poczet studentów uniwersytetu, i z wielkim zapałem oddał się pracy naukowej. Szczęśliwym czuł się zupełnie, bo coraz więcej przywiązywał się do swego dobrodzieja, o którego zacności i szlachetności charakteru niejednokrotnie miał sposobność słyszeć i sam się przekonywać.

Gdzie tylko chodziło o jaki piękny uczynek, o wsparcie dobroczynnych zakładów, o otarcie łez nieszczęśliwym ludziom, wszędzie p. Kwiatowski z pierwszym i najhojniejszym spieszył datkiem.

Nieraz też słyszał Stanisław z ust jego tę zasadę, że nie na to jest się kupcem, aby tylko gromadzić pieniądze, bo one mają tylko wtedy wartość, jeżeli się ich używa do celów szlachejnych, dla dobra kraju i społeczeństwa.

Zasadę tę stwierdzał p. Kwiatkowski sposobem całego swego życia, a znali go dobrze i księgarze, u których dosyć wiele kupował książek, i młodzi malarze i rzeźbiarze u których nieraz zamawiał obrazy i rzeźby...

To też mieszkanie p. Kwiatkowskiego urządzone było z wielkim gustem, choć nie było w nim skaczących w oczy błyskotek, ale natomiast ściany zdobiły piękne, wyłącznie przez polskich artystów wykonane obrazy, a na kolumnach tu i owdzie piękne widzieć można było rzeźby...

Stanisław, im dokładniej poznawał swego dobroczyńcę, tém bardziej zaciekawiony był dowiedzieć się coś o jego przeszłości.

Życzeniu temu nareszcie przyszedł w pomoc sam p. Kwiatkowski, bo wszedłszy razu pewnego do pokoiku Stanisława, tak go zagadnął:

— No, jakże się tam p. Stanisławowi wydział prawny podoba?

— Bardzo jestem z wyboru mego zadowolony, tém więcéj, że, dzięki łasce pana dobrodzieja, mogę, nie kłopotząc się o byt materialny—z całą swobodą oddawać się pracy i nauce...

— No dobrze, dobrze... ale jabym cię przecież chciał namówić, żebyś został kupcem... ale prawda, obiecałem ci kiedyś opowiedzieć historią mego życia...

— Pamiętam o tém dobrze—odparł Stanisław—ale nie śmiałem obietnicy téj przypominać, zwłaszcza, że pan zawsze tak zatrudniony.

— Dziś mam jednak trochę czasu wolnego i pokrótce ci opowiem—odparł p. Kwiatkowski, który na prośby Stanisława już od niejakiemu czasu zaniechał w rozmowie chłodnego wyrazu „pan“ używać.

— Postępuj więc, kochany Stanisławie—rzekł po chwili i rozpoczął swe opowiadanie.

— W jedném z miasteczek galicyjskich mieszkał p. Adam K. właściciel małego sklepiku, przynoszącego dochód tak skromny, że zaledwie wystarczyć mógł na utrzymanie żony i jedyne go syna, który wówczas właśnie ukończył był szkołkę ludową.

Rodzice rozmyślali nad tém, co dalej z chłopcem począć, zwłaszcza, że okazywał wielką ochotę do nauk, nauczyciel miejscowy upatrywał w nim niepospolite zdolności.

— Gdybyś mógł zostać księdzem—mawiał nieraz ojciec, ale cóż, nie mam go za co posłać do szkół wyższych.

Takimi myślami trapił się biedny ojciec, gdy wkrótce wybuchł pożar ogromny. W jednéj chwili spłonęło mnóstwo domów, które były przeważnie z drzewa. Ogień zagarnął już i tę uliczkę, gdzie właśnie znajdował się sklepik korzenny p. Adama, niebawem zajął

już nawet dom jego, a niestety znikąd nie było ratunku, bo w tak groźnej chwili, każdy myślał przedewszystkiem o sobie samym.

Ojciec więc i matka przy pomocy pijanego parobka ratowali się sami.

Ale cóż mogły tak słabe siły poradzić przeciw nieszczęsnemu żywiołowi. Jakoż na miejscu biednego domostwa pozostały tylko zgłiszcza i popioły...

Co tu teraz począć, gdzie się schronić, tém bardziej że było to w późnej jesieni, a wiatr już prawie zimowy i mroźny wył przeraźliwie po ulicach.

Jeden z mieszczan, jakiś daleki krewny p. Adama, którego domostwo ocalało, przyrzekł po wielkich prośbach na jakiś czas przytułek dla biednej rodziny.

Trudno opisać wszystkie upokorzenia, jakich nie szczędzono tym ubogim ludziom, przy każdej sposobności dawano im do poznania, że są ostatnimi nędzarami, że darmo u obcych ludzi chleb jedzą.

Na domiar nieszczęścia, ojciec mój, bo domyślasz się, Stanisławie, że nim był ów pogorzelec, skutkiem zmartwienia i nędzy zachorował ciężko. Nie było za co posłać po lekarza lepszego, a chirurg miejscowy raz tylko raczył zajrzeć, pokiwał głową i odszedł, żadnej nie zostawiając nadziei.

Nie długo po tém było nas już tylko dwoje, ostatni grosz uratowany poszedł na pogrzeb ojca, zatem nędza dawała się czuć coraz bardziej.

Jednego dnia, chcąc matce mojej ulżyć wyszedłem na rynek miasteczka, prosząc, aby mnie kto wziął na służbę lub najął chociażby do jakiegokolwiek roboty. Ale wszędzie odprawiono mnie z niczem, zacząłem tedy żebrać, lecz zaledwie tu i owdzie rzucono mi kawałek suchego chleba.

Powróciłem więc smutny do matki, ale zastałem ją leżącą w kącie na wilgotnej ziemi, bo w izbie, której nam tymczasowo ustąpiono, nie było nawet podłogi...

— Matka moja wdychała głęboko i była bezprzytomna. Zacząłem wołać ratunku, wybiegłem wreszcie na ulicę, gdzie na szczęście spotkałem chirurga. Płacz mój połączony z krzykiem rozpacz, sprawił na nim takie wrażenie, że wstąpił do ubogiego domku... ale niestety powiedział to samo, co przed śmiercią ojca. Była to choroba zaraźliwa, podobno tyfus, nie było ratunku... Za kilkanaście dni już i matkę moję złożono na miejscu wiecznego spoczynku.

Zostałem sam jeden na cmentarzu, rzuciłem się na święzą mogiłę, płacząc i jęcząc... aż nareszcie usnąłem... Było to już nad ranek, gdy grabarz znalazł mię tak leżącego i przeziębłego. Poczciwy staruszek zaniósł mnie jak mógł do siebie, a potem zaprowadził na probostwo.

Przez czas jakiś tam pozostałem, posługując do mszy św. a niekiedy i pasając trzodę... ale razu pewnego przyjechał do księdza brat

jego, który był kupcem korzennym w Nowym Sączu. Sam nie wiem, jakim sposobem zdołałem mu się podobać. Dość, że odjeżdżając zabrał mnie ze sobą. Tak więc rozpocząłem mój zawód handlowy. Przyszły były pierwsze lata mego w Sączu pobytu, zwłaszcza, że oprócz zatrudnienia w sklepie, używano mnie do najrozmaitszych, niekiedy bardzo upokarzających posług... Wytrwałem jednak cierpliwie, myśląc ciągle, aby się z czasem do większego dostać miasta. Pryncypał mój był ze mnie zadowolony, pokładał we mnie zupełne zaufanie, a nawet wkrótce oprócz utrzymania całkowitego, wyznaczył pewną, jak na początek dosyć zachęcającą zapłatę. Ponieważ potrzeby moje na ubranie były bardzo umiarkowane, więc chyba tylko na zakupienie jakiejś pożytecznej książki wydawałem od czasu do czasu po kilka złotych. W ten sposób po upływie lat kilku z oszczędności moich złożyłem sobie kilkaset złotych i sądziłem, że z tém mogę się puścić do Krakowa. Jakoż niedługo potem, wzięwszy od pryncypała mego świadectwo puściłem się w drogę, i po kilkudniowej po większej części pieszo odbytej podróży, stanąłem w murach starego miasta. Wkrótce znalazłem miejsce. Kupiec który mnie przyjął, położył jednak warunek, że bierze mnie tylko na próbę i że przez ten czas próby żadnej nie dostanę zapłaty. Zgodziłem się na wszystko i nie zważając na naigrwania się towarzyszy, którzy śmiali się z moich nawyknień i zwyczajów małomiasteczkowych, z ufnością w lepszą przyszłość pełniłem swoje obowiązki. Wkrótce upłynęły miesiące próby, poczem pryncypał mój, zavezawszy mnie do siebie, wyraził mi zadowolenie swoje i wyznaczył płacę, która wynosiła dwa razy tyle, co mi w Sączu płacono.

Odtąd już położenie moje stawało się coraz lepsze, płaca moja podwyższała się z każdym rokiem, a mały mój kapitalik, który umieściłem w kasie oszczędności wzrastał coraz bardziej.

Miałem już wówczas lat 28, gdy razu pewnego zobaczyłem w kościele gorąco się modlącą dziewczę. Nie wiedziałem kto ona, ale ze skromnego ubrania domyśleć się łatwo mogłem, że ze średniego pochodziła stanu.

Przez kilka tygodni o tym samym czasie wychodziłem na nabożeństwo niedzielne, i zawsze w tém samym widziałem ją miejscu.

Pewnego dnia czekałem przy drzwiach kościoła, aby ją niepostrzeżenie śledzić, dowiedzieć się, gdzie mieszka i co za jedna.

Starania moje odniosły częściowy skutek; dowiedziałem się bowiem, że była to córka wdowy po podupadłym właścicielu dóbr, wreszcie, że szyciem bielizny siebie i ubogą matkę utrzymywała.

Zrobienie znajomości nie było więc tak trudnem, udałem się z zamówieniem bielizny dla mnie i po kilku tygodniach zacząłem bywać w domu.

Matka Karoliny, bo takie było panny imię, zdawała się przeczuwać moje zamiary, ale cóż kiedy wdowa po byłym właścicielu dóbr ziemskich miała swą dumę rodową i nieraz odzywała się ze zdaniem,

że nie wydałaby córki swój chyba tylko za bogatego kupca. Za bogatego kupca! pomyślałem sobie, zatem nie ma dla mnie widoków, dla mnie, który wówczas tylko byłem subjektem. Ale myśl ta niedawała mi spokoju, tém bardziej, że zdawało mi się, iż zdołałem pozyskać wzajemność pięknej Karoliny.

Zostanę więc kupcem, pomyślałem w końcu t. j. otworzę własny handel, a kto wie, może wkrótce stanę się bogatym i poślubię Karolinę!.. Jakoż nie długo potem nająłem z oszczędności mego kapitału sklep, sprowadziłem towary i otworzyłem handel.

Z początku wiodło mi się dosyć dobrze, ale potem, czy moja miłość, która mi głowę zaprzętała, czy brak potrzebnego kapitału i doświadczenia sprawiły, iż powinęła się noga... że musiałem sklep zamknąć... bo straciłem wszystko...

Wiadomość o tém spadła jak grom na biedną Karolinę... Ja rozpaczałem na nowo zawód subjekta, nie tracąc nadziei, że się jeszcze mogę czegoś dorobić, ale nie mogąc już nawet pomyśleć o Karolinie, w której domu z tego powodu przestałem nawet bywać. W kilka miesięcy potem dowiedziałem się, że Karolina wychodzi za mąż za jakiegoś urzędnika. Byłem na jej ślubie i odtąd jej już nie widziałem, nie pamiętam nazwiska jej męża i nie wiem, gdzie się ona teraz obraca...

— Od tego czasu nie kochałem już żadnej kobiety, i jak widzisz, pozostałem starym kawalerem.

— Zdaje się jednak, że Bóg chciał mi stratę Karoliny powetować w inny sposób... służyło mi szczęście jak rzadko komu, i jestem dzisiaj dość bogatym, a majątek mój, którego nie mogę zapisać dzieciom, zostawię krajowi.

Tak opowiadał p. Kwiatkowski, gdy w tej chwili wszedł służący i oddał jakiś list Stanisławowi.

— To list mojej matki! zawołał z radością Stanisław, a przełamawszy pieczętkę, począł go szybko przebiegać okiem...

Była to istotnie, odpowiedź matki jego na list ostatni, w którym jej donosił o zrobionej z p. Kwiatkowskim znajomości, o umieszczeniu, które znalazł w jego domu...

Stanisław połykał prawie wyrazy listu matczynego, aż napotkał w nim ustęp, który czytając nie dowierzał swym oczom...

— Jakto matka moja pisze, że znała pana kiedyś przed laty, i zapytuje czy pan dobr. przypominasz sobie nazwisko Chełmińskiéj...

— Chełmińska! wszakże to nazwisko Karoliny, zawołał pan Kwiatkowski.

— A matka moja — odpowiedział z radością Stanisław — jest z domu Chełmińska, imię zaś jej jest Karolina...

Łatwo sobie wyobrazić rzewną i piękną scenę między tymi dwoma ludźmi, których opatrność w tak dziwny sposób zbliżyła do siebie...

Nie chcę przedłużać opowiadania mego i nadużywać cierpliwości

czytelników, bo może powiedziałbym to tylko, czego się już sami domyślają, a domyślają się zapewne, że p. Kwiatkowski nie długo potem połączył się ślubem dozgonnym z matką Stanisława, i tak pozostał wiernym swemu pierwszemu uczuciu..

Stanisław zaś ukończył prawo, otrzymał stopień akademicki i wreszcie po śmierci swego ojczyma i dobrodzieja stał się właścicielem jednego z pierwszorzędných sklepów korzennych w Krakowie.

Nauka i wykształcenie, które sobie zdobył pracą, a piękny charakter, który w całym życiu okazywał, sprawiły że stał się prawdziwą chlubą obywatelstwa miejskiego.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Uroczystość w Akademii francuzkiej: Przyjęcie pana Halevy: mowa p. Pailleron. — „Wspomnienia z lat sześćdziesięciu,” przez Ernesta Legouvé. — „Lotaryngia,” dzieło illustrowane. — „Raporta Bartłomieja Sturmera,” komisarza austriackiego na wyspie Świętej Heleny, wydane w Wiedniu. — Nowy akademik Lecomte de Lisle. — „Rok 1802,” dyalog umarłych, na cześć Wiktora Hugo, przez Renana. — Wagner i Lohengriny. — „Komedycanci w średnich wiekach we Francyi,” p. profesora Sorbony Petit de Julleville. — Nowe kartony pana Andriollego: „Koncert nad koncertami” z Pana Tadeusza. — Pomnik grobowy pani Tamberlick, dłuta pana Cypryana Godebskiego.

Uroczystości akademickie powtarzają się bezustanku, nigdzie bowiem śmierć nie czyni takich wyłomów, jak w gronie czterdziestu, zwanych nieśmiertelnymi. W połowie lutego po zmarłym hrabi Haussonville, zajmował miejsce Ludwik Halevy, znany zarówno w teatrze jak i w powieściopisarstwie. Odpowiadał mu świetny autor komedyi Pailleron. Połączenie dwóch tak popularnych imion, obiecywało prawdziwą ucztę duchową publiczności paryzkiej, jakoż obaj koryfeusze pięknej literatury wywiązali się z powszechném zadowoleniem. W obu przemówieniach uderzyła nas szczególnie silna protestacya przeciw grubemu realizmowi, w jakim grzęźnie dziś literatura, pociągając za sobą społeczeństwo.

Halevy podniósł różnstronne prace poprzednika. Rozbiera kolejno jego historyczne pisma, mianowicie czterotomowe dzieło pod tytułem: „Połączenie Lotaryngii z Francją,” w którym autor wystawia rozumny i dobroczynny wpływ Stanisława Leszczyńskiego; mówca przebiega potem inne prace Haussonvilla: „Kościół rzymski za pierwszego cesarstwa” i „Wspomnienia z lat młodych.” O tém ostatniem dziele mówiliśmy szczegółowo w roku zeszłym.

Uczciwszy w poprzedniku biegłego pisarza i wytrawnego męża

stanu, Halevy ukazuje w nim człowieka w wysokim tego słowa znaczeniu. Przypomina, jak bez względu na podeszłe lata, gdy niebezpieczeństwo zagroziło ojczyźnie, siwy starzec pochwyca karabin, pełni służbę za okopami oblężonej stolicy, jak po klęskach Francji, gorący ten lotaryńczyk, zakłada w Vesinet pod Paryżem przytułek dla sierot alzackich i lotaryńskich; jak przepływa kilkakrotnie morze, funduje w Algierze osady dla dobrowolnych wygnańców, którzy bądź co bądź pragną pozostać francuzami.

Zakończenie mowy na szczególną zasługuje uwagę, jest to bowiem wyrwana z duszy skarga, w obec panującej dziś choroby pesymizmu.

Haussonville, rzekł mówca, dał nam wielki przykład poświęcenia, a co więcej, do kresu długich dni swoich, dawał nam przykład młodości. Świat dziś pełen młodych ludzi znudzonych życiem, wprzód jeszcze zaczęły żyć poczęli, trawionych melaucholią, owianych niewytłómaczoną mgłą smutku. Zwyczajne uczucia, pospolite wrażenia, poziome obowiązki, nie mogą im wystarczyć; odrzucają wszelką wiarę, tak religijną jak polityczną; dla nich wszystko zużyte i w niebie i pod niebem; nie czują w sobie siły do ukochania życia. I po cóż nam żyć? mówią, skoro prędzej czy później trzeba będzie umierać? Rzekłyby kto, że dawniej ludzie nie wiedzieli o śmierci, że grób nowym jest dziś odkryciem! A jednak, niektórzy z tych młodych myślicieli usiłują przywiązać się do bytu, badają stan duszy własnej, chcą gwałtem rozwiązać zagadkę przeznaczenia swego, niekiedy nawet tęsknią za ideałem, ale zdaniem ich, dawne ideały przeżyły swój czas i dziś przydać się już nie mogą. Potrzeba im nowego, całkiem oryginalnego ideału; szukają go naukowo, psychologicznie, zda się, że go dotychczas nie znaleźli.

„Haussonville, kończy mówca, nie zadawał sobie nigdy takiej pracy, nie skarżył się nigdy na niemożność ukochania życia, która, powiedzmy prawdę, wypływa z niemożności ukochania obowiązku; nie czuł potrzeby analizowania duszy własnej. Trzymał się wiernie tego ideału, który od najdawniejszych wieków, jest światłem sumienia ludzkiego: kochał pracę, kochał honor, kochał kraj własny! Tym sposobem zostawił po sobie dzieła trwałe i żywotne, dzieła rozumu, dzieła zacnego serca!“

Pailleron wystąpił w sposób oryginalny: zamiast pochwał tak oklepanych w tego rodzaju przemówieniach, przypomina twarde zapory, jakie stały na drodze nowemu akademikowi, do zaszczytu, jaki go spotkał. Podnosi zarzuty opinii publicznej wyrażone w dziennikach: najważniejszy z nich dotyczy teatru. „Akademia, mówiono, ma już do zbtyku autorów dramatycznych, i czemuż powiększać ich liczbę?“ „Czemu? odpowiada na to Pailleron, bo teatr silnie zaważył w społeczeństwie naszym, bo sztuki nasze rozbiegają się daleko po świecie. Niech tylko który ze zdolnych powieściopisarzy, a nie brak nam takich, ma dosyć zaufania w talencie swoim, aby obchodzić się bez gru-

biańskich bezeceństw, niech który z historyków wykona znakomitą pracę. Powitamy ich z upragnieniem, gdy zakończą do nas. Co zaś do polityków, akademii gotowa przyjąć ich... jak się znajdą.“

W długim ustępie Pailleron zaznacza wpływ teatru na społeczeństwo, wymownie pokazuje, czém powinna być sztuka dramatyczna, jak ma poruszać serca, uszlachetniać myśli, podnosić ją ku wyższym ideałom... Piękne to słowa, ale niestety jakże dziś daleko do tego. Dość przejrzyć repertuar teatrów paryzkich, owe Sapho, Georgetty i półświatkowe heroiny Dumasa, aby przekonać się czyli autorowie używają potężnego talentu na podnoszenie serc i umysłów, czy też za pomocą fajerwerków i sztucznych sprężyn scenicznych, działając na nerwy widzów, szukają wyższej nagrody nad poklask i korzyść materialną? Nie mówimy tego do Paillerona, ani do Hallewego, ależ oni należą do bardzo nielicznych wyjątków.

Przebiegłszy komedye Halewego „Frou-frou“, „Fanny Lear“ i t. d., mówca przechodzi do pięknych jego powieści, w których okazał prawdziwie samodzielny talent. Zatrzymuje się nad „Rodzina Cardinal“, nad tym smutnym obrazem zgangrenowanego społeczeństwa, odmalowanym żywo ale bez cynizmu, w humorystyczny sposób. Mówi nakoniec o znakomitej powieści pod tytułem „Książka Konstanty“, która pozyskała słuszny rozgłos i otworzyła autorowi podwoje Akademii. Słowa te pełne głębokiego znaczenia, określają wybornie dzisiejsze prądy szamoczące literaturą francuską.

„Spełniłeś pan ogromny przewrót, mówi Pailleron, w dziele swoim zrehabilitowałeś cnotę, dałeś ją ukochać, przez nią samą i dla niej samę! Wielka to śmiałość! w obecnym stanie rzeczy trudno było oczekiwać powodzenia. Wyznajemy prawdę ze smutkiem: cnota nie należy dziś do postępu!

„Biedna cnota! tłumy szydą z niej. fizyologowie całkiem jęj zaprzeczają, ludzie światowi nazwali ją nudną, ludzie praktyczni nie widzą w niej pożytku. Dramaturgowie nasi, którzy od niepamiętnych czasów, nagradzali ją w piątym akcie, usunęli jęj stanowczo skromne beneficya klasycznego rozwiązania rzeczy, poeci nasi rzucają na nią klątwy; co zaś do powieści, któż nie wie jak cnota całkiem z nich wywołana, jeżeli nie oblużgana zniewagą? Aby ją widzieć otoczoną szacunkiem, trzeba otworzyć chyba tomik różowej biblioteczki dla dzieci; aby ją widzieć nagrodzoną, trzeba przyjść raz na rok do Akademii! Biedna cnota!“

Na dowód, Pailleron wybiegając, jak mówi, na chwilę z akademickich ogrodów, przytacza bardzo charakterystyczną przygodę.

„Znam ja, mówi on, młodą panią bardzo postępową! jakkolwiek lubi świat, chciwa przecież umysłowego pokarmu, jakkolwiek cnotliwa, rozmitowana w niecnotliwej literaturze. Nie dość, że sama przepada za nią, ale broni jęj, rozpowszechnia, głosi ją jako dobrą i pożyteczną, a to z takim zapałem, że powziąłem słuszną obawę.

Dnia jednego odwiedziłem tę panią, była sama, czytała. Spo-

strzegłszy mnie, ukryła spiesznie książkę. Rozmowa nie szła, młoda pani mówiła z roztargnieniem, myśl jej widocznie zwracała się ku innej stronie. Cóż ją tak silnie poruszało? co mogła czytać? zapytałem sam siebie. W tém przybył ktoś, pani powstała z miejsca; rzuciłem wzrok na książkę czytaną ukradkiem. Był to „Książdz Konstanty.“ I na cóż dziś przyszło biednej cnotcie!

„Bo téż to powieść cnotliwa w całym słowa znaczeniu. Jedyny to zarzut jaki jej uczynili krytycy; nie podobna było odmówić jej wdzięku i prawdziwego talentu. Ależ za wiele znaleźli tu baranków, a za mało wilków, za wiele uczciwości, za wiele cnoty, za wiele kwiatów! Ta dobra amerykanka, która ma dobrego męża i dobrą siostrę; ten zakochany w panience dobry oficer, bratanek do brego plebana; cały ten dobry romans pełen dobrych czynów, zakończony dobrém małżeństwem... wszystko to, mówiono, sprzeczne z prawdą, tak się nie dzieje w rzeczywistości. Taki jedynie zarzut spotkał tę piękną powieść, ale to właśnie, co ganiono w niej, oczarowało mnie i tysiące czytelników, dało nam chwilę miłego spoczynku, podniosło myśl naszą, zmieniło jej kierunek. Zresztą kiedy zostajemy długo w ciężkiej i cuchnącej atmosferze, a ktoś poda nam fiasko orzeźwiającej woni, nie skarżymy się, że zbyt pachnie, ale szukamy w niej otrzeźwienia. Publiczność dusząca się znalazła tę świeżą woń w pięknej książce i wynagradza za nią autora.“

Przebiegając liczne zarzuty, jakie opinia stawiała przeciw obiorowi nowego akademika, Pailleron zwraca w końcu uwagę na zarzut wesołości. Posłuchajmy co mówi:

„Wesołość! niewinna wesołość! najwybitniejsza cecha umysłu francuzkiego, która czyniła powinnośc łatwiejszą, nieszczęście lżejszem, która wieńczyła inne zalety nasze, nadawała nam świetny posłuch... cóż się z nią dzisiaj stało? Niestety i ona dotknięta chorobą tej anemii, podgryzującą żywotne siły nasze! O chorobie tej świadczą rozmaite groźne symptomata; owo zatapianie myśli w drobnych rzeczach, a dziwna trwoga w obec wielkich, owo namiętne lubowanie się w bezcennej literaturze, co porównałości można do ciekawości, z jaką chory człowiek bada lekarskie książki; owa gorączkowa pogoń za wszystkiém, co brudzi i upadla ludzkość, co ją zuiża do miary naszego własnego poniżenia, co wmawia w nas: że wszelkie usiłowania nasze daremne są, bo nam brakło nadziei! że świat pusty, bo straciłmy wiarę!

„Tak zaprawdę, kończy Pailleron, ten lud chory jest i nie uwierzę w jego zdrowie, dopóki nie wróci do dawniej wesołości, dopóki nie usłyszę w koło siebie tego śmiechu szczerego, pełnego swobody, jak ranny śpiew galskiego koguta, tego śmiechu, który nie pochodzi z wyschłego serca, ale świadczy o jego żywotności, rozbudza w nim odwagę, daje mu siłę do zapanowania nad sobą. Kobiety wiedzą o tém, one umieją pokryć wesołością tyle bolesnych ran, tyle łez tajemnic zronionych.“

„Nie pogardzajmy wesołym śmiechem, uszanujmy go, uczcijmy w nim dobroć Boga, który nim osłodził dolę naszą. Ktokolwiek widział starca, uśmiechającego się do przeszłości, kto pamięta jeszcze radość matki na widok śmiejącego się dziecka, ten wie, że niewinny śmiech to dar stokroć błogosławiony!“

Najpopularniejszy z akademików francuzkich Ernest Legouvé, pełen życia, mimo że ósmy krzyżyk ciąży mu już na barkach, napisał bardzo ciekawą książkę pod tytułem: „Wspomnienia z lat sześćdziesięciu“, drugi tytuł: „Młodość moja“ zapowiada, że dzieło nieskończone, że po kwiecistej wiosnie, nastąpi słoneczne lato i pełna kłosów jesień. Szczerze tego pragniemy, nowa bowiem bsiążka Legouvégo, tém jest wśród nawału dzisiejszych utworów literackich, czém zielona oaza wśród piaszczystej Sahary.

Autor przyjął nową całkiem formę w kreśleniu wspomnień swoich. Nie jest to zwyczajna autobiografia, pisana w chronologicznym porządku; nie jest to dziennik, rzucający z dnia na dzień na papier, pod wpływem świeżych wrażeń. To zbiór osobnych, pełnych życia obrazków: każdy z nich uwydnia rysy znanéj w świecie literackim osobistości, której wpływ silnie oddziaływał na umysł i serce autora. Sierota po matce od lat niemowlęcych, po ojcu od piątego roku życia, Ernest Legouvé potrzebował światłych przewodników, którzyby mu zastąpili opiekę rodzicielską. Znajdował ich też na każdym kroku, a wdzięczny za otrzymaną pomoc, rzewne wspomnienie poświęca każdemu z tych zacnych opiekunów swojej młodości.

„Kto z nas, mówi autor, nie zna tego cudnego obrazu z Biblii, kiedy syn Tobiasza, wybierając się na daleką i niebezpieczną wędrówkę, spotyka na placu miejskim pięknego młodzieńca, który obiecuje przewodniczyć mu w drodze. Otóż nie chcąc bynajmniej porównywać się do biblijnej osobistości, muszę jednak wyznać, że w każdej stanowczej przygodzie, znalazłem, czy to pod postacią starca czy młodziana, zesańca Bożego, który mi był przewodnikiem.

Wśród pesymizmu zagranicznego w dzisiejszej literaturze, obrazy Legouvégo skreślone z miłością, radują serce, koją myśl i budzą zachwianą wiarę u ludzi. Słowa jego pełne wdzięczności, przypominały nam śliczny czterowiersz Pola:

Choć to życie idzie po grudzie,
 Jak mi Bóg miły niezli są ludzie,
 Ten temu brat, ten temu swat,
 A co dobremu, to każdy rad!

Syn poety, słynnego za czasów cesarstwa, Ernest Legouvé od dzieciennych lat szczególny okazywał pociąg do poezyi. Znany frenolog dr. Gall, obejrzawszy kształt jego głowy, oświadczył, że pójdzie ojcowskim śladem i horoskop ten zwrócił go wcześniej na drogę literacką. W szkołach począł pisać już dosyć udatne wiersze. Było to na

lat kilka przed pamiętnym przełomem romantycznym. Wśród poetów błyszczał Kazimierz Delavigne, utalentowany śpiewak „Messynianek“, obsypany oklaskami autor „Nieszporów sycyliskich.“ Do niego to siedemnasteletni uczeń poszedł po radę: nie zawiódł się w oczekiwaniu. „Czytałem mu próby moje przez pół godziny, mówi Legouvé, i przez tę krótką chwilę nauczyłem się więcej niż we wszystkich książkach retoryki. Była to żywa krytyka: nie opuścił żadnego błędu, dał uczuć każdą niedokładność.“

Delavigne pożegnał ucznia zachęcającym słowem: do widzenia. Ośmielony tém młodzian, w kilka tygodni potem, kołacze znów do drzwi poety; zanosi mu odę pod tytułem: „Geniusz“ poświęconą Kazimierzowi Delavigne.

„Zaledwie rozłożyłem papier, mówi Legouvé, poeta zawołał ze śmiechem: Ho! ho! widzę wielki błąd na początkul

— I jakież?—pytam pomieszany.

— W samej dedykacji, moje dziecko, wierzę zupełnie w szczerść twoją, ale przy imieniu mojem położony wyraz geniusz, świadczy tylko, że się na nim nie znasz. Geniusz! to epitet stosowny dla Kornela, Rasyna, Szekspira lub Sofoklesa. Nierozważnym jesteś, ja też będę surowym dla twój ody.

„Odczytałem wiersz, Delavigne milczał głęboko, a potem rzekł stanowczym głosem.

— „Twoja oda, mój chłopcze, nic nie warta. Gdyby szło o samą formę, nie uważałbym na to: usterki pióra, to rzecz zwykła początkującym; co mnie niepokoi, to słabość myśli, więcej się spodziewałem po pierwszych próbach twoich. Przyszła na ciebie chwila przesilenia, możesz się zdobyć na bohaterską odwagę. Przez rok zaniechaj całkiem wierszy. Pozostaw na czas formę, ona się zawsze znajdzie i pracuj nad fundamentem, kuj sobie rozum, ucz się, poznaj arcydzieła wszystkich ludów. Umiesz na pamięć Kornela, Rasyna i Moliera; to dobrze, ale nie dosyć. Zbadaj Sofoklesa, Szekspira, tłómacz ich, jeśli możesz. Nie zaniedbuj wielkich prozaików naszych; proza jest karmicielką poezyi. Badając drugich szukaj sam siebie. Za rok zobaczmy.

Legouvé do tych uwag dołącza swoje własne. W radach Delavigne wskazuje najmędrszy przepis pedagogiczny dla młodych literatów. „Te słowa, mówi on, szukaj sam siebie w drugich, zdają się zrazu paradoksem, a przecież zawierają w sobie całą sztukę poetyczną. Dawniej mówiono: „Aby pozostać sobą, zamknij się w sobie;“ i była w tém słuszność. Ale dziś kiedy zamknąć się w sobie niepodobna, dziś, kiedy wszystko odrywa nas od siebie samych, kiedy idee krążące wszędzie, wchodzą nam wszystkimi porami do głowy i do serca, kiedy kursa publiczne, dzienniki, przeglądy, książki, wystawy, rozmowy, podróże, uderzają w nas wielkim prądem najsprzeczniejszych opinii, samoistność nie może już objawiać się naiwnością. Aby poznać siebie potrzeba porównać się z drugimi, kto bada wszystkich, ten

nie naśladowuje nikogo. Ciągła styczność z mistrzami rozmaitych szkół, strzeże nas od ślepego uprzedzenia, a budzi wyrozumowany entuzjazm, daje miarę skłonności i sił naszych. Geniusz obejść się może bez tych prawideł, dla talentu są one koniecznością.“

Idąc wiernie za radą Delavigna, Legouvé w rok potem zaniósł mu przekład Agamemnona z Eschyleasa, Romeo i Julii z Szekspira, i plan poematu na konkurs akademicki p. t. „Wynalazek druku.“

Delavigne przyklasnął mu, dodał bodźca do pracy; ucieszył się jak ojciec, kiedy dwudziestoletni poeta zatryumfował na konkursie.

Po tryumfie nastąpiły chwile gorzkich zawodów, po upojeniu smutne rozczarowanie. Legouvé zachęcony wieńcem akademickim, wydał zbiór poezyi. Publiczność obojętnie przyjęła tomik. Zniechęcony młodzian gotów był na zawsze zerwać z poezją, obrać inny praktyczniejszy zawód. Wówczas to Bérenger wezwany o radę, uspokoił wzburzony umysł młodzieńca, zatrzymał go na raz obranej drodze. Przytaczamy tu słowa z listu popularnego lirnika, pełne głębokiej prawdy.

„Całe nieszczęście twoje, pisze Bérenger, żeś od razu nadto był szczęśliwym. Świat uśmiechnął się do ciebie przy pierwszém wystąpieniu. Przyznaj sam, co ci dręczy? oto дума, pragnienie chwały! Biedne dziecko, gońże sobie za chwałą, strzeż się tylko, żeby ta fata morgana nie uniosła cię na pustkowie. Jedyń sposob uchroni cię od tego: staraj się być pożytecznym. To prawo Bóg wskazał każdemu człowiekowi; w literaturze tém silniej prawo to musi zobowiązywać. Nie czyni, jak ci wszyscy, którym wystarcza sztuka dla sztuki, szukaj pilnie sam w sobie wiary w jakiś wyższy ideał; przyczep do niego wszystkie usiłowania, wszystkie myśli swoje. Masz serce dobre, umysł szlachetny, niepodobna, aby pieśczęoty społeczeństwa, jakich byłeś celem, zatrzcć mogły w tobie miłość bliźniego. Niechże więc to uczucie stanie się przewodnikiem w pracach twoich, przewodnikiem pewniejszym niż najwięksi mędracy świata. Uczucie to wystarczyło, aby ze mnie, istoty marnéj, uczynić coś, wprawdzie bardzo błahego, ale zawsze cośkolwiek.“

„Jesteś w dobie najszczęśliwszój życia; twe serce młode, nie zajmuj go sobą samym, rozciągnij koło działalności twojój, a przede wszystkim strzeż się tego sztucznego świata, w którym cię los pomieścił. Twój umysł, dusza twoja, znajdują wkrótce żywioł do rozmyślenia, a kierunek przyjdzie sam z siebie. Żadna z danych nam władz nie przepadnie, ale trzeba ję szukać. Ucz się, skoro możesz się uczyć, rozmyślaj, skoro masz do tego czas swobodny, ale nadewszystko zajmuj się więcej drugimi, niżeli sobą samym.“

List ten był dla młodego pisarza, jak sam wyznaje dobroczynnym napomnieniem i wielką na przyszłość nauką.

Najpiękniejszy ustęp w tych wspomnieniach poświęca autor ojcu swemu, scharakteryzował w nim całą epokę pamiętnego przełomu

w literaturze. Przytaczamy w treści ten ustęp, żałując, iż ramy nasze nie pozwalają powtórzyć go tu całkowicie.

„Nie znałem prawie ojca mego, mówi Legouvé, ale nigdy żaden ojciec nie uprzytomniał się lepiej w myśli syna. W dziecięcych latach moich, dziadek, babka, których był kiedyś radością i chlubą mówili mnie o nim, o jego świetnych powodzeniach, wtajemniczali mnie w najdrobniejsze szczegóły jego życia.

Znałem wybornie ojca, umiałem na pamięć wszystkie jego utwory.

„Gdym wszedł pomiędzy ludzi, czułem na każdym kroku słodki wpływ tego niewidzialnego opiekuna. Imię jego torowało mi drogę. Imię to zniewoliło mi Kazimierza Delavigne, zjednało mi względy Lemerciera; imieniu temu zawdzięczam współczucie Akademii. Ilekroć powtarzano imię jego, oczy wszystkich zwracały się ku mnie z życzliwością. Jakaż więc była moja boleść, gdym ujrzał tę drogą postać straconą z piedestału, sponiewieraną, obrzuconą szyderstwem.

Nadszedł rok 1831. Walka romantyków z klasykami zawrzała z całą gwałtownością. Literatura z czasów cesarstwa, stała się przedmiotem sarkastycznych pocisków. O pisarzach z tej epoki mówiono z największą pogardą. Owóż ta literatura była polem tryumfów mego ojca. Sarkazmy rzucane na żywych jeszcze towarzyszków spadały na drogą mi jego pamięć. Gdziekolwiek nakreślone z gniewem imiona Jony, Arnauld, Lemercier, czytałem opuszczone przez grzeszność imię Legouvého. Często spotykałem i to imię; śmierć nie rozbroiła zawziętych szermierzy, pastwili się nad zmarłym, utwory jego ośmieszali bez litości.

Wiktor Hugo, w słynnej przedmowie do Cromwella szydzi z tragedji: Śmierć Henryka IV, ostatniej pracy mego ojca; Sainte Beuve o utworach jego wyrażał się z pogardą.

„Cierpiełem niesłychanie, tém bardziej, iż z całym współczuciem lgnąłem do nowej szkoły. Jój zuchwałe porywy czarowały mnie, jój pragnienia były mojemi. Będąc studentem jeszcze, powtarzałem z kolegami poezye Lamartina i pierwsze ody Wiktora Hugo. W godzinach wolnych tłómaczyłem Mackbetta, Larę, Korsarza, ustępy z Childe Harolda. Dzień, w którym doszła wieść o skonie Byrona w Misolunghi, był dla nas dniem żałoby.

„Później na słynnej próbie Hernaniego, należałem do sześćdziesięciu uprzywilejowanych, którzy znaleźli wstęp do teatru, powróciłem do domu zachwycony. Ale zarazem dusza moja zżymała się na ten bezwarunkowy zachwyt, widziałem w tém najprzód ubliżenie drogiej pamięci ojca, a potem program nowej szkoły oburzał mnie często jako dziwaczny i niesprawiedliwy. Pogarda dla Rasyna była w oczach moich świętokractwem, lekceważenie Kornela, Bossueta, Lafontaine zbrodniczą zniewagą geniuszu. Dodajmy jeszcze, że to oburzenie podzielał ze mną dawni przyjaciele ojca mego. Byłem na pierwszym przedstawieniu Hernaniego w loży Lemerciera, którego czcilem jako męża wielkiej nauki. Stary klasyk powtarzał co chwila: to niedo-

rzeczność! to nie ma sensu, dawno nie widziałem tak złej sztuki!“ Łatwo pojąć jak burzliwą walkę myśli i uczuć, musiał zbudzać w mój dwudziestoletniej głowie ten nawał najsprzeczniejszych opinii. Byłem zupełnie przygnębiony, rozdarty sam w sobie, jak owa Sabina podczas walki braci swych z Horacyuszem.

Nakoniec szarpany bezustanku, przyszedłem do boleśniejszego jeszcze uczucia: zwątpiłem o talencie ojca mego. Wątpliwość ta rozdzierała mi serce, postanowiłem bądź co bądź rozwiązać tę okrutną zagadkę. Kto ma słuszność? Czy epoka, która podniosła tak wysoko ojca mego, czy nasza, która strąca go w przepaść zapomnienia? Ażaliż stawa jego była kaprysem mody, dowodem skażonego smaku, czy też spoczywała na trwałej podstawie? Na rozwiązanie tej zagadki, jeden był tylko sposób, umyśliłem go użyć. Wziąłem cztery celniejsze prace ojca mego, odczytałem je z wyteżoną uwagą, pomалу, zimno, jakby dzieło obcego pióra. Odczytałem je przy świetle nowych idei, ale nie przepominając dawnych pojęć. Odrzuciłem na bok z obu szkół wszelki fałszywy blask, wszelkie przesady, szukając tylko bezwarunkowego piękna i prawdy. Było to pracowite studyum, dokonałem go jednak i wyszedłem z próby zaspokojony jako syn, oświecony jako artysta, przekonany sumiennie, że w czterech celniejszych dziełach ojca mego, są niezaprzeczone piękności, które budziły słusznie hołdy współczesnych i zasługują, aby potomność je poznała.“

Pomijamy trzy piękne tragedye, które Ernest Legouvé rozbięra szczegółowo, pierwsza z nich Śmierć Abła, przedstawioną była w roku 1792, w chwili, kiedy tyłu Kainów ubroczyło ręce we krwi bratniej, druga Eucharis i Neron, grana w r. 1794, podczas gwałtów Robespiera, trzecia Śmierć Henryka IV, obsypana oklaskami za pierwszego cesarstwa. Wszystkie trzy zastużyłyby na szczegółowy rozbiór, gdyby pozwalały na to ramy kroniki naszej. Nie podobna jednak pominąć nam poematu, do którego przyszło szczególnie imię Legouvégo słynnego poematu pod tytułem „Zasługa kobiet“. Autor pokazuje nam rodowód i głębokie znaczenie tej pomnikowej pracy.

„Dzieła wyższego znaczenia, mówi on, tę noszą cechę, że są wpływem swój epoki a zarazem ją wyprzedzają, że to wypowiadają na głos, co ogół czuje w duchu, co posłyszeć pragnie a czego sam wyrazić nie zdoła. I cóż nadało ten ogromny rozgłos *Zasługom kobiet*? To, że ów poemacik był niejako echem publicznego sumienia. Społeczeństwo zaledwie że odetchnęło po rewolucyjnym terroryzmie. Kobiety okazały się w tych czasach szczerą odwagą i poświęceniem. Wszyscy czuli w duszy wdzięczność i uwielbienie dla tych bohaterek i męczennic; kiedy więc poeta, odrzucając nabok dawne epigramata i madrygały, w miejsce satyrycznej chłosty siedemnastego wieku i chciwych pochlebstw osiemnastego stulecia, skreślił poważny obraz zasług i obowiązków kobiety, kiedy odmalował w niej żonę, córkę, siostrę i matkę, chór pochwalny przywodził pocie. Wrażenie pozostało tak głębokie, że czas dotąd zatrzeć go nie zdołał.

„Tak jest, oprócz niektórych zwrotów przestarzałych, poemat znany dziś jeszcze nie z samego tytułu. Dotąd pojawia się w nowych wydaniach, dotąd w uczciwem mieszczaństwie paryżkiem, młodzian składa go w darze narzeczonej. Słowem powiedzieć można, że ważne pytania podniesione dziś co do wychowania kobiet, polepszenia im losu, zapewnienia im słusznych praw, mają genezę swoją w poemacie Zasluga kobiet. My wszyscy, którzy podnosimy głos w tej sprawie, rozwijamy tylko prozą to, co wyśpiewał poeta; co zaś do mnie mówi w końcu Ernest Legouvé, wyznaje śmiało, że w pracy mojej, „Historyi kobiet,“ podtrzymywała mnie najsilniej myśl, że czułem się w niej synem i spadkobiercą ojca mego.“

Wspomnienia z lat młodych, dociągnął autor do roku 1834, do chwili, kiedy w dwudziestym siódmym roku życia, poślubił tę, którą ukochał, mając lat siedemnaście. Tej wierniej towarzysze, zmarłej już od lat wielu, oddaje najchlubniejsze świadectwo.

„Przyjaciele wspomnieni powyżej, mówi on, działali głównie na ukształcenie mojej inteligencji, na kierunek mego umysłu i prac moich; ona ustaliła mój charakter, podniosła uczucia moje, ugruntowała zasady. Jeśli cokolwiek uczyniłem lub chciałem uczynić, to wyłącznie pochodzi od niej, moja istota moralna jest wyłącznie jej dziełem.

„Wpływ jej nie objawiał się w zwykły sposób, radą ani namową. Działała na mnie jak światło działa na rośliny i żyjątka, siłą promieni swoich. Ona dała mi odczuć cudny wiersz, w którym Mi chał Anioł określa spojrzenie ukochanej:

La luce

Che mi montra la via ch'al Dio mi guide.

(Jej promienisty wzrok ukazał mi drogę, prowadzącą do Boga).

Od czasu Jana z Czarnolasu, który nazwał uczciwą żonę silną podporą domu, ozdobą męża, koroną jego głowy; żaden poeta, o ile wiemy nie uczcił tak chlubnie małżonki swojej, jak Legouvé w pięknych wspomnieniach.

Pojawiło się w tych czasach illustrowane dzieło pod tytułem „Lotaryngia.“ Jest to obszerna monografia tej prowincyi, rozszarpanej na dwoje przed laty czteremnaście. Wkrótce po klęskach 1871 roku, Teofil Gautier wraz z Gustawem Doré umyślili wykonać tę pracę. Nim się do niej zabrali umarł Gautier w r. 1874; rzecz poszła w odwłokę nim Doré znalazł nowego współpracownika. Tymczasem niemcy, dumni z odniesionych tryumfów, wydali w Stutgardzie ozdobne dzieło o Alzacyi i Lotaryngii. Dodało to bodźca francuzom. Kilku znanych pisarzy, rodem lotaryńczyków, rozdzieliwszy pracę między siebie, zabrano się gorliwie do niej; dzięki ich wspólnym usiłowaniom, wyszła na świat ozdobna publikacya. Autorowie, unikając pilnie wszelkich politycznych sporów, traktują rzecz zupełnie przedmiotowo; nakreślili obraz Lotaryngii, jaką była do roku 1870, ostatnie lat czteremnaście pozostawili w cieniu.

Wstęp do dzieła napisał Augustyn Prost, znakomity paleograf, archeolog i historyk, oddany wyłącznie erudycyjnym pracom nad Lotaryngią. W obszernym zarysie historycznym, pokazuje autor całą przepaść, jaka oddziela cesarstwo Rzymskie z epoki Karola Wielkiego i Ottonów, od tegoż cesarstwa w epoce Karola V-go i następnych Habsburgów. W pierwotnym ustroju swoim cesarstwo było prawdziwą federacją społeczeństwa, złożoną z drobnych centrów administracyjnych, które walczyły z sobą, jako państwa niepodległe, ale stanowiły ścisłą jedność, reprezentowaną przez cesarza w rzeczach polityki, a przez papieża w sprawach religijnych. Ustrój ten odpowiadał usposobieniom fizjologiczno-psychicznym ludów Europy; prawdziwa bowiem Europa, poszarpana mnóstwem rzek, poprzecinana łańcuchami gór, już przez samo geograficzne położenie zmuszała mieszkańców swoich do wyrobu indywidualizmu, tak nieodpowiedniego mieszkańcom równin nadwołżańskich.

Żywioł zwany germańskim reprezentowany był w Europie przez Gotów, Nemetów, Burgundów, Franków, Waragów czyli Normandów i inne ludy. Żywioł ten wyrabiał ów charakter indywidualistyczny, który później tak zabłysnął w instytucjach, zwanych dziś prowincjonalnemi, i tak wysoko podniósł poczucie godności obywatelskiej człowieka.

Aby dobrze ocenić stan Europy za cesarstwa tamtych wieków, trzeba porównać go ze stanem rzeczy w wiekach XVII i XVIII-ym, kiedy centralizacja państwowa sparaliżowała rozwój indywidualizmu, i doprowadziła ludy do ostatniego ponizienia. Żaden Otton ani Barbarossa nie byłby odważył się zawołać: „Państwo to ja!“, jak wołał Ludwik XIV-ty. Kilkaset państw udzielnych zawołałoby: to fałsz! gdy tymczasem uczeni i statyści Europy, odpowiedzieli poklaskiem na pyszne słowa Sardanapala wersalskiego.

Tę niepodległość osobnych państweczek, stanowiących cesarstwo Rzymskie, doskonale charakteryzuje miasto Metz. Ilekroć cesarz odwiedzał ten gród, na placach i ulicach przeciągnięte były żelazne łańcuchy określające ściśle miejsca, które wolno było zwiedzać monarchę. Umawiano się naprzód co do liczby osób, składających orszak cesarski. Przy wjeździe do miasta cesarz wykonywał przysięgę, jako nie naruszy w niczem praw jego i przywilejów. Zbrojna milicya czuwała w ukryciu, dla tém większego bezpieczeństwa. Słowem, oprócz opłaty pieniężnej, miasto żadną nie obciążone było zależnością. Takie same prawa dotyczyły całej Lotaryngii. Kraj ten odpadł od związku wskutek traktatów z roku 1648 i 1738, zgodnie z przyzwoleniem samego cesarstwa Rzymskiego.

Po historycznym zarysie następuje opis departamentu Mozelli przez Loredana Larchey. Znajdujemy tu obszerną monografią warownego miasta Metz, opis wspaniałej katedry, celniejszych gmachów, instytucji naukowych, jak słynnej niegdyś szkoły politechnicznej i t. p. Wspomina autor imiona znakomych ludzi, szczególnie w zawo-

dzie wojskowym, jakich wydała ta część Lotaryngii. Nad wszystkimi góruje Ney, syn ubogiego bednarza, prosty kowalczyk, który przeszedłszy wszystkie szczeble hierarchii wojskowej, zaszczycony tytułem marszałka państwa i księcia Moskwy, skończył życie rozstrzelany w Paryżu za restauracji Burbonów.

Utalentowany powieściopisarz i poeta Andrzej Theuriet, opisał z miłością rodzinne strony swoje nad Meuzą, dawne księstwo Baru, oddane niegdyś pod zarząd naszego króla Stanisława. W mieście Commercy wspomina dawną rezydencją tego króla i założony przez niego przepyszny park na wzór wersalskiego, zniszczony dziś bez śladu.

Opis Wogezów przez Ludwika Jouve, obejmuje ciekawy obraz wsi Domremy, rodzinnego gniazda Joanny d'Arc. W kilku drzeworytach widzimy jej domek, jakim przedstawiał się w różnych czasach. Domek to mały, o spiczastym dachu, o jedném niewysokiem pięttrze. Odnowiony poraz ostatni przed laty kilku zachował dawny kształt, dodano tylko dwa małe budynki, jeden przeznaczony na szkółkę dla dziewcząt, drugi na muzeum, szczupły bowiem domek nie mógł objąć wszystkich pamiątek, jakie tu zewsząd nadsyłało. W tém dobudowanym skrzydle oprócz broni ówczesnej, nagromadzono mnóstwo rycin i obrazów, przedstawiających bohaterkę w różnych chwilach jej życia, to młodą dziewczką przy ognisku domowém, to w rycerskich zapasach, to w więzieniu i na ławie sądowej. Anglik jeden darował obraz: „Joannę pielęgnującą rannego nieprzyjaciela.“

Nad główném wejściem domu wyrzeźbione w kamieniu dwa herby: jeden francuzki: trzy lilie, drugi herb Joanny: trzy lemieszce od pług, pod niemi napis: *Vive labeur, vive la Roy Louis 1450*. W pierwszej izbie znajduje się model posągu dłuta księżniczki orleańskiej i inny model pomnika z epoki Ludwika XI-go. Na lewo ogromny komin; na ścianach porozwieszane obrazy, w izdebce stoły marmurowe i t. d. Druga izdebka, niegdyś sypialnia Joanny, ciemna, z małym okienkiem wychodzącém na ogród; pułap wsparty na grubych belkach. W zagłębieniu stoi odwieczna szafa, ozdobiona prostą rzeźbą. Według podania szafa ta sięga czasów Joanny. Podróżni, zwłaszcza Anglicy, powyszczerbiali ją na wszystkie strony.

Dom ten jest dziś własnością narodową. W r. 1814 należał jeszcze do wieśniaka, który umiał uszanować drogą pamiątkę, odmówił bowiem znacznej zapłaty, jaką mu ofiarował zamożny Anglik. Co chciał Anglik uczynić z tym domem—niewiadomo. Pragnął może zatrzeć wspomnienie hańby, ciężącej na jego narodzie; a może téż zamierzył przewieść dom do Anglii. Rada departamentalna zakupiła go wtedy na własność, i zamieniła na pomnik narodowy.

W bliskości domu przed kościołem stoi posąg Joanny, dłuta miejscowego rzeźbiarza. Przedstawia ją klęczącą w odzieży wiejskiej; jedną rękę trzyma na sercu, drugą podniosła ku niebu, jakby uderzo-

na jakimś cudownym zjawiskiem. Posąg ten umieszczony w maleńkiej otwartej kapliczce.

Niezliczone wizerunki Dziewicy Orleańskiej, czy to wykute z kamienia, czy oddane pędzlem, albo rylcem, są poprostu utworem wyobraźni. Mistrze każdej epoki przedstawiali ją na swój sposób, stosownie do panującego smaku. Wizerunki z piętnastego wieku sztywne nieudatne pod względem formy, mają przecież naiwny wdzięk, pełen religijnego natchnienia. W epoce renesansu, ukazywano Joannę w postaci amazonki greckiej, lub rzymskiej bohaterki, strojonej w togę i hełm z pioropuszem. W czasach Ludwika XIV-go postać jej stała się jeszcze pompatyczniejszą, pęk strusich piór na kasku, przybrała kształt piramidalnej peruki, jaką moda ówczesna przyjęła; epoka romantyzmu nadała jej cechę osyanicznój heroiny; realizm nakoniec dzisiejszy z idealnych wyżyn ściągnął ją znów na ziemię. Archeologowie przecież, jak mówi Jouve, wpadli obecnie na trop autentycznego wizerunku Joanny. W procesie zapisano że szkot jeden wymalował jej portret w Arras, gdzie Anglicy trzymali ją w więzieniu w r. 1430. Co się stało z tym portretem niewiadomo. Ale znaleziono w manuskrypcie wykonanym w Arras p. t. „Champion des Dames,” bardzo ważną miniaturę z r. 1440, która jak utrzymują musiała być kopią owego portretu. Joanna w stojącej postawie, trzyma w prawej ręku długą włócznię, lewą oparła na wielkiej tarczy z herbem. Na głowie pochyloną w bok, ma kapelusz filcowy z szerokimi skrzydłami; włosy ciemne wybiegają na ramiona. Z pod blaszanego pancerza, spada brunatna spódniczka, krótka do kolan, brunatne rękawy pokrywają drugie barwy pomarańczowej. Trzewiki ma grube z czarnej skóry, powyżej nogi otoczone do kolan blachą. Rękopis ten znajduje się obecnie w Bibliotece narodowej.

Z żywym zajęciem czytaliśmy opis departamentu Meurty; spotykamy tu bowiem co chwila drogie nam imię Stanisława Leszyńskiego. Obszerny opis tej najważniejszej części Lotaryngii, wykonał p. Edgard Auguien. Przeprowadza nas autor z Nancy do Lunewillu: tak w jednym jak w drugim mieście pamięć króla, przetrwała dotąd nie tylko w nazwach ulic i gmachów, nie tylko w kolosalnym pomniku na wielkim placu w Nancy, nie tylko w pysznych grobowcach, ale co więcej w instytucjach drgających dotąd życiem. Do takich należy akademja Stanisława. Założona w roku 1750, przez sto trzydzieści pięć lat swego istnienia, wydała długi szereg ludzi znakomitych w różnych gałęziach nauk. Światły król uczynił tę instytucyą, nie tylko nagrodą za położone już usługi, ale nade wszystko żywym ogniskiem, które skupiło w sobie wszystkie siły inteligencyi, i rozbudziło umysłowy ruch w kraju. Silnym bodźcem do tego, stały się nagrody konkursowe. W pierwszych zaraz latach, uwieńczono siedmdziesięciu laureatów. Dzielną pomocą królowi był w tém Solignac, mąż głębokiej nauki, poufny sekretarz, który poprawiał francuzki język króla w li-

terackich jego pracach. On to pod kierunkiem Stanisława napisał dzieje Polski (*Histoire générale de Pologne*).

Solignac mianowany stałym sekretarzem Akademii, zajął się jej rozwojem z niestychaną gorliwością, a dzięki usiłowaniom jego, i czynnej opiece królewskiej, instytucja ta znalazła w sobie taki zasób żywotności, że z wyjątkiem kilku lat burzy rewolucyjnej, od r. 1793 do 1802, posiedzenia jej odbywały się stale, i odbywają dotąd bez przerwy.

P. Auguin wylicza wszystkie zabytki w Nancy, do których przyrosto imię Stanisława. W bibliotece mnóstwo jest książek, oprawnych w safian czerwony, ozdobionych herbem Leszczyńskich. Wśród nich ogromny wolumin in folio, obejmuje wszystkie rękopisy króla, tak ogłoszone drukiem jak i niewydane w liczbie sześćdziesięciu czterech. Ostatnie z nich kreślone ręką już ociemniałego starca, piśmem tak niewyraźnym, tak drobnym, że mimo całej usilności, erudyci nantejscy odczytać ich nie mogli.

Wspaniałe grobowce Leszczyńskich i córki ich królowej Maryi, której serce pochowane obok rodzicielskich zwłok w kościele N. Panny du Bon Secours, opisane tu i oddane w pięknych drzeworytach. Znajdujemy przytém ciekawe szczegóły z czasów rewolucyi, zaprzeczające mylnym pogłoskom, jakoby zwłoki króla Stanisława, uleż miały podobnej zniewadze, jaka spotkała w St. Denis prochy Walezyuszów i Burbonów. Rząd rewolucyjny wprawdzie sprzedał kościół, wraz z dobrami należącemi do zgromadzenia Wizytek; nowy właściciel o mało że nie zburzył owego kościoła, już nawet wyłamano wewnętrzne kraty wykute mistrzowską ręką Jana Lamour. Rozpoczęto właśnie dzieło zniszczenia, kiedy okoliczni wieśniacy, idąc na targ do Nancy, spostrzegłszy to ze zgrozą, podniecili wiejską ludność do oporu. Kobiety szczególną okazywały energią. Łzy ich sprawiły, że odwołano sprzedaż. Zabezpieczono deskami chór, obejmujący groby królewskie. Wypadek to jedyny w swoim rodzaju, podczas szalonej burzy rewolucyjnej.

Na groźby niejakiego Laureur, zwłoki Leszczyńskich ocalone zostały od wściekłości rozhulanój tłuszczy. Zachowano je w muzeum, zkąd przeniesiono do kościoła przywróconego za cesarstwa czci religijnej.

W opisie Lunewillu ulubionój rezydencji Stanisława, spotykamy się też co chwila z drogiem jego imieniem. Ze śmiercią króla przyemił się blask, który z dworu spływał na miasto, ale domy sierot, szpitale i inne miłosierne zakłady, istnieją dotąd jako żywe świadectwa dobroczynnej działalności filozofa chrześcijańskiego. Upadł od dawna słynny zakład kadetów, do którego młodzież polska zbiegała się niegdyś jakby do nowych Aten, ale promień światła przyniesiony ztamtąd do kraju rozjaśnił w cudowny sposób, gruby pomrok epoki saskiej. Przy tym promieniu czteroletni sejm tworzył nowe ustawy, przy nim Izba edukacyjna zreformowała wychowanie publi-

czne. Dzięki temu promykowi, przyniesionemu z Lunewillu, wielki nasz historyk miał prawo nazwać kraj odradzającym się, w czasach wielkich klęsk jakie na niego spadły.

Obudziła tu żywe zajęcie, wydana w Wiedniu książka w języku niemieckim, obejmująca nieznane dotąd szczegóły, z czasu niewoli Napoleona na wyspie św. Heleny. Są to urzędowe raporta komisarza austriackiego, Bartłomieja Sturmera, wydobyte z archiwów cesarskich. Poufny ten wysłaniec donosi cesarzowi Franciszkowi o wszystkim, co się dzieje na wyspie: szczególnym obowiązkiem jego śledzić stan zdrowia dostojnego jeńca i uwiadamiać o tém gabinet wiedeński.

Rzecz widoczna, że obawa nowego zamachu ze strony Napoleona była dla cesarskiego teścia pobudką do takiej troskliwości; uczucie nie miało w tém udziału. Zrozumiał to Sturmer, i w tym duchu redaguje raporta swoje. Píše naprzykład w kwietniu r. 1816: Cesarz zupełnie zdrow, można się obawiać, że długo jeszcze pożyje.

Rząd austriacki nie sprzyjał bynajmniej zdetronizowanemu monarche. Więść o przybyciu Napoleona do św. Heleny na Bellerophonie, przejęła radością dwór wiedeński. „Teraz nareszcie, pisał Metternich do cesarza Franciszka, możemy liczyć na stały pokój.“

Położenie Sturmera nadzwyczaj było trudne. Dane mu instrukcye zakazywały wszelkich stosunków nieurzędowych z Napoleonem i otaczającemi go osobami: obowiązkiem jego było tylko donosić, czy cesarz jeszcze żyje. W ciągu dwuletniej misji aui razu nie widział jeńca. Napoleon bowiem, protestując przeciw niewoli swojej, odmawiał stanowczo urzędowego przyjęcia reprezentantom różnych państw, grożąc nawet, że strzałem z pistoletu przyjmie każdego, ktokolwiekby chciał w urzędowym charakterze przekroczyć jego progi. Przeciwnie zaś, pragnął Napoleon wszelkiemi siłami spotkać Sturmera i żonę jego francuzkę, w jakim domu prywatnym. Raz nawet kiedy był chory, zaprosił go do sypialni swojej przez hr. Montholon, życząc sobie, by słowa jego powtórzone były tajemnie cesarzowi austriackiemu. Sturmer odmówił wręcz: Cesarz Franciszek nie chciał obudzić podejrzania Anglii, ztąd zalecał wysłańcowi swemu nadzwyczajną ostrożność. I tak już sama obecność Sturmera, niepokoila rząd angielski. Hudson-Lowe utyskiwał wielokrotnie, że nie ma prawa nad obcymi komisarzami: „Gdyby mógł, wszystkichby powywieszał.“

Sturmer nawzajem, w najczarniejszych barwach, maluje postać Hudson-Lowa. „Im ściślej badam jego postępowanie, píše do Metternicha, tém mocniej dziwię się, że ministeryum angielskie mogło wybrać tak nikczemną osobistość. Brakłoż w Angii ludzi godnych zaufania, a równie nie przedajnych jak Hudson? Trudno tymczasem wynaleść niezręczniejszego i dziwaczniejszego człowieka, każda czynność jego nacechowana chytrnością i podstępem.“

Hudson-Lowe skłócił się wkrótce z całą wyspą. Napoleon nie-

nawidził go: Irlandczyk doktor O'Meara stanął mu silnie oporem, odmawiając roli szpiega: komisarze francuzki, niemiecki, rosyjski, patrzyli nań z pogardą.

„Aby zyskać względy gubernatora, pisze Sturmer, trzeba iść za nim na oślep, potakiwać mu we wszystkim, kłócić się i szpiegować jego wrogów, powtarzać mu każde ich słowo.“

Zarzuty dziwactwa i barbarzyństwa odpierał Hudson, tłumacząc się uczciwą intencją. Wszyscy jednak nienawidzili go; wielu sądziło, że ma zmałowane zmysły. Inaczej patrzy na to agent austriacki; zdaniem jego, Hudson działał w myśl rządu angielskiego.

Sturmer podziwia niesłychany urok, jaki wywierał w koło siebie mocarz upadły bez pieniędzy, bez siły materyalnej. „Rzecz niepojęta, mówi on, jak ten więzień trzymany pod strażą, panuje dotąd nad otaczającym go kółkiem. Niezłomna moc ducha, pamięć dawniej potęgi, urok geniuszu, majestat monarszy: wszystko to sprawia, że każdy pochyla przed nim głowę. Francuzi, towarzysze niewoli, patrzą nań z zachwyceniem. Las-Cazes powtarza nieraz: „Życie na téj dalekiej wyspie osładza mi myśl, że mam szczęście widzieć to, co świat wydał największego!“ Napoleon zachował zresztą postawę i przywyknienia cesarskie. Osoby, które przypuszcza do stołu swego każdej niedzieli, zmuszone występować w uroczystym stroju. Przed ucztą cesarz ogląda stroje kobiet. Jeżeli przypadną mu do smaku chwali je z zadowoleniem, w przeciwnym razie okazuje widoczną niechęć. „Co znaczy ten śmieszny ubiór? mówi z gniewem, wyglądasz pani jak pokojówka.“

Z pomiędzy nielicznego grona kobiet najwyższe względy cesarskie, zjednała sobie hrabina de Montholon, hrabia patrzył na to chętnym okiem, bez cienia zazdrości, do której nie było słusznego powodu. Inaczej uważał rzecz generał Gourmand. W obawie, aby wpływ pani Montholon nie odebrał mu ufności cesarskiej, zaczepiał hrabiego ciągłemi przymówkami. Byłoby przyszło do pojedynku, gdyby nie wyraźny zakaz Napoleona: „Czego chce ten człowiek? „mówił cesarz, rzekłby kto, że się zakochał we mnie!“

Jakkolwiek Sturmer nie miał wstępu do dworu, nie jednak nie uszło przed bacznym jego wzrokiem. Szczegółowo opisuje codzienny tryb życia Napoleona. „Cesarz, mówi on, wstaje o dwunastej w południe, je śniadanie i pracuje do trzeciej. Potem wychodzi na przechadzkę lub wyjeżdża pojazdem uprzężonym w sześć koni. O ósmiej siada do stołu: obiad trwa trzy kwadranse. Po obiedzie gra w szachy albo w bilard, poczem udaje się na spoczynek. Wśród nocy wstaje, pisze pamiętniki, posiłkuje się Monitorem. Uczy się angielskiego języka. Jeżeli dobrze usposobiony deklamuje wieczorami przy poklasku całego kółka swego: powtarza najczęściej rolę Nerona z Brytanikusa, albo Augusta z Cynny. Usiłuje naśladować Falnę, tak w postawie jak w ruchu. Niekiedy prosi panią Montholon o zaśpiewanie arii włoskiej.“

Ostatni raport Sturmera nosi datę 7 lipca 1818 roku. Cesarz Franciszek wkrótce potem odwołał go do Wiednia. Odtąd komisarz Ludwika XVIII, reprezentował Austryę na wyspie Świętej Heleny.

Znany literatom i filologom, ale nie zbyt popularny poeta Lecomte de Lisle, otrzymał w Akademii krzesło po Wiktorze Hugo. Chęć uczczenia woli zmarłego, wpłynęła zapewne na wyborców; wiadomo bowiem, że kiedy przed laty ośmiu Lecomte de Lisle podawał się na członka poważnego ciała, otrzymał głos jedyny Wiktora Hugo. Z tego to powodu odrzucony kandydat napisał list drukowany w dziennikach: „Uważam się za członka akademii, ponieważ jedyny głos, jaki ma u mnie wagę, uznał mnie godnym tego zaszczytu.“

Lecomte de Lisle od lat z górną trzydziestu poświęcił się wyłącznie poezji i badaniom literatury starożytnej. Do znakomitych prac jego należą dwa wielkie zbiory oryginalnych utworów: Poemata starożytne i poemata barbarzyńskie, oraz dramat Errynies, osnuty na mytach greckich. Zasłużył się nieminiej literaturze, wytwornym przekładem całego cyklu poematów heleńskich, zaczawszy od Iliady i Odyssei do tragedji Sofoklesa, Eschyleasa i Eurypidessa. Miał zamiar przełożyć nieminiej komedye Arystofana, ale zaniechał tego, z powodu ustępów grubiańskich aż do obrzydliwości, jakie się w nich znajdują. Zatrzymała go również gra wyrazów często powtarzana, której oddać nie podobna w tłumaczeniu. Dla dopełnienia cyklu homerycznego, zamierza przełożyć jeszcze poemat Quintusa ze Smyrny: jest to dalszy ciąg Iliady, zawarty w piętnastu pieśniach. Epopeja ta ułożona wiernie na wzór Homera, obejmuje kilka bardzo pięknych ustępów: między nimi śmierć amazonki Pentesilei, poległej z ręki Achileasa. Bohater, poruszony widokiem umarłej, uczuł dla niej gwałtowną miłość.

Obecnie Lecomte de Lisle pracuje nad wielkim poematem, który ma objąć do 12,000 wierszy pod tytułem: *Etats du Diable*. Wyraz *Etats* wzięty nie w znaczeniu państwa, ale raczej sądu, trybunału.

Będzie to satyra filozoficzno-religijna, złożona ze scen dyalogowanych, pomiędzy historycznymi osobami. Obejmie ona wszystkie wypadki, jakie zaszły od Soboru Nicejskiego w r. 325 aż do końca XVI wieku. Obawiamy się nowych skandalów w duchu Renana i jego szkoły.

Pomimo całej czci dla zmarłego mistrza, Lecomte de Lisle odmówił wresz dyrektorowi teatru francuzkiego, poematu na dzień urodzin Wiktora Hugo 26 lutego. Rocznicą ta ma być odtąd stale obchodzoną. Nie rozumiemy powodu odmówienia. Gdyby ten obchód był już wielokrotnie powtarzany, jak się to dzieje z rocznicą Moliera, Kornela i Rasyana, możnaby wytlómaczyć tę wstrzemięźliwość; ale w pierwszym obchodzie poeta miał pole przed sobą szerokie i jeszcze nie-
tknięte. Snać wszystkie kwiaty retoryki zachować chciał na wieniec,

który ma upleść z obowiązku w chwili, gdy zajmie uroczyście krzesło poprzednika.

P. Renan oświadczył się sam z chęcią napisania dyalogu: zaciekawiony Paryż czekał niecierpliwie na te gody, nigdy bowiem Renan nie pisał dla teatru, a utwory jego jak „Kali ban“ i „Kapłan z Nemi,“ oprócz dyalogowanej formy nie posiadają żadnych warunków dramatycznych. Rok 1802 na cześć Huga nie okazał się szczęśliwszym, i gdyby nie imię autora, nigdyby dyrekcya teatru nie zgodziła się na przedstawienie téj ciężkiej elukubracyi. Przypatrzmy jęj się bliżej.

Scena odbywa się na polach Elizejskich (za Styksem) w gaju, przeznaczonym wyłącznie dla nieśmiertelnych cieniów z komedyi akademii francuzkiej. Wśród kwiatów i zieleni widać dwie marmurowe ławy. Pierwsi koryfeusze prowadzą dyalog: Kornel, Rasyń, Boileau, Diderot i Wolter. Wszyscy ubrani według mody, jaka panowała za ich czasów, ale sztywni i nieruchomi wyglądają jak posągi z kamienia. Autor pragnął odziać ich w płachty grobowe; oparła się temu dyrekcya. Szaty ich przecież wyblakłe, zachowały pozór archaiczny. Z wielkim podziwem naszym nie widzimy w pośród nich Moliera; jednakże ta ustroń przeznaczona nie dla samych akademików, ale i dla cieniów z komedyi, jak czytamy w programie.

Za podniesieniem kurtyny scena zupełnie pusta. Wbiega skrzydlaty geniuszek Kamill, przynosi książki i buletyny dzienne. Aby duchy nie nudziły się w jednostajnym blasku chwały i w słodczy wiekui-stego pokoju, wielki geniusz przysłała im codzień przez gońca swego wiadomości od ziemi. Buletyn literacki z datą 1802 roku, oznajmia ukazanie się Atalii, Chateaubrianda. Buletyn polityczny głosi zwycięztwo na polach Marengo i Hohenlinden.

Kamillus, złożywszy na ławie książki i pisma znika; w téjże chwili Wolter i Diderot ukazują się w głębi sceny. Wolter podejmuje z ławy książkę, przewraca kartki z sarkastycznym uśmiechem. Od drugiej strony wchodzi Kornel i Rasyń, obaj siadają na ławie; Boileau stoi sam zamyślony.

Smutno utyskuje Rasyń nad upadkiem literatury i zaniedbaniem języka. „Ten wiek, rzeczce, ma lat dwa, a wokóło tak ciemno i głucho.“

W odpowiedzi na to daje się słyszeć kanonada, połączone z chórem Marsylianki.

Ożywiony wrzawą bojową Kornel nie wątpi o przyszłości. „Wielkie epoki, mówi on, wydają poetów godnych siebie. Wieniec z jednych-że uplecione promieni, zdobią czoła wieszczów i bohaterów!“ Tu każdy koryfeusz wypowiada, jakiego poetę pragnie widzieć w odrodzonej Francyi.

„Niech dźwiękiem poważnej liry, rzeczce Kornel, odda żalostny jęk, bijący od ziemi w nieskończoność, niech w jego wierszu odtentni huk dział, grzmot trąb i poryk piorunów, co rozbrzmia nad jego kołyską.“

„Niech będzie dobrym i tkliwym, ozwie się Rasyń, niech orzeźwi wyschlą duszę Francyi, zbudzi uszpioną jej wyobraźnię, zdroje łez wy-ciśnie z jej serca.“

„Niech będzie wzniosłym jak wierzchołek Alp, dorzuci Boileau, szerokim jak łozę oceanu. Niech dusza jego stanie się klawiaturą wszechświata, harfą ¹⁾, w której odtętnią wszystkie dźwięki.“

„Niech toruje drogę postępu dla ludzkości, rzecze Wolter, niech służy ludowi, stanie się jego ulubieńcem, przedmiotem uwielbienia! A jeśli, jak ja, przeżyje lat z górą ośmdziesiąt, niech włos jego siwy poczczoney będzie równo z moimi. Niech mu tłum wyprawi pośmiertną apoteozę, która ma być znamieniem nowych czasów. Zrazu on mnie przeklinać będzie, wiem o tём, lecz ukocha mnie w końcu; i stanie jak ja na czatach i zbudzi naród z przesądów i z uspienia.“

„Niech prowadzi dalej nasze dzieło! zawoła Diderot, niech czerpie życie z nas, my przez niego działać będziemy! Jeżeli spełnią się pragnienia nasze, czterej poeci roztoczą nad tym wiekiem odbłaski czterech różnorodnych geniuszów, zabłyśnie nam szczytny wieszcz jakiego wzywa Kornel i poeta miłości, powołany głosem Rasyńa, i geniusz wzniosły a głęboki, o jakim marzy Boileau, i patryarcha, przyjaciel ludu, widziany w snach Woltera. Czterech poetów na jeden wiek, to wiele, bardzo wiele!“

Na to wbiega Kamillus: „Wielki geniusz spełnił pragnienia wasze, woła uradowany. Dzień dzisiejszy będzie dla Francyi dniem uroczystym. Imię promienne błysło mi przed oczyma. Czterej poeci wasi zbiegną się w jednym potężnym geniuszu. Będzie on zarówno szczytny i tkliwy, dobry i potężny zarazem!“

Taka jest treść dramatycznego obrazku Renana. Harmonijny styl, właściwy autorowi, stanowi główną a raczej jedyną zaletę utworu, pełnego niesmacznych hyperboli i dziwacznych naciągań. Smutnaż dola tych akademickich duchów, znudzonych wśród rozkosznego Elyzeum, którym dla rozrywki skrzydlaty geniuszek przynosi codzień stopy gazet i książek, przedzę myśli, wysnutą przez prostych śmiertelników,—bardzo dzisiaj splątana, i kwiaty uczuć, rozkwitłe na ziemskim padole, zwiędłe dzisiaj pod szronem. Niemniej śmieszny pomysł tego absolutnego przeistoczenia, jakiemu uległ Boileau, który z zaciętego klasyka stał się najzagorzalszym romantykiem, a który, mówiąc o poecie wzniosłym jak szczyty Alp, głębokim jak łono oceanu, przemawia słowami Wiktora Hugo, gdy ten jeszcze się nie urodził.

Krytycy francuzcy najślusniej zarzucają pominięcie Moliera w gronie duchów, naznaczonych za życia piętrem geniuszu. Wprawdzie Hugo nie pisał komedyi, ale wiadomo, że na wzór Szekspira, wprowadzał komizm do najpoetyczniejszych dramatów; w każdym razie ściślej-

¹⁾ Cymbale, rzekł Renan, ów ośmieszony u nas instrument zmieniłmy na harfę.

szy węzeł łączył go z Molierem niż z arcyklasycznym Boileau, którego sztukę poetyczną wyśmiał i zdeptał pogardliwie.

Renan ukazuje w Wiktorze Hugo alfę i omegę poczty francuskiej XIX wieku. Zda się jakoby olbrzym ten zajął tyle miejsca pod słońcem, że ani promyka dla drugich nie zostało. Wymownie też zaprotestował przeciw temu zdolny krytyk Julian Lemaitre. „Kiedy, mówi on, Rasyń wywołuje poetę, któryby orzeźwił wyschłą duszę Francji i zdroje łez wycisnął z jej serca, pomyślałem — nie o Wiktorze Hugo, lecz o Mussecie i Lamartinie, i w duszy mojej wyśpiewałem hymn na cześć zapomnianych liryków!”

W teatrze opery komicznej zapowiedziano przedstawienie Lohengrinów Wagnera. Od trzech lat projekt ten wyrabiał się pomału. Dyrektor opery odbył podróż do wielkich miast niemieckich: Wiednia, Drezna, Monachium, aby się przypatrzeć wystawie tej opery i wystąpić godnie w Paryżu. Już miały rozpocząć się próby. Tymczasem głos publiczny silnie protestuje przeciwko Lohengrinowi, a raczej przeciwko Wagnerowi. Nie zapomniano, że podczas ostatnich klęsk Francji, maestro napisał niesmaczną farsę i wyszydził w niej pierwszych koryfeuszów francuskich, tak ze świata literackiego jak i politycznego.

Paryż podzielony na dwa stronnictwa, jedno z nich utrzymuje, że sztuka nie ma ojczyzny, że zmarłemu mistrzowi wypada przebaczyć sarkazmy rzucane na Francją, a ocenić jego nieporównany artyzm, który należy nie do samych tylko Niemiec, lecz do całego świata. Inni przeciwnie — przebaczyć nie mogą urazy i nastają silnie na usunięcie Lohengrinów ze sceny opery komicznej. Do tych ostatnich należy pani Julieta Adam, znana redaktorka Nowego Przeglądu. Przytaczamy tu jej protestacyę, jako zasługującą na uwagę.

„Gdyby, mówi pani Adam, grano kiedy Lohengrinów w Paryżu, niechby to było w teatrze wolnym, popieranym przez kolonię niemiecką, która ma prawo czcić Wagnera, ale nie w teatrze subwencjonowanym przez rząd francuski, któremu płacą podatek synowie i bracia poległych ofiar w roku 1870.

„Odpowiedzą mi na to, że Wagner umarł. Azali przez to zmarłych wstali nasi umarli?

„Pragnęłabym spokojnie rozpatrzyć tę sprawę, lecz to nie w mojej mocy. Stoją mi w myśli ostatnie chwile obłąconego Paryża, a potem bolesna chwila kapitulacji.

„Rozwarto bramy miasta. W pierwszym liście jaki otrzymałam z za granicy, czytam słowa Wagnera: „Potrzeba spalić Paryż!”

„Tym, którzy kochają kraj podobnej zniewagi przepomnieć nie podobna.

„Sztuka może stać się pociechą w wielkiej niedoli, ale jedynie pod warunkiem, żeby między nią a bolesnym wspomnieniem, najmniejszego nie było związku.

„Co do mnie, ilekroć słyszę muzykę Wagnera, słyszę pochód zwycięzki żołnierzy, ich pieśni tryumfalne, jęki i łkanie pokonanych! I zaprawdę nie ja sama tak czuję. I w najwyższych sferach społecznych i w mieszczaństwie, i między roboczym ludem istnieje wielki legion kobiet francuzkich, które jak ja pojmują miłość kraju!“

Przeciw gorącym słowom pani Adam liczne odezwały się głosy. Najsilniej ze wszystkich wystąpił dyrektor Carwollo, który tyle poniósł trudów, kosztów i niezliczonych zabiegów. „Zarzucają mi, woła on, brak patriotyzmu! przeciwnie, wprowadzeniem na scenę Lohengrinów spełniam czyn patryotyczny, bronię interesu kompozytorów francuzkich. W ciągu roku 1885 czternaście oper naszych ukazało się na scenie berlińskiej. Widoczna ztąd, że Niemcy w inny sposób pojmują patryotyzm!“

„Skoro publiczność pozwala częściowo odgrywać Lohengrinów na koncertach i porankach muzycznych, dla czegoż tak się sroży na myśl o przedstawieniu całości?“

Głos dyrektora nie pozostał bez oddźwięku. Deputacya studentów upewniła go o najspokojniejszym zachowaniu i o dobrém usposobieniu dla Wagnera. Mimo to jednak Lohengriny nie ukazały się dotąd i nie prędko zapewne ukazą się na scenie.

Złe usosobienie muzyków niemieckich dla Francyi od dawna już datuje. Widzimy to ze świeżo wydanej książki Gabryela Monoda, pod tytułem „Francya osądzona przez Niemców.“

Uderzyła autora systematyczna nienawiść mistrzów zarenickich. Usiłują poniżyć na każdym kroku Francją; Paryż szczególnym jest przedmiotem ich zawziętości. To chłuszczą obyczaje, to szydzą ze smaku muzycznego, słowem poniżają co chwila miasto, które Goethe nazwał stolicą sztuk i literatury, jedynem miastem w świecie.

Zobaczmy w jaki sposób Bethowen, Weber, Mendelson i Wagner, ocenili społeczeństwo francuzkie.

„Bethowen, który napisał marsz tryumfalny na cześć republikanina Bonapartego, później przypisywał nieuctwu francuzkiemu upadek opery swojej Fide lio.“

„Mendelson, który jak sam mówi, żył w Paryżu życiem pogańskim, pisze potem do Immermana, że u Niemców popędy nierównie szlachetniejsze, większa wytworność w działaniu, więcej prawdy, mniej fałszywych pozorów.“

„Weber, uniesiony uczuciem patryotycznym, na każdym kroku depte znieawidzoną Francją.“

„Co do Wagnera, ten nie oszczędzał obelg i chłosty. Zowie Francuzów narodem kryuolinowym, ludem, któremu brak zmysłu do pojęcia wyższej muzyki nad tę, jaką słyszą po kawiarnianych koncertach. Temu przypisuje upadek T a n h ä u z e r o w.“

Profesor literatury w Sorbonie p. Petit de Julleville, żywo zajmując słuchaczy, ukazując im przepomniane zabytki poezyi średnio-

wiecznej. Głównym przedmiotem jego wykładów, są pierwotne związki dramatu. Parę lat temu uczony ten filolog wydał już dwutomowe dzieło o *Mysteryach*; teraz wyszła z druku nowa praca pod tytułem: *Komedyanci w średnich wiekach we Francji*.

Nasamprzód autor wymienia i opisuje dokładnie wszystkie stowarzyszenia i korporacje, które zajmowały się odgrywaniem sztuk różnego rodzaju. Przesuwa przed oczyma czytelnika różnobarwne tłumy Żonglerów, Błaznów, Żaków, Palestrantów, Członków bractwa Męki Pańskiej.

Nigdy, mówi profesor, teatr nie zajmował tak żywo publiczności, jak w tych czasach prostoty i szczerego zapału, kiedy krew kipiała w żyłach gorączkowo, nigdy widowiska tak się nie zespoliły z życiem powszechnym, jak wówczas, kiedy wszystkie warstwy ludu brały w nich czynny udział. Niektóre sztuki trwały po kilka dni z kolei; na odegranie ich potrzeba było co najmniej stu aktorów. Sąsiednie miasta zapraszały się wzajem na takie widowiska. Tłumy ludu gromadziły się w polu pod gołym niebem, zbrojne patrole tymczasem, przebiegały puste ulice, czuwając nad bezpieczeństwem kramów. Widowiska te nie często się powtarzały, co powiększało jeszcze gorączkowe oczekiwanie. Dodajmy, że ówczesne dramata stawiały przed oczy publiczności to, co ją najsilniej zajmowało, z jednej strony żywe sceny z Biblii, z Ewangeli, z Żywotów świętych i legend; z drugiej znów strony komiczna farsa, żadnym nie skrepowana względem, szydziła otwarcie ze spraw politycznych i społecznych, chłostała biczem satyry najdosłojniejsze osobistości. Tak samo było w Grecji za czasów Arystofana.

Z wielkiem życiem opisuje autor owe dramata religijne z Życia Zbawiciela, złożone niekiedy z trzydziestu tysięcy wierszy, którym przysłuchiwało się kilkadziesiąt tysięcy ludzi, z sercem gorąco bijącym, z twarzą oblaną łzami, z łkaniem w piersi i wykrzykiem szczerego zachwytu. Koniec tym widowiskom położyły naprzód skandaliczne sztyderstwa różnowierców, podczas walk religijnych, a potem odkryte zażytki literatury greckiej i łacińskiej, sprowadzone z Aleksandryi. Smak powszechny zwrócił się ku pogańskim tradycjom.

Wielu historyków i filologów podejmowało już ten przedmiot, nikt jednak nie sięgnął do gruntu rzeczy z taką erudycją, z tak głębokim zamiłowaniem, jak dzisiejszy profesor Sorbony.

Zwiedzaliśmy w tych czasach kilkakrotnie pracownią p. Andriolego; nie wiemy sami co bardziej podziwiać, czy niesłychaną siłą twórczą naszego słynnego rysownika, objawiającą się w najrozmaitszych pomysłach, czy też mistrzowskie wykonanie ostatnich utworów, szczególnie sceny z Pana Tadeusza, w której zdaniem naszym, wielki artysta prześcignął dziś sam siebie.

Zaczynamy od rzeczy mniejszą dla nas przedstawiających uwagę, a przecież te rzeczy mniejszej wagi, to prześliczne kartony do

Szekspirowskich dramatów. Pracę tę miał podjąć Gustaw Doré, o niej marzył na łożu śmierci, w niej widział koronę artystycznego zawodu swego. Podjął tę pracę pan Andriolli i część jej wykonał już z całą potęgą talentu, z całą sumiennością archeologa. Dziesięć kartonów z Romeo i Julii do wydawnictwa Didota, świetnie rozpoczynają tę pomnikową publikację. Nie możemy tu opisywać tego szeregu scen, począwszy od bójki na placu werońskim, dwóch wrogich stronnictw Montekich i Kapuletich do dramatycznej sceny w sklepieniu grobowém, kiedy Julia, podnosząc głowę z trumny, widzi u stóp swoich martwe zwłoki Romea. Sceny te wykonane z zadziwiającą szybkością, były przedmiotem długich i pracowitych studyów. Dla nich to p. Andriolli odbył podróż do Werony, dla nich zwertował foliaty w bibliotekach włoskich i francuzkich. Każdy szczegół oddany dokładnie z głębokim namysłem, nadaje tym rysunkom ową barwę czasu i miejsca, którą rozumieją tylko erudyci, ale którą ogół odczuwa instynktowo.

Obecnie p. Andryolli rozpoczął nową seryą kartonów do Hamleta. Jak łatwo odgadnąć z pierwszych prób, serya ta nie ustąpi w niczem poprzedniej.

Z przedmiotów bliżej nas obchodzących wspomnijmy najprzód polowanie na niedźwiedzia. Jest to las litewski: snąc zbadał artysta jego wewnętrzne tajemnice, odtworzył bowiem po mistrzowsku ów

Zwał pniów, kłód, korzeni

Obronny trzęsawicą, tysiącem strumieni,

Z ziemią zielskiem zarosłą i kopcami mrowisk,

Gniazdami os, szerszeniów, kłębami węzowisk.

Zima, strumienie zamarzły, ziemia zasłana śniegiem, z pod którego sterczą badyle zielsk zmrożonych. Tu i owdzie stary dąb, olbrzym puszczy podnosi rosochate konary. Na pierwszym planie niedźwiedź wychyla łeb z barłogu, na drugim stoją łowcy, zbrojni w fuzyą i rohatynę. Trzeci myśliwiec z rewolwerem w ręku przystępuje śmiało do kudłacza: tym myśliwcem hr. Tyszkiewicz.

Inny karton przedstawia zasadzkę w puszczy litewskiej: tu już nie proste polowanie, ale wielka obława: widać to z tłumu nagromadzonych łowców. Obraz pełen ruchu, drga niezrównaném życiem.

Do odmiennéj całkiem kategorii należy inna scena. Z puszczy litewskiej przenosimy się w światy niedościgłe ludzkiemu oku, światy, których zasłonę odchylić chyba może fantazyja artysty, a niekiedy boleśń utęsknionego serca. Z tych dwóch pobudek powstał prześliczny obraz: przedstawia on zaświatową przestrzeń jakoby dolinę Jozefata; w około sterczą skały, wśród nich przechadzają się roje powiewnych duchów. Z opoki, wysuniętej na pierwszy plan kaskada stacza się w bezdenną przepaść. Nad ową przepaścią stoi niewiasta w bieli, rzuca w nią kwiaty pełną ręką.

W takiej postaci, w takim otoczeniu zmarła małżonka przedstawiła się we śnie hrabiemu Tyszkiewiczowi. Artysta pochwyił w przelocie myśl dziwnie poetyczną i odtworzył ją w chwili prawdziwego natchnienia.

Przystąpmy wreszcie do najznakomitszej pracy pana Andriollego, wykonanej w tych czasach w Paryżu, ale wypiastowanej długo w sercu i wyobraźni. Jest to scena z ostatniej pieśni Pana Tadeusza, ów koncert nad koncertami, którym Mickiewicz tak świetnie ukoronował swój poemat.

Wielki karton szeroki na półtora metra, wysoki na metr i ćwierć uderza już samym ogromem. Potrzeba też było takich rozmiarów, na pomieszczenie tłumu osób; w sześćdziesięciu z nich rozpoznajemy wyraźnie typowe postacie z poematu.

Tłum ten zapełnia wielki dziedziniec przed starym zamkiem Horeszków, którego wrzęby wsparte na kolumnach, uwieńczone u spodu szeregami lip stuletnich. W głębi po lewej ręce widać dwór sędziego Soplicy; promień zachodzącego słońca oświeca białe ściany.

Po uczcie w sali zamkowej goście wylegli na dziedziniec; lud wiejski, który tu przed chwilą ucztował, usunął się w głąb sceny. Służba zapełnia ganek, chłopcy wiejskie obsiadły drzewa; każdy słucha i patrzy. Wszystkie osoby z poematu tak głęboko odczute, z taką oddaną prawdą, że kto raz w życiu czytał Pana Padeusza — a i ktoś go nie czytał, — każdą z nich poznaje od razu.

Na pierwszym planie w pośrodku siedzi stary Jankiel w chałacie; dwoje skulonych pacholąt podtrzymuje cymbałki. Naprzeciw stoi krzepki starzec w kontuszu, w białej czapce, ozdobnej piórem czapłem. To podkomorzy: zajął pierwsze miejsce.

Z wieku mu i z urzędu ten zaszczyt należy. Po prawicy podkomorzego widzimy grupę wodzów: góruje nad nią Kniaziewicz wzrostem najszlachetniejszy; przy nim generał Dąbrowski w stószowanym kapeluszu z założonemi na piersi rękoma, dalej Pac, Małachowski. Rysy ich oddane wiernie ze współczesnych portretów. Poza nimi widać hrabiego w czapce ulańskiej: wsparty romantycznie o lipę, bohater z Birbante Rocca, zmałał jakoś przy bohaterach z Lodi i Arkolu; żal mu owego zamku, do którego rościł prawo, jako dziedzic Horeszków po kądzieli; sarkastyczny też uśmiech igra na jego ustach.

Przy podkomorzym stoi Telimena, strojna podług ówczesnej mody z wielkim wachlarzem w ręku. Przy niej podkomorzyna, typ matrony polskiej w wysokim czepcu i kryzie, otoczona córkami; bliżej prześliczna para, Tadeusz dziarski ułan z uroczą Zosią w wianku i gorseciku wiejskim; przy Zosi poważny sędzia obok wojskiego jednej z najwybitniejszych postaci. Poza nimi dwaj zapaśnicy o kusego i sokoła: rejent niezgrabny, sztywny „jakby kij połknął,” przebrany po francuzku na żądanie Telimeny i asesor w mundurze z długą szablą.

Po lewej ręce wysunięci naprzód stoją dwaj nieodstępne druhy: woźny Gerwazy z głową do góry podniesioną, i Protazy z pękiem klu-

czy u pasa, smutny z czołem pochyloném, z oczyma ręką przysłoniętemi.

W głębi uderza mnóstwo typów, wziętych żywcem z natury: tu wieśniak z długim włosom, z pochyłemi barki, snać tylko co odbiegły od pług, tam dzielny wojak z miną marsowatą i podkreconym wąsem, tu znów Kokosińska w ogromnym kornecie, tam skrzypkowie i kobeźnicy.

Wszystkie oczy wlepione w Jankła, na wszystkich twarzach radość połączona ze smutną zadumą. Chwila to radosna, dzień potrójnych zaręczyn, uświetniony przybyciem dostojnych i upragnionych gości, cień jednak przebiegł po każdej twarzy; łatwo odgadnąć powód, stary bowiem cymbalista:

Puścił fałszywy akord, jak syk węża,
 Jak zgrzyt żelaza po szkłe, przejął wszystkich dreszczem,
 I wesołość pomieszał przeczcuciem złowieszczem.
 Zasmuceni, strwożeni słuchacze zwątpili
 Czy instrument niestrojny, czy się muzyk myli;
 Nie zmylił się mistrz taki! on umyślnie trąca
 Wciąż tę zdradziecką nutę, co melodyę zmaca.
 Coraz głośnieję targając akord rozdąsany
 Przeciwno zgodzie tonów skonfederowanėj.
 Aż klucznik pojął mistrza, zakrył ręką lica,
 I krzyknął: znam, znam głos ten...
 I wnet pękła ze świstem struna złowróżąca!

Cymbalista podniósł do góry drążek, snać gotów uderzyć w nową, różniejszą nutę.

Obraz to godny wielkiego poematu: wkrótce zapewne ujrzymy go w licznych reprodukcjach. Nie wątpimy, że które z Towarzystw Zachęty Sztuk Pięknych, Warszawskie lub Krakowskie obierze ten piękny utwór na premium dla członków swoich. Oryginał rysunek własnością jest hr. Tyszkiewicza. Obecnie fotograf Nadar reprodukuje go w ogromnych rozmiarach.

Dowiadujemy się, że p. Andriolli wszedł w układ o nową pracę. Od nowego roku wydawca Goupil rozpoczął wielką zbiorową publikacją p. t.: *Literatura i sztuka* (les lettres et les Arts). Wyszyły dotąd dwa zeszyty. Jeden z następnych nosić będzie tytuł: *Rycerz polski z XVII wieku*. Znakomity rysownik znajdzie tu bogate pole do rozwinięcia twórczych natchnień. Epoka to Kirchholmu, Tyssowicz, Chocimia, zakończona wiekopomnym tryumfem wiedeńskim!

Dziś właśnie po ukończeniu kroniki naszej widzieliśmy w pracowni pana Godebskiego, znakomite dzieło tego mistrza, pomnik grobowy, przeznaczony dla pani Tamberlick, małżonki znanego tenora, a matki pani Gałęzowskiéj, żony słynnego okulisty. Pomysł to

pełen poezji. Na sarkofagu widzimy siedzącego anioła w wieńcu, z gwiazdą nad czołem. Owinięty leciuchną draperyą, podtrzymuje w niej mnóstwo kwiatów; jeden z nich porzuca na ziemię, prawą ręką naprzód wysuniętą, zaokrągloną od ramienia z nieporównanym wdziękiem. Postać anioła powiewna, niebiańska, promienista. Z pod draperyi przegląda ciało wymodelowane miękko, mistrzowskim dłutem. Całość pełna prostoty i nadzwyczajnej harmonii. To anioł pociechy, zesłaniec Boży, co nadzieją nieśmiertelności osładza żal i tęsknotę osieroconych.

Pomnik ten będzie ozdobą salonu majowego.

Przyglądając się tej pięknej pracy stanął nam w myśli inny grobowiec, domagający się ręki takiego mistrza. Na cmentarzu Montmartre pomnik grobowy Juliusza Słowackiego, w opłakanym znajduje się stanie. Gdyby liczni miłośnicy poety „zestrzelili myśli i chęci w jedno ognisko,“ twórca *Kordyana* i *Anhellego*, miałby wkrótce godny siebie monument, a w fantastycznych obrazach mistrza słowa, taki mistrz dłuta jak pan Godebski, znalazłby silną pobudkę do twórczych swych pomysłów.

PIŚMIENNICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

„Pamiętnik fizyograficzny,“ tom V za rok 1885. Wydawcy E. Dziewulski i Br. Znatowicz. Warszawa, druk E. Skiwskiego. 8-ka wielka, arkuszy 38, stronice 607, tablice litograficznych 24.

Zbiorowe to dzieło, gromadzące wszechstronne badania nad przyrodą kraju naszego, wychodzi od r. 1881 corocznie w jednym dużym tomie, świadcząc o niezłomnej wytrwałości wydawców, a mówiąc otwarcie, o wielkiem ich dla umiłowanej idei poświęceniu, nie zrażając się ani trudnościami przedsięwzięcia, ani zawiedzionemi nadziejami poparcia przez ogół ukształcony. Uznanie dla tych prac, dających mieszkańcom kraju poznać w sposób ściśle naukowy jego ukształcenie przez naturę, tudzież życzliwość, wyrażona jednoznacznie przez wszystkie organa prasy, mogą dla wydawnictwa być pewną otuchą, ale losów jego dotąd nie polepszyły. Prawdą jest z jednej strony, że kraj nasz przechodzi w latach ostatnich ciężkie klęski ekonomiczne, zniewalające każdego do liczenia się z wydatkami, lecz również prawdą jest, że nie wszyscy jasne mają pojęcie o kierunku w jakim oszczędzać, a w jakim z pewną nawet przywaczą i wysiłkiem obowiązków nakazuje służyć dobru publicznemu. Potrzeby narodu i warunki jego życia nie zamykają się wyłącznie na polu ekonomiczném; oświata gruntowna, praca duchowa są warunkami egzystencji narodu tak niezbędnymi jak znośny byt materialny. Zbyt mała liczba ludzi zamożniejszych poczuwa się u nas do tych obowiązków i spełnia je, to też nieliczni upadają prawie pod ciężarem, który rozłożony sprawiedliwiej nie byłoby tak gniotącym, a skutki usiłowań zbiorowych byłyby bardziej pocieszające. Zaprzeczyć także niepodobna, że czytająca publi-

czność nasza nawykła karmić się albo łakociami, albo ostrym niezdrowym pokarmem. Na stołach więcj preteusjonalnych spotkać można kilka wydań zbytkowych, treści różnej, które wszakże nie mogą zakryć ogólnego ubóstwa umysłowego.

Redakcyja Biblioteki Warszawskiej, oceniając znaczenie téj pozytywnej dla kraju publikacyi, starała się czytelników swoich informować corocznie o treści każdego tomu Pamiętnika. W zeszycie lutowym r. b. podano tylko sumaryczną wzmiankę o wyjściu tomu V-go, w zeszycie niniejszym po rozpatrzeniu książki, możemy pierwszą wiadomość bibliograficzną uzupełnić szczegółowym przeglądem materiału złożonego w tym tomie.

Dział I. Meteorologia i Hydrografia.

Z pięciu artykułów do wymienionego działu w tym roku wchodzących, dwa są dalszym ciągiem prac przez wszystkie poprzednie tomy Pamiętnika prowadzonych, i to właśnie potęguje naukowe ich znaczenie, w meteorologii bowiem tylko długość peryodu obserwacyi i nieprzerwana ich ciągłość doprowadza do wywodów ogólnych.

Dr. J. Kowalczyk podał wykaz spostrzeżeń meteorologicznych Obserwatorium warszawskiego z roku 1883. Tablice ułożone według wzoru lat poprzednich, z trzech codziennych obserwacyi o godzinie 7 r., o 1-ém dnia i o 9 wieczorem, obejmują: wysokość barometru w milimetrach sprowadzoną do 0° t.; temperaturę w stopniach Celsusza; średnią temp. dzienną, tudzież jéj maksimum i minimum według termografu; wilgoć względną w ‰; kierunek i siłę wiatru; stopień zachmurzenia nieba; wielkość opadu atmosferycznego, i w uwagach zjawiska powietrzne. Na końcu podana sumaryczna tabelka, przedstawia wypadki średnie ze wszystkich miesięcy roku 1883. Jest to zatem jedno jeszcze ogniwo dodane do szeregu spostrzeżeń, bez przerwy prowadzonych w Obserwatorium warszawskiem od roku 1825.

Dr. J. Jędrzejewicz. Spostrzeżenia stacyi meteorologicznej w Płońsku za rok 1884. Jest to ciąg dalszy spostrzeżeń wytrwale przez uczonego meteorologa od r. 1881 prowadzonych w obserwatorium własném, w miasteczku Płońsku na Mazowszu Płockiem. Układ tablic jest taki jak w Obserwatorium warszawskiem z dodaniem rubryki spostrzeżeń ozonometrycznych. Godziny obserwacyi są: 7 r., 2 d. i 9 w.

Spostrzeżenia meteorologiczne w Lublinie za rok 1884.

Na początku oznaczone jest położenie geograficzne Lublina i wzniesienie nad poziom morza, dalej wymienione przyrządy do obserwacyi użyte, własnością miejscowego gimnazjum będące. Układ tablic jest zgodny z powyższemi, dodano tylko obok kierunku wiatru jego prędkość na sekundę, wyrażoną w metrach. Do artykułu dołączono tablicę, przedstawiającą graficznie temperatury i wysokości barometru w Lublinie na każdy dzień roku 1884. Godziny obserwacyi są: 7 r., 1½ dnia i 9 wieczór. Jest to pierwszy dopiero rok spostrze-

zeń, jeżeli nie zajdzie przeszkoda w prowadzeniu ich przez dłuższy okres czasu i bez przerwy, badania klimatologiczne kraju zyskają cenny materiał, pochodzący z okolicy wyróżniającej się pewnymi właściwościami topograficznymi, znacznie większem niż Obserwatorium warszawskie wzniesieniem nad powierzchnią morza (Lublin 185.64 M. Warszawa 119,4, różnica 66,24 M=230 stopom warszawskim). Wreszcie klimatem wybitnie kontynentalnym.

Ap. Pietkiewicz. Studium nad dziełem akademika Wilda „O temperaturze powietrza w Cesarstwie Rosyjskiem“ wydaném w r. 1878 i 1882. Praca ta ściśle naukowa, krytycznie oceniająca dzieło, wymaga od czytelnika odpowiedniego przygotowania, lecz ułatwia obeznanie się z faktami na wielkim obszarze państwa, z pomocą rządową zebranemi przez Wilda. Obszerne to dzieło, opatrzone atlasem przedstawiającym graficznie wszystkie stosunki termiczne traktowane w tekście, z powodu wysokiej ceny jest mało dostępne, nas zaś obchodzi bliżej nie tyle ze względu, że obejmuje dane pochodzące z najodleglejszych stron państwa Rosyjskiego, lecz, że je zestawia z faktami wziętymi z Europy zachodniej, i że korzysta ze spostrzeżeń robionych w Krakowie przez prof. Karlińskiego i dawniejszych jeszcze spostrzeżeń w Warszawie prof. Magiera i jego następców.

II. Cybulski. Spostrzeżenia fitofenologiczne poczynione w Ogrodzie Botanicznym w Warszawie od r. 1865 do 1885.

Wskazane są naprzód: położenie geograficzne miejsca spostrzeżeń, jego wzniesienie nad poziom morza Bałtyckiego, wynoszące 109 metrów, i względne wzniesienie nad poziom Wisły 33 metry, następnie określona natura gruntu i wystawa miejsca na zimne wiatry wiosenne. Spostrzeżenia obejmują okres lat 21 od r. 1865 do 1885 włącznie, a pod uwagę biorą tylko pojawianie się na roślinie pierwszych kwiatów. Roślin obserwacyi poddanych wymienia autor 95, z których część pewną dopiero z biegiem czasu przybrano. Wypadki zestawiał autor w formie tablic, w których rośliny ułożone są porządkiem alfabetycznym nazw łacińskich, osobna zaś dla każdego roku rubryka jest przeznaczona na wpisanie daty rozkwitu. Praca niniejsza p. Cybulskiego, doświadczonego obserwatora i znawcy, wpłynęła na uproszczenie instrukcyi i schematów do prowadzenia spostrzeżeń w dziedzinie zjawisk życia roślin, ułożonej w roku przeszłym i przez Redakcyą Wszechświata rozestanej do wszystkich prenumeratorów. Na przyszłość ma być zaniechane zapisywanie zjawisk mniej ważnych lub trudnych do dokładnego zaznaczenia, zaś spis roślin poleconych do obserwowania ma być przejrany i ułożony według następstwa pory kwitnienia.

Dział II. Geologia z Chemią.

Obejmuje w tym roku artykułów pięć.

Dr. J. Trejdosiewicz. Kilka słów o budowie geologicznej i po-

kładach węgla brunatnego najbliższej okolicy Krzemieńca. Z mapą geologiczną.

Jest to relacya z wycieczki odbytej w kwietniu r. p. dla obejrzenia pokładów węgla brunatnego w Krzemieńcu. Autor zwiedził trzy miejsca, gdzie węgiel wychodzi na powierzchnię i punkta te zaznaczył na mapie; leżą one w pobliżu miasta ku zachodowi, na linii blisko 6 werst dłużej z wygięciem blisko 2 wersty szerokiém. Z obejrzenia wychodni i dokładniejszego w jednej z nich zbadania chodnika okazuje się, że grubość pokładu wynosi w miejscu jednym przeszło 3 metry, w obudwóch zaś innych około 2 metrów. Ze skąpych tych danych autor oblicza w przybliżeniu zapas złożonego tu węgla na 220 milionów korcy, wartości co najmniej 11 milionów rubli. Próby chemiczne świadczą, że węgiel krzemieniecki należy do lepszych w tym gatunku. Dokładniejszych informacyi wycieczka pobieżna dostarczyć nie może, wskazuje tylko ważność kwestyi i potrzebę dokładnych studyów geologicznych i górniczych do zbadania grubości pokładu, jego ciągłości i granic rozpostarcia. Jest to bogactwo rodzime złożone w łonie ziemi, oczekujące na eksploatacyą umiejętną i z odpowiedniami siłami podjętą.

A. Michalski inż. górń. Formacya jurajska w Polsce. Z mapą.

Badania geologiczne prowadzi autor z polecenia komitetu geologicznego w Petersburgu, rezultaty prac dokonanych w latach 1882 i 83, w gub. Kieleckiej i Radomskiej są umieszczone w tomie III i tomie IV Pamięt. Fyzyogr. W roku 1884 autor badał okolicę Częstochowy i Wielunia, i tu znalazł się na gruncie poprzednio już badanym przez Zejsznera a następnie przez wrocławskiego prof. Roemera, który objął nawet tę okolicę w swojej mapie geologicznej Szlązka Górnego. Różnice w poglądach naukowych autora z badaczami poprzednimi, tudzież porównania utworów tej okolicy z odpowiedniami utworami w innych krajach, są zbyt specyalne aby było możliwém zdać z nich sprawę krótko i przystępnie dla wszystkich. Ogół poprzestać może na wiadomości że badania te mają rzeczywistą naukową wartość.

J. B. Pusch. Nowe przyczynki do geognozyi Polski z rękopisów pozostałych po autorze przełożył Br. Rejchman.

VI. O względnym wieku formacyi w Polsce.

Krainę leżącą na północ Karpat od Odry do morza Czarnego rozpatruje tu autor aby oznaczyć wiek podniesienia znajdujących się tu gór i wyżyn. Po ostrzeżeniu że nie każdy systemat gór jest wynikiem jednorazowego aktu wzniesienia, lecz częściej szeregu w różnych okresach geologicznych ponawianych podniesień, wykazuje, że system gór środkowo-polski i sandomirski jest dalszym ciągiem północnego systemu gór niemieckich (Las Teutoburski, Harc), a od systemu Karpackiego jest orograficznie i geognostycznie odmienny, podniesiony zaś został pomiędzy okresem jurajskim i kredowym. Dalej na wschód ciągnąca się od Dniestru aż za Dniepr wyżyna granitowa podniesioną była później, w części pod koniec okresu miocenicznego, w części

w okresie dyluwialnym. W końcu bada autor skalistą wyżynę polsko-szląską, obejmującą kąt południowo-zachodni Królestwa Polskiego, i znaczną część Szlązka, wykazując jej związek z Sudetami; podniesienia tutejsze charakteryzują liczne przebiecia przez porfiry i inne skały plutoniczne, prawdopodobnie wcześniejsze od utworzenia się wapienia muszlowego formacji tryasowej.

Dr. J. Siemiradzki. Otwór świdrowy w Wildze nad Wisłą. Relacya z wycieczki zrobionej w kwietniu r. p. dla obejrzenia robót świdrowych przy poszukiwaniu lignitu. Po krótkim zarysie topograficznym miejscowości podaje autor wykaz warstw przebitych przez dwa otwory świdrowe. Jeden doprowadzony do głębokości 202 stóp, po dojściu do zbitego piaskowca szarego został zaniechany, drugi pogłębiony już do 122 stóp przebił 75' pokładów aluwialnych i starszych dyluwialnych złożonych z piasków i żwirów z głazami narzutowymi, tudzież 45 1/2' w pokładach trzeciorzędowych, złożonych z piasków grubych z ostrokanciastymi okrucami kwarcu i lidytu, tudzież z różnych glin twardych mocno zabarwionych. W końcu artykułu wyraża autor życzenie aby przedsiębiorcy wiercenie świdrowe zechcieli o tej robocie zawiadamiać redakcją Pamięt. Fyzjograficznego.

Br. Znatowicz. Rozbiory chemiczne wody wiślanej, przez różnych badaczy wykonane. Autor wezwany przez magistrat warszawski do zbadania wód używanych za napój w Warszawie, miał w ręku cały materiał analityczny odnoszący się do tej kwestyi, i wypadki wszystkich rozbiorów ułożył w tablicę wskazującą nazwę chemika, miejsce z kąd wodę czerpano, i ilość materyi składowych w 100,000 części na wagę. Nazwisk chemików jest 7, miejsc w Warszawie, już to wprost na rzece, już kranów wodociągowych wymieniono 11. Oprócz tego p. Matuszewski prof. szkoły realnej we Włocławku nadesłał rozbiór wody z niższej części rzeki. Przegląd tablicy wykazuje znaczne różnice w wypadkach. Uwagę także zwraca, że woda z dołu rzeki wydaje się w pewnych względach czystsza niż pod Warszawą.

Dział III. Botanika i Zoologia.

Dział ten we wszystkich poprzednich tomach Pamiętnika najobficiej wypełniony, w roku ubiegłym pozyskał jeszcze w dziedzinie botaniki czterech świeżych pracowników, tom niniejszy obejmuje przeto artykułów botanicznych 11, nazwisk autorów 6; w Zoologii artykułów 4 i tyleż nazwisk.

K. Łapczyński. Trzy notaty. I) Wycieczka na Podole. II) Rośliny nadkubańskie. III) Kilka słów o Bialskiej puszczy. Czytelnicy Pamiętnika znają metodę autora. W artykule pierwszym zaznajamia najprzód z krainą, następnie określa stanowiska zebranych roślin, w końcu podaje spis, w którym wie co zastępuje na wymienienie, a co jako balast bezwartościowy należy pominąć, uwagi tu i owdzie jakby od niechcenia rzucone, zawsze albo wyjaśniają wątpliwość jaką w sy-

nonimii, albo dają wskazówki rozmieszczenia i granic. Znacząca znajdzie w tym spisie nowe dla flory naszej nabytki, jak owa święta druidów jemioła, *Loranthus europaeus*, której krzak okazały o gałęziach calowej grubości wraz z konarem dębu, który go wykarmił, mieli sposobność oglądać, po raz pierwszy w życiu, botanicy nasi na ostatniej wystawie ogrodniczej w Warszawie. Artykuł drugi dla fizyografii kraju ma znaczenie większe niżby powierzchownemu czytelnikowi zdawać się mogło z tytułu. Wykaz roślin z krainy daleko na Wschód po za krańce nawet Zaporozża posuniętej, ale na szlaku przedhistorycznej wędrówki ludów, i w ogóle ruchu życiowego leżącej, objaśnia wiele stosunków geograficznych pod względem rozmieszczenia roślin, i użytecznym jest komentarzem do artykułu o Podolu. Nakoniec krótka wycieczka do puszczy Bialskiej, dotąd przez botaników naszych nie zwiedzanej, podając pierwszy zarys jej roślinności, może się stać podnietą do należytego zbadania zasługującego na to zakątka.

Po raz pierwszy w pracach Pam. Fizyograf. uczestniczący pp. Drymmer, Majchrowski i Eismond przedsięwzięli zwiedzić okolice Królestwa najmniej dotąd badane, i każdy powrócił z materiałem przynoszącym coś nowego.

K. Drymmer. Spis roślin zebranych w powiecie Kutnowskim, w okolicach Żychlina, Kutna, Krośniewic i Orłowa. Z mapą. Po krótkiej charakterystyce krainy i wymienieniu stanowisk, oznaczonych także na mapie, podaje autor spis roślin ze wskazaniem miejsc znalezienia i pory kwitnienia. Rzadszych roślin jest kilkanaście. Osobno podał autor drugi spis roślin, dawniej t. j. w r. 1880 i 1881 zebranych w okolicy Hanuszyszek w gub. Kowieńskiej na granicy Kurlandyi. Spis ten godzien jest uwagi ze względu położenia miejsca posuniętego ku północy, a klimatu łagodzonego bliskością morza, to też znajdujemy tam obok siebie sybirską Moroszkę, *Rubus Chamaemorus*, i naszą Tarninę, które niewiadomo czy się gdzie indziej z sobą spotykają.

Wł. Majchrowski. Sprawozdanie z wycieczki botanicznej do powiatu Ciechanowskiego i Mławskiego w czasie letnich wakacji w r. 1884. Z mapą. Miesiące wakacyjne nie sprzyjają poszukiwaniom florystycznym, rośliny już po większej części przekwitły, a nasion dojrzałych jeszcze nie mają; gdy jednak nie każdy może korzystać z pory dogodniejszej, robi co da się zrobić. Z krótkiego zarysu okolicy i jej roślinności dowiaduje się czytelnik o faktach nowych, jak np. *Elodea canadensis* (w spisie opuszczona) i tam już zjawiała się nawet w drobnych rzeczkach, *Galinsoga parviflora* także już tam doszła. W spisie roślin znajduje się kilka gatunków rzadszych, jak *Andropogon Ischaemum* (stanowisko nie wskazane), *Arnica montana*, w lesie Lekowskim.

A. Ejsmond. Sprawozdanie z wycieczki botanicznej w Opoczyńskie, w lecie 1884 r. Z mapą. Wycieczka również wakacyjna; w sprawozdaniu widoczne jest prowadzenie dziennika zajęć, gdyż opis okolicy autor ożywia obrazem czynności, a obszar w ogóle mało żyzny uroz-

maica wskazaniem miejsc bogatszą uposażonych roślinnością. Spis roślin zaznacza przy wszystkich rzadziej spotykanych miejsca znalezienia. Florę Królestwa obdarzył p. Ejsmond rośliną dotychczas tutaj nie dostrzeżoną: *Salvia Aethiopsis*, o czém jeszcze wiedzieć nie mógł autor spisu roślin nadkubańskich, zaliczając roślinę tę do kategorii rosnących na Podolu, lecz nie znajdujących w Królestwie.

Panna Marya Hempel nadesłała dwa spisy roślin, zbieranych w dwóch odległych od siebie okolicach, jeden w Słupi Nadbrzeżnej leżącej po lewej stronie Wisły w powiecie Opatowskim, drugi w Teresinie dóbr Białopole w powiecie Hrubieszowskim gubernii Lubelskiej. Spis pierwszy liczący przeszło 600 gatunków, obejmuje najmniej kilkanaście roślin niedostrzeżanych w okolicach Warszawy i nie znajdujących się we Florze J. Wagi, jak *Colchicum autumnale*, *Carex humilis*, *Cephalanthera grandiflora*, *Rosa gallica* i i. Spis drugi przedstawia tylko wybór roślin, ale między niemi są takie, których spis pierwszy nie obejmuje, jak *Veratrum nigrum*, *Gymnadenia conopsea*, *Cypridium*, *Calceolus*, prócz tego spis ten dodaje do flory krajowej nową roślinę, *Echium rubrum*, rosnącą na Podolu, w Węgrzech i na Morawie. W obydwóch spisach kilkadziesiąt rzadszych roślin otrzymuje wskazówki stanowisk dotąd wcale nieznanych.

Pani Marya Twardowska nieprzestaje udzielać swoich prac z odległego ustronia. W tomie niniejszym Pamiętnika umieściła wiadomość o Śluzowcach (grzybkach najniższego ustroju), których zbieraniem i determinowaniem zajmuje się od lat kilku. Prócz tego do spisu roślin z okolic Szemetowszczyzny, powiatu Świentciańskiego gubernii Wileńskiej, drukowanego w tomie III Pamiętnika, dołączyła teraz mały dodatek, w którym znajdują się dwie rzadkie rośliny skrytokwiatowe, *Lycopodium complanatum* i *Botrychium Lunaria*.

Do działu botanicznego powinny być jeszcze wejść trzy artykuły pomieszczone w dziale dodatkowym. Łączność przedmiotu zniwala zdać z nich tutaj sprawę.

Wł. ks. Massalski. Szkic klimatu i flory Druskienik. Z mapą. Część botaniczną poprzedza zarys topografii i geologii Druskienik i bliskiej okolicy, o źródłach mineralnych autor nie mówi. Korzystając ze znalezionej w tamecznej stacyi meteorologicznej materyału, zebrał go, naukowo obrobił i przedstawił wszechstronny obraz klimatu. Część botaniczną stanowi Spis roślin jawnokwiatowych flory druskienickiej, obejmujący 437 gatunków. W spisie nadmieniono, że *Akacya biała* wytrzymuje zimy i wyrasta w wysokie drzewo, *Tarnina* nie wymieniona, *Róży dzikiej* zwyczajnej, *Rosa canina*, w spisie nie ma, a jest wymieniona *Róża majowa*, *Rosa cinnamomea*, z datą kwitnienia 27 czerwca (rok 1883 był anormalnie zimny i rośliny kwitły później niż zwykle). W części czwartej grupuje autor rośliny według stanowisk na wodne, błotne, łąkowe i t. d., grup takich wymienia sześć, grupy solankowej nie ma i roślin solankowych tak obfitych w Cieclocinku, ani jednej spis nie wykazuje.

Dr J. Rostafiński. Spis roślin znalezionych przez prof. Stan. Cyrynę Dogiela z uczniami Szkoły Wojewódzkiej Sejneńskiej, w okolicach Sejnu, od r. 1827—1830.

Jest to poważne świadectwo życia naukowego u nas z lat dawno minionych, i nieliczni owéj epoki weterani mogliby jeszcze z osobistój z Dogielem i z Chrapczyńskim znajomości, dostarczyć profesorowi Rostafińskiemu pożądaných przez niego szczegółów z życia mężów takiej zacności charakteru i takiego umiłowania nauki i uczniów. Spis obejmuje przeszło 400 gatunków i dzisiaj jeszcze po sześćdziesięciu latach posiada wartość lokalną, wydany jest w szacie nieco zmodernizowanej, układ lineuszowski zmieniono na jeden z nowych układów przyrodzonych, nazwy rodzajów lineuszowskie zastąpiono nazwami późniejszymi z zachowaniem jednak nomenklatury oryginału w odsyłaczach.

Dr Fr. Kamieński. Spis paproci krajowych. Ogłaszane dotychczas spisy roślin z różnych okolic kraju poprzestają najczęściej na roślinach jawnokwiatowych, dla zapełnienia tego braku podał autor spis niniejszy obejmujący 24 gatunki paproci krajowych, aby zaś upowszechnić ich znajomość wystawił je na widok publiczny podczas ostatniej wystawy ogrodniczej, w doborowych okazach swojego zielnika.

Do zoognozyi kraju odnoszą się prace następujące:

Dr H. Dziedzicki. Drugi przyczynek do fauny owadów dwuskrzydłych. Rodzaje nowe: Hertwigia i Eurycera i nowe gatunki rodzajów Boletina, Sciophila. Sześć tablic litograf. 135 figur przedstawiających w powiększeniu szczegóły anatomiczne narządu płciowego.— W dalszym ciągu badań nad owadami z grupy komarów grzybnych podaje tu autor określenie dwóch nowych rodzajów i opisy 48 gatunków. Praca samodzielna, przeznaczona dla powszechniej społeczności naukowej, musi odpowiednią mieć formę: dyagnozy są po łacinie, opisy szczegółowe po polsku. Metoda opiera się na budowie narządu płciowego. Materiał zebrany po części osobiście na Białorusi, na Litwie, na Kujawach i w okolicach Warszawy, po części udzielony autorowi przez ks. dziekana Grzegorzka z Bochni, wreszcie miał autor do rozporządzenia typy ze zbioru Winnertza. Praca ta Dr D. wychodzi współcześnie w przekładzie niemieckim w Wiedniu.

Z. Fiszer. Materiały do fauny skorupiaków liścionogich (Phyllopoda). Pięć tablic litografów. 30 figur przedstawiających osobniki w wielkości naturalnej i szczegóły anatomiczne w powiększeniu. Tablica porównawcza gatunków należących do rodzajów Lepidurus i Apus.— Młody zoolog lwowski opracował tu pod kierownictwem prof. Dybowskiego gatunki krajowe Przekopnic, które uważa za różniące się od znanych dotąd gatunków europejskich *Lepidurus productus* i *Apus cancriformis*. Nowe te gatunki oznaczył nazwami *L. Kozubowski*, *A. varsaviensis*, *A. halicensis* i *A. lublinensis*. Materiał zebrany osobiście w Galicyi, po części zebrany przez prof. Dybowskiego w okolicach Warszawy, tudzież w Lubelskiem.

F. Osterloff. O Chrząszczach krajowych. Ciąg dalszy. Jest to katalog rozumowany bogatego zbioru chrząszczy krajowych, gromadzonego przez autora wytrwale od lat przeszło trzydziestu; gatunki niewątpliwego w kraju znajdowania, choćby ich zbiór nie posiadał, są także wymienione. Katalog ten może być bardzo dla specjalistów pomocny do sprawdzeń i studyów szczegółowych w kolekcji i to stanowi jego naukowe znaczenie; umieszczany częściowo od II tomu Pamiętnika, w tomie niniejszym zawiera chrząszcze roślinożerne z oddziału Pałkorożkowych (Clavicornia) i Pitkorożkowych (Serricornia).

A. Wałęcki. Materiały do zoografii krajowej. 1) Micromammalia (drobne zwierzątka ssące). 2) Żubr i Bóbr (według najświeższych o nich wiadomości). — Autor przekonany że tylko spostrzeżenia umiejętne i fakta niewątpliwie przynoszą materiał pożyteczny w badaniu przyrody krajowej i zbliżają do celu, uważa za jedną z najpilniejszych na tym polu potrzeb opracowanie treściwych przewodników; taka przygotowawcza praca może powołać większą liczbę odpowiednio uzdolnionych współpracowników, i zajęciami ich pokierować. Nieznane dotąd np. są u nas granice rozpostarcia wielu gatunków zwierząt zwłaszcza zimnokrwistych, i póty wytknięcia granic oczekiwać nie można, póki znajomość gatunków nie będzie więcej upowszechnioną. Dążność tę wyrażają wszystkie prace autora pomieszczone od początku wydawnictwa w Pamiętn. Fizyograf. W tym roku są tu podane tablice analityczne do determinowania krajowych niedoperzy i zwierzątek owadożernych (Ryjkonosów). Osobno dołączono wiadomość o Żubrze i o Bobrze, opartą na świadectwach najpóźniejszych o liczbie żyjących jeszcze u nas tych rzadkich zwierząt.

Dział IV. Antropologia.

J. Zawisza. Urna twarzowa z Sokołowa. Z figurą litografowaną. W Sokołowie nad rz. Zgłowiączką o pół mili od Brześcia Kujawskiego w r. 1879 przy pogłębianiu orki natrafiono na grób przedhistoryczny tak zwany skrzynkowy, t. j. obłożony płytami kamiennymi, z trzech urn znalezionych w grobie jedna ozdobiona była wyobrażeniem twarzy ludzkiej. Zdaniem autora urny tej formy wprowadzili do nas wędrujący nad Bałtyk po bursztyn Etruskowie, kształt twarzy o nosie pociągłym małych ustach wyraża typ południowo europejski, o kształcie czaszki wiedzieć nie można, kości są spalone, w popiele znaleziono szczątki bronzu. Urna znajduje się w zbiorze autora.

T. Łuniewski. Starożytne żarna w Polsce. Cztery tablice litogr. figur 21. Po wstępie erudycją wspartym wymienia autor znajdowane w kraju kamienie granitowe widocznie używane niegdyś do rozcierania ziarna; kształt wszystkich płaski podługowaty z wklęsłością po środku. Znajdowano je w miejscach różnych, w ścianach grobów skrzynkowych, w fundamentach budowli, wreszcie rzucone luźnie przy chatkach i drogach. Siedmiu takich kamieni ze zbioru własnego w Ko-

rytnicy, pow. Węgrowski gub. Siedlec., podaje autor wymiary i rysunki, przytém nadmienienia o innych znajdujących się w zbiorach ks. Jamiołkowskiego w Kuleszach, pow. Mazowiecki gub. Łomżyń., Zygm. Glogiera w Jeżewie tegoż powiatu, prof. J. Przyborowskiego w Warszawie. Na międzynarodowy symbol dla żarn proponuje autor archeologom znak \ominus (żłobek z gładziakiem trącym).

Dr J. L. Kozłowski. Ludowe nazwy niektórych roślin z Prus królewskich. Zbiorek ten nazw ludowych zebranych na pomorzu Gdańskim i u Kaszubów, obejmuje zaledwie kilka nazwisk, któreby wreszcie kraju były nieznanne (kidza, dzerdza, pujki wijąg ..), inne wyróżniają się najczęściej tylko fonetycznym skażeniem wyrazów czysto polskich, po części i niemieckich, i nie przyczynią się zapewne do wzbogacenia słownika polskiego.

J. Karłowicz. O imionach własnych polskich miejsc i ludzi. Obszerne to studjum nad tą wyrazów naszego języka kategorią, która obejmuje nazwy miejsc i nazwiska rodowe wykazuje drogi ich tworzenia się, tudzież nie wyczerpany ich rozród i przemiany przez dodawanie różnych suffiksów i różnych końcówek, przez przyczepianie różnych przedstawkę na początku lub na odwrot, przez oderwanie początkowej części wyrazu pierwotnego. Na szczegółowe objaśnianie metody miejsca tu nie ma, ograniczyć się więc trzeba zarysem ogólnym. Autor bierze pod uwagę tylko małą część imion własnych, mianowicie te, które wyprowadzają się od imion ludzkich, już to chrześniych poczerpniętych z języków starożytnych, już też imion swojskich przedchrześcijańskich. Wymienia imiona i wykazuje pochodne od nich nazwy miejsc i rodów; prawie każde imię dostarcza kilku tematów, a z każdego wysnuwa się przez różne dodatki, zdrobnienia, skrócenia, szereg imion różnego znaczenia zależnego głównie od końcówki. O mnogości téj rzeszy powziąć można wyobrażenie z kilku rysów: imię Bolesław daje pięć tematów twórczych, a z tych 39 imion pochodnych oznaczających miejsca i ludzi. Nieużywane dziś imię Chwalisław daje 8 tematów a 86 pochodnych. Piotr z 12 tematów twórczych dostarcza 76 imion. Łukasz, od tematów pełnych i skróconych, prawie tyleż. Jan ze spieszczieniami, pochodnych kilkadziesiąt. Mikołaj może jeszcze więcej, inne imiona w podobnej mierze. Podany na końcu spis obejmuje przeszło półtora tysiąca nazwisk wymienionych w tekście. Nie wszystkie zapewne wywody autora trzeba przyjmować bezwzględnie, sam on ostrzega, że nie wszystko ma za pewne, wiele jest tylko przypuszczeniem, zawsze jednak mniej lub więcej usprawiedliwionem. Celem rozprawy, słowa autora, było poruszenie téj części językoznawstwa polskiego, która dotychczas najmniej była opracowywaną, a budzić może i powinna zajęcie ogólne. Nosimy przecież wszyscy nazwiska, zamieszkujejmy miejsca od wicków ponazywane, czyż więc obojętną może być rzecz, dla czego, jaką drogą i kiedy imiona te nam i ziemi naszój się dostały.

W. Nałkowski. Jezioro Lepelskie w systemacie Berezynskim. Z mapą. Jezioro Lepelskie mające połączenie naturalne z Dźwiną przez rzekę Ulę, a z Berezyną przez system kanałów, leży na jednej z dróg wodnych łączących morze Czarne z Bałtykiem. Żegluga była tu przed kilkudziesięciu laty dosyć ożywiona, statki różnemi produktami ładowne chodziły w obie strony, obecnie spław tylko tratwę odbywa się do Rygi. Szczegółowy opis jeziora jest dla hydrografii kraju cennym przyczynkiem; perspektywa wód, zarysy brzegów i okolicy przedstawiającej dotąd ślady lodnikowej moreny zajmują zarówno topografa jak i geologa. Ciemną na tym ożywionym obrazie plamą jest chmurne niebo a jeszcze bardziej nędza materyjalna i moralna ludu, jedną tylko iskierką mignęło tu życie podnioślejsze, dom p. Kuścińskiego w Zawidzicach.

Z okolic oddalonych od ognisk życia umysłowego wiadomości nadchodzą rzadko i trudno je zbierać, wartość ich zależy od ukształcenia świadka i jego zdolności obserwacyjnej, u kogo przymiotów tych jest więcej od tego i wymaga się więcej.

Wycieczka niniejsza już samą odległością miejsca budzi zajęcie i oczekiwania, autor wywiązał się z niej w wielu względach należyte, w innych atoli nie dostrzegł, że rzeczy ważne potrącił mimochodem nie przyczyniając się do ich wyjaśnienia.

Do zadań trudniejszych w badaniach przyrody kraju należy wytknięcie granic geograficznego rozpostarcia niektórych gatunków zwierząt, wymaga to bowiem zebrania świadectw licznych i niewątpliwych.

Z tej kategorii fizyografii naszej wycieczka ta przynosi tylko dwie wiadomości: 1) grzebułka (*Hirundo riparia*) dolatuje aż tam pod 55° szer. pn. i gnieździ się obficie w wysokich brzegach jeziora i rzek; 2) muszelka mała przyczepiająca się do różnych przedmiotów podwodnych, o której autor robi wzmiankę pod miejscową nazwą czerepaski, z krótkich lecz trafnych wskazówek domyślać się można z całą pewnością, jest *Tichognia polymorpha*, której osobliwsze przygody warto jest choć w kilku słowach tu dodać: pierwotnie pochodzi ona z morza Kaspijskiego i Wołgi, z biegiem czasu zawleczona przez statki coraz dalej na północ i zachód; przed kilkudziesięciami lat w Wiśle jeszcze jej nie było, obecnie dostaje się już nawet do rur wodociągowych w Warszawie i grozi ich zatkanie. Dostrzeżono ją już w Elbie a nawet w Tamizie. W pochodzie swym na zachód muszelka ta spotkała się już z drugim jak ona natrętem, z rośliną wodną *Elodea canadensis* pochodzącą z Ameryki, która w nieznanym sposobie przeniesiona z oceanu zadziwiająco rozmnaża się w wodach słodkich Europy, sięga coraz dalej na wschód i grozi zamulaniem głównie kanałów spławnych. Dalej nie dowie się już czytelnik czy w wodach jeziora poławia się Sielawa, ryba wyłącznie w głębokich jeziorach północnego pasa kraju żyjąca. Nie odgadnie jaki to gatunek jaszczurki uwija się po tamiecznych odłogach; najpospolitsza w średniej strefie kraju *L. agilis*

niewiadomo czy dochodzi tak daleko na północ, przynajmniej z okolic Mińska nadsyłane przez ś. p. J. Wańkowicza okazy były zawsze Jaszczurką żyworodną, *L. vivipara*. Trudniejszą do rozwikłania od wymienionych dotąd jest kwestya żab, o których wspomina autor, że wchodzi do mieszkań ludzkich, wieczorami przy świetle lampy chwytają po podłodze muchy i wyprawiają serenady. U nas do mieszkań włazi Ropucha szara, gatunek najobszerniej rozmieszczony i powszechnie znany, lecz ta głosu prawie nie wydaje, żab właściwych wewnątrz mieszkań nie dostrzegano. Inne gatunki skrzeków bezogonowych, z wyjątkiem Żabki drzewnej i Kumki wodnej mało są znane, wiadomo tylko że z ośmiu krajowych gatunków tylko trzy żyją w całym kraju, pięć nie dochodzi do krańców północnych. Są to wszystko szczegóły dopominające się rozwiązania od badaczy przyrody krajowej. Zapewne że podróżnik z wytkniętym celem wycieczki nie może oddawać się różnorodnym poszukiwaniom, powinien jednak korzystać ze sposobności, które same się nadarzają, nie można wymagać od niego specjalnych wiadomości we wszystkich gałęziach nauki, ale godzi się oczekiwać bacznego poglądu na główne właściwości zwiedzanej okolicy, zwłaszcza odległej i klimatem różnej. Wybadanie miejscowych rybaków, przywiezienie kilku okazów zwierzątek zachowanych w spirytusie, a choćby tylko po prostu zasuszonych dałoby możność oznaczenia ich gatunku, i nauce przyniosłoby odrobinę pożytku, którego nie da żadna humorystyczna wycieczka na pole dla rozumu ludzkiego niedostępne, a z zadaniem wydawnictwa najmniejszego nie mające związku.

Przegląd piątego tomu Pamiętnika Fizyograficznego zamykamy odwołaniem się do sprawozdania z roku przeszłego w zeszycie lutowym, z którego czytelnicy Bibl. Warsz. będą mogli poznać ciągłość pracy i jedność naukowego kierunku w tém zbiorowém dziele. Sprawozdanie z lat dawniejszych pisane przez nieżyjącego już F. Sulimierskiego było może więcéj ożywione, serdeczniej witające usiłowania pracowników, zadaniem niniejszego jest głównie przedmiotowy przegląd materiału w celu zaznajomienia z nim naszego ukształconego ogółu.

A. W.

Histoire de la litterature portugaise depuis ses origines jusqu'à nos jours par Loiseau Paris 1886, stronic 409.

„Ze wszystkich literatur europejskich—mówi p. L. we wstępie do swego dzieła, portugalska jest najbardziej zaniedbywana.“ Że zaś „naród, który dokonał tylu czynów, rozwinął tyle dzielności i potęgi ducha zarówno w dobrej jak w złej doli, którego patryotyzm wzniosł się aż do wyżyn szczytności, nie zasługuje ani na pogardę ani na nie-

pamięć potomnych;" przeto autor postanowił wzbogacić literaturę europejską dziejami literatury portugalskiej. Widoczna pretensjonalność słów powyższych p. L. (który nawet „pour ne pas trop depayser les lecteurs portugais et bresiliens“ przyjął w swęj książce pisownią narodową imion własnych) wzbudza mniemanie, że autor wziął na swe barki brzemię uprawy pola zupełnie odłogiem leżącego i że praca jakiej dokonał, ma być źródłem informacyjnem nawet dla współziomków Kamoensa. Czyżby dotąd nic nie zrobiono w tym kierunku?.. Literatura portugalska była rzeczywiście do niedawna jeszcze po macoszemu traktowana w kraju i zagranicą. Portugalczykom nie leżała widocznie na sercu sprawa jęj dziejów, a Europa zdawała się ograniczać ważność tego przedmiotu do Kamoensa, który sam jeden reprezentował parnas Luzytanii przez długie lata. Pierwsze wiadomości obszerniejsze o skarbach literatury ojczystej zawdzięczają portugalczyki dwu cudzoziemcom Buterwekowi i Sismondemu, ale wówczas Portugalia, przedstawiała się jeszcze, „jako jedna z wysp owych, których brzegi widzieli wprawdzie podróżnicy, nie mając jednak pojęcia o skarbach, jakie się na nich znajdowały.“ To też następny pracownik w tym kierunku Ferdynand Denis, znów cudzoziemiec, w przedmowie do pracy swęj p. t: „Resumé de l'histoire litteraire du Portugal“ (Paris 1826) przyznaje z całą słusnością, że historia literatury portugalskiej „est encore à faire.“ Brak książki odpowiedniej w tym przedmiocie odczuwał należycie J. B. Leitão d'Almeida Garrett i dla tego na czele edycji paryzkiej „Parnasu Portugalskiego“ umieścił swoje pracę p. t: „Bosquejo da historia da poesia e lingua portugueza.“ Oto co pisze w przedmowie do tego szkicu: „Mniemam, że oddaję pewną przystugę literaturze narodowej, drukując ten szkic pobieżny historii języka i poezyi. Kto wie, że miałem rozpocząć przedmiot nowy, o którym nie pisał żaden z portugalczyków ¹⁾ a dwaj cudzoziemcy: Buterwek i Sismondi, najniepokładniej i w taki sposób, że raczej przeszkodzą niż pomogą do poznania i osądzenia hist. liter. portugalskiej ²⁾ ten pojmie ile mnie kosztowała pracy wielkiej, niewysławionęj (indizivel) ta próba.“ Co prawda nie znać owych trudów nadzwyczajnych w tym szkicu bardzo pobieżnym i niedokładnym, którego zresztą i sam autor nie podawał „por cabal e perfeito,” tłómacząc pobieżność pracy szczupłością miejsca na którym ograniczyć się musiał. Wzmiankowane powyżej prace potrzebowały przedewszystkiem uzupełnienia w pierwszej połowie, przedstawiały bowiem w zarysie wielce niedokładnym historią literatury portugalskiej w okresach najdawniejszych aż do XVI-go wieku, t. j. do początku t. z. okresu klasycznego z Sá de Miranda i Antonio Ferreira. Brakowi temu zara-

1) Quem sabe que tive de enoetar materia nova, portuguez n'enhum d'ella escreveu“ p. V, (Parnaso Lusitano paris 1826).

2) „incorrectissimamente e de tal modo que mais confundem do que ajudam a conceber e ajuizar...“ p. VI.

dził w znacznej części znów cudzoziemiec dr. Bellermann, który po dłuższym pobycie w Portugalii i owładnięciu źródłami całkiem świeżemi, wydał dzieło poważne p. t.: „Die alten Liederbücher der Portugiesen oder Beiträge zur Geschichte der portugiesischen Poesie vom dreizehnten bis zum Anfang des XVI Jahrhunderts nebst Proben aus Handschriften und alten Drucken,“ Berlin 1840. Ważność tego dzieła ocenił w swoim czasie słynny romanista Ferdynand Wolf z właściwą sobie gruntownością ¹⁾.

W pięć lat po wyjściu książki Bellermana Franciszek Freire de Carvalho wydał w Lizbonie (1845) „Primeiro ensaio sobre a historia litteraria de Portugal, desde a sua mais remota origem até o presente tempo, seguido de diferentes opusculos, que servem para sua maior illustração.“ Książka ta stanowi jedynie podręcznik, daleki od pragmatyzmu i dokładności. Nie większą ma wartość następną z kolei praca w tym kierunku, napisana przez José Silvestre Ribeiro p. t.: „Primeiros traços d'uma resenha da litteratura portugueza“ (Lisboa 1853). Wbrew tytułowi autor podał tu nie historią literatury, lecz tylko jej bibliografią, i w dodatku bardzo niedokładną. Nieporównanie większą przysługę piśmiennictwu wyświadczył José Maria da Costa e Silva przez wydanie dziesięciotomowego dzieła p. t.: „Ensaio biographico—critico sobre os meliores poetas portuguezes“ (Lisboa 1850—1856). Jakkolwiek nie jest to jeszcze historia literatury, w ścisłym znaczeniu tego słowa; to przecież zawiera do niej materiał bardzo bogaty. Jest to szereg monografii o pojedynczych pisarzach od najdawniejszych czasów aż do połowy XVIII w. Autor nie przeceniał bynajmniej swego dzieła, musiał jednak czuć jego ważność, gdy w tomie I wypowiedział te słowa pełne gorczy: „Sądzę, że w dzisiejszych warunkach literatury naszcej, praca ta, zła czy dobra, nie będzie bezużyteczną, jesteśmy bowiem jedynym narodem w Europie, gdzie krytyka literacka jeszcze się dotąd nie urodziła, jedynym narodem „que não possui a historia da sua litteratura, nem mesmo da sua poesia,“ jedynym narodem, który musi radzić się cudzoziemców, jeśli pragnie coś wiedzieć o swoich mędrceach, historykach, mówcach i poetach, których wydał.“

W r. 1855 wyszły jeszcze w Lizbonie „Memorias de litteratura contemporanea“ przez A. P. Lopes de Mendonça, ale książka ta zajmuje się tylko literaturą trzech ostatnich stuleci, następną zaś dzieło Ortiza (1857) ma zakres jeszcze szerszy, gdyż zawiera jedynie historią literatury portugalskiej w XIX wieku. Ważnym przyczynkiem do historii literatury portugalskiej była następnie gruntowna praca Fryderyka Dieza, który w swém dziele p. t.: „Ueber die erste portugiesische Kunst und Hof-Poesie“ 1863 poddał subtelną krytykę tak zwany „Cancioneiro de D. Diniz“ a mianowicie przedstawił syntezę

¹⁾ Studien zur Geschichte der spanischen und portugiesischen Nationalliteratur, Berlin 1859, p. 690—736.

historyczną owęj epoki literackiej, analizę form poetycznych i studjum nad językiem pieśni. W 3 lat później (1866) wyszło w Paryżu dzieło J. M. Pereira da Silva p. t. „La litterature portugaise, son passé son état actuel,“ całokształt dziejów literatury w szczupłym zarysie. Wszystkie prace powyższe ustąpić muszą pierwszeństwa dziełu Teofila Bragi, który na podstawie gruntownych studjów samodzielnych oparł swój całokształt literatury portugalskiej. Otóż w r. 1870 wydał „Introdução á historia da litteratura portugueza“ (stronic 355) gdzie autor podług słów przedmowy „założył podwaliny, określił żywioł narodowy, rozebrał wpływy literatur i cywilizacji obcych, które oddziaływały na portugalską; powiązał kulturę portugalską z wielkimi tradycjami wieków średnich Europy a wreszcie zainaugurował krytykę nową.”

Po tym wstępie wyczerpującym wydał autor tom drugi p. t. „Trovadores galecio—portuguezes“ (cancioneiros provençaes) Porto 1871 w którym szczegółowo rozebrał zbiory pieśni tworzonych pod wpływem poezji prowansalskiej (stronic 345). W tomie 3-im p. t. Epopêas da Raça mosárabe“ (Porto 1871 str. 378) Braga zajmuje się żywiołem gotyckim a nadewszystko arabskim w poezji ludowej, analizując drobiazgowo jęj zabytki—jest to wizerunek szkoły narodowej. W tomie następnym p. t. „Poetas palacionos“ (Porto 1871 str. 434) autor charakteryzuje szkołę hiszpańską, przedstawia rozwój poezji na dworze Alfonsa V, i Jana II a wreszcie rozbiiera szczegółowo najważniejszy pomnik literatury portugalskiej z XV-go w. tak zwany „Cancioneiro geral.“ Tom piąty nosi tytuł „Bernardim Ribeiro e os bucolistas“ i zawiera studjum nad autorem nowelli „Menina e Moça,“ nad Christovam Falcão a wreszcie rozbiór tak zwanęj „Szkoły staręj“ (Gil Vicente, jako poeta liryczny, Dona Joanna da Gama, Gonçalo Annes Bandarra, Balthazar Estaço) Porto 1872 stronic 316. Tom VI zatytułował autor „Historia das Quinhentistas“ (Porto 1871 str. 328). Jest tu mowa o liryce wytworzonęj pod wpływem renesansu włoskiego. Połowę tomu poświęcił Braga życiu i działalności Sá de Miranda, połowę zaś szkole tego poety. Trzy ostatnie tomy poświęcił autor życiu i działalności Kamoensa, oraz dwu szkołom jego: lirycznęj i epicznęj. Każdy z powyższych tomów stanowi całość oddzielną, podobnie jak i będąca uzupełnieniem tęg pracy czterotomowa „Historia teatru portugalskiego.“ Pierwszy z nich mianowicie obejmuje wiek XVI, to jest działalność Gil Vicente i jego szkoły (Porto 1870 stronic 326) drugi przedstawia teatr w wieku XVI i XVII t. j. rozbiiera komedye klasyczne i tragikomedye (Porto 1870 str. 364); trzeci zawiera historię komedyi niższęj (baixa) i opery w wieku XVIII, czwarty nakoniec odzwierciedla dzieje pracy Garretta i rozbiór utworów dramatycznych wieku XIX. (Porto 1871 str. 296). Jak widzimy, Teofil Braga dokonał pracy olbrzymięj. Dzieło to nie jest bynajmniej wolne od usterek bardzo poważnych, że wspomnimy tu tylko o zbyteczném rozwijaniu szczegółów bez znaczenia i wielkięj w układzie chaotycznosci; bądź co bądź jednak pierwsza to praca w tym kierunku gruntowna, źródło-

wa, na skalę bardzo obszerną pomyślana, przedsięwzięcie istotnie wielkie w kraju, gdzie jak mówi sam autor „nada se estuda e nada se respeita.” Ten sam autor wydał jeszcze w r. 1872 „Theoria da historia da litteratura portugueza,” która doczekała się już kilku wydań. Jest to niewielka książeczka o 206 stronicach małej ósemki, (Porto, 1881, 3-e wydanie) w której autor podzieliwszy rzecz na trzy sekcye: (das formas epicas, liricas i dramaticas) przebiega dzieje literatury z uwzględnieniem szczególnym tych czynników obcych, które na nich w każdej epoce oddziaływały. W 4 lata po wyjściu podręcznika Bragi, p. Bougeault w tomie III swojej „Histoire des litteratures étrangères (Paris 1876) umieścił historią literatury portugalskiej (447–518), która jak i całe dzieło niema żadnej wartości naukowej.

Z powyższego przeglądu widzimy, że jakkolwiek inne narody nie mają dotąd dzieła obejmującego całokształt dziejów literatury portugalskiej, oparty bądź na samodzielnych studiach krytycznych, bądź też na dosć już licznych opracowaniach i monografiach, to jednakże Portugalia zdobyła się już na takie dzieło a poza nią nie brakło w tym kierunku pewnych mniej lub więcej szczęśliwych usiłowań. Jeżeli zaś p. Loiseau napisał „Historią” spowodowany temi względami, że naród portugalski „ne merite ni le dedain ni l'oubli de la posterité;” to naturalnie musi uważać książkę swoją za pracę jakiejś dotychczas brakowało, t. j. za dzieło, przedstawiające źródłowo i dokładnie bogactwa literatury tego narodu.

Zobaczymy o ile to przekonanie autora ostać się może wobec krytyki.

Powiedziawszy słów kilka o początku historycznym królestwa portugalskiego p. L. przechodzi do pierwszych pomników literackich i powtarzając za pisarzami dawniejszymi, odnosi tu zarówno wiersze żałobne przypisywane Gonzalowi Herminges jak i pieśń miłosną Ega-sa Moniz do Violanty (str. 6). Tymczasem już Ribeiro w r. 1810 zakwestyonował starożytność tych zabytków, a trzydzieści lat temu Casta e Silva oświadczył się przeciwko autentyczności tak zwanych „Coplas” Moniza, krytyka zaś niemiecka (Bellerman, Wolff) wykazała z całą ścisłością, że pierwszy z tych poematów jest późniejszą przeróbką starożytnej sagi ludowej, drugi zaś jest apokryfem rzeczywistym „ein Machwerk des Andrade.” W dalszym ciągu autor mówi pobieżnie (podług Baret'a) o wpływie trubadurów francuzkich i o dworze poetycznym króla Don Diniza, poczem rozbiera tak zwane cancioneiros t. j. zbiory poezji trubadurów portugalskich z czasu pomiędzy wiekiem XIII a XVI. O pierwszym z tych zbiorów, zwanym „Cancioneiro Del Rei Diniz” albo „da Vaticana” (z powodu, że go znaleziono w bibliotece watykańskiej), autor twierdzi, że jest „presque entièrement rempli des oeuvres du roi poete” (str. 18). Otóż twierdzenie to całkiem błędne. Prawdą jest, że ten zbiór pieśni, który wydrukowano w Paryżu w r. 1847, zawiera prawie wyłącznie utwory króla Deniz'a, ależ nazwa zbioru tego monarchy obejmuje, jak wiado-

mo, oprócz pieśni króla, poezye synów jego, krewnych i współczesnych poetów dworskich. To też zaraz po wyjściu zbioru paryzkiego Costa e Silva pisał o wydawcy, że „miałby większe prawo do wdzięczności naszej, gdyby był ogłosił prace i innych trubadurów, które się znajdują w zbiorach króla Deniza“¹⁾. Wolff wykazał (o czém p. L. nie wie), że w pochodzącym z XV wieku rękopisie „Zbioru pieśni króla Deniza,“ z którego same tylko jego utwory przedrukowano, znajdują się wiersze 127 poetów²⁾ z imienia i nazwiska wyszczególnionych. Fakt to nie małej wagi, świadczy bowiem do jakiego stopnia rozwój poezyi dworskiej był silny w owéj epoce. Jeżeli autor nie zna książki Wolfa, to powinien był uważniej przeczytać podręcznik Bragi, który na stronie 199 podaje, że „Fernando Wolf publicou o catalogo dos trovadores do Cancioneiro da Vaticana.“ Charakteryzując te pieśni królewskie p. L. twierdzi słusznie, że „tonem panującym w nich jest miłość powściągliwa, płynąca z rozumu raczój niż z serca“ (str. 19) tymczasem o 25 stronic dalej przy porównaniu z temi pieśniami późniejszych poezyi, przejawiających pewien rozmyśl, autor twierdzi, że gdy te każą przypuszczać „un auteur,“ w tamtych czuło się „un homme inspiré“ (str. 45). Jeżeli owe pieśni dawniejsze były płodem „rozumu“ tylko, to nie mogły jednocześnie płynąć z natchnienia. Widoczna niekonsekwencya!

Przechodząc do drugiego zbioru pieśni najdawniejszych, zwanego dawniej „Cancioneiro do Collegio dos Nobres“ albo „Nobiliario,“ autor podaje tylko tę ostatnią nazwę nie wzmiankując, że od r. 1825 ważny ten pomnik literacki znany jest pod nazwą „Cancioneiro da Ajuda“³⁾. To nieuwzględnienie nazwy dzisiejszój mogłoby właśnie „depayser les lecteurs portugais.“ Ale mniejsza o nazwę. Postuchajmy co autor mówi o tym zbiorze. „Nobiliario“ ma dla nas ten wielki interes, że zawiera biografie trubadurów, którzy śpiewali na dworze króla Deniza, co pozwala wnioskować, że byli oni najwięcej znani w téj epoce (co za bystrość krytyczna!) i że nie trzeba ich mieszać z innymi trubadurami Galicyi, Kastylii i Aragonu.“ Jaki jest związek téj przestrogi dziwacznej z treścią zbioru?! Przytoczywszy kilka nazwisk trubadurów owych, p. L. mówi dalej: „Nobiliario“ zawdzięcza swój początek pragnieniu władzy królewskiej oswobodzenia się od szlachty“ (29). Czy kto jest w stanie zrozumieć tę dziwną genezę pomników poetycznych?.. Jakie znaczenie mieć może powyższa charakterystyka zbioru takich pieśni, które w całości swój do ostatnich prawie czasów, uważane były przez pierwszorzędných krytyków por-

1) „Porem o seudireito a nossa gratidão seria maior, se elle tivesse publicado as obras dos outros trovadores que se achavam juntas com as deste cancionero.“

2) loc. cit. p. 701.

3) Zmiana nazwy poszła ztąd, że zabytek ten, przechowywany w Kolegium królewskiem w Lizbonie, przeniesiony został do biblioteki królewskiej, d' Ajuda“ (Wolf l. c. 710; Braga 196).

tugalskich i niemieckich, za utwór Pedra, hrabiego Barcellos, opiewający „Geschichte der Liebe des Dichters und des Verhältnisses zu seiner Herrin“ i najnowsze dopiero poszukiwania nie pozwoliły przypisać zbioru tego jednemu autorowi? Zresztą przy tak ważnym pomniku nie tylko treść ale i formę jego uwzględnić należało przez porównanie z poprzednim zbiorem zwłaszcza, że w „Nobilario“ trafiają się nawet przykłady formy dyalogowanej. Nie mniejszym było obowiązkiem autora zaznaczyć w jakim stosunku pozostawał ten drugi zbiór pieśni portugalskich do poezyi trubadorów francuzkich, skoro już Fauriel kategorycznie twierdził, że w nich jest nie tylko „imitation continue“, ale nawet często „une pure traduction“ ¹⁾.

W rozdziale o romansach rycerskich p. Loiseau pyta: „kto jest autorem historyi „Amadysa z Galii“,“ poczem, wspomniawszy o pretensjach francuzów i hiszpanów do tego utworu, przypuszcza pierwszeństwo Portugalii, idąc za zdaniem Bragi (str. 55). A przecież zmysł krytyczny powinien był podszeptać autorowi, że kwestyi, w której przeciwnicy, gwoli próżnostkom patryotycznym, uciekają się aż do... fałszowania dokumentów, nie można rozstrzygać na podstawie dowodów strony interesowanej. Kto zaś nie może robić sam studyów źródłowych, niechaj korzysta z tego co ludzie przed nim zrobili. Otóż w r. 1876 dr. Ludwik Braunfels wydał w Lipsku rozprawę p. t. „Kritischer Versuch über den Roman Amadis von Gallien“ w której poddawszy niezmiernie subtelnemu rozbirowi wszystkie źródła, jakie tylko do tego przedmiotu zgromadzić można, przyszedł do wniosków niezbitych, że „Amadis“ jest wyłączną własnością Hiszpanii, oraz że pretensye portugalskie gruntują się jedynie na dwu źródłach, z których jedno jest wrętem późniejszym do tekstu kroniki, a zatem jest sfałszowane; drugie zaś jest „durchhaus unhistorisch.“ Wszystkie zaś rozumowania Bragi w tym przedmiocie, które się wydały p. L. odpowiedniami, są wobec argumentów dr. Braunfelsa „Monstrum von Logik“ (str. 159). Wywody tego uczonego są tak gruntowne i przekonujące, że po nich dalsze spory w tej kwestyi byłyby wprost bezcelowe.

Cała gawęda o prototypie rycerza, poety i kochanka, zwanego „Macias enamorado“, z której dowiadujemy się w rezultacie, że poezye jego „malheureusement sont presque toutes perdues“ (str. 62), jest żywcem przepisana z niedołącznej kompilacji Bougeault'a ²⁾. Oryginalnością autora są zato przesadne pochwały bez motywów i... konsekwencyi. „Żadne tłumaczenie — pisze p. L. (str. 51), bez względu na wartość jego, nie może odtworzyć romansów portugalskich z tą świeżością i powabem, jaki mają w języku rodzinnym;“ opinia ta wszakże nie przeszkodziła autorowi, o kilka kartek dalej, nazwać przekładu francuzkiego Beaumelle'a „bardzo szczęśliwym“ (str. 63), a na str. 66 przy utworach Ribeiry znów powtórzyć, że „quelque

¹⁾ Histoire de la poesie provençale, Paris 1846 I—36.

²⁾ Porów tom III, str. 451 i 2.

exacte, élégante et poetique que soit une traduction de Ribeiro, elle ne rendra jamais la melodie tendre“ poezji tego pisarza. A co za chaos w charakterystyce tego poety, opartej na czczych frazesach!.. I tak Ribeiro jest poetą „par excellence“ (str. 69), jego czwarta ekloga „zdaje się być najdoskonalsza“ (68), a piąta znów jest tak piękna, że „on ne peut rien imaginer de plus frais, de plus seduisant“ (69), pomimo tego jednak poeta „naśladuje Sannazara,“ utwory jego „w swych rysach wybitniejszych przypominają concetti włoskie“ (67), a w ogóle Ribeiro „nie jest wolny od pewnej monotonii“ (66). Rozstawszy się z tym poetą już znów autor nie ma słów uwielbienia dla następnego Christovalá Falcao. Sielanka jego „Crisfal“ „jest jednym z najwymowniejszych i najnamiętniejszych utworów literatury portugalskiej,“ gdyż uczucia boleści i miłości „nie podobna wyrazić z większą prawdą i delikatnością“ (str. 73). Tę przesadę, posuniętą do śmieszności, ma autor nie tylko dla poetów. Mówiąc o kronikarzu Fernão Lopes, przytacza z jego kroniki kilkadziesiąt wierszów o zamordowaniu hr. Audeiro i kończy frazesem ulubionym „impossible de mieux peindre une scene dramatique.“ O „Wyprawie Alfonsa V do Afryki“ historyka Azurary mówi, że „nad jego opowieść nie ma nic prawdziwszego“ (str. 82).

Cały rozdział IV-ty, złożony z trzydziestu stronic (86—118) poświęcił autor językowi portugalskiemu. P. Loiseau, gramatyk, specjalny badacz języka francuzkiego ¹⁾, pragnąc dać upust swoim upodobaniom językowym, nie wahał się, z wielką krzywdą dla swego dzieła, poświęcić tyle miejsca studjom gramatycznym i słownikarskim, którym zresztą to tylko zarzucić można, że są najzupełniej nie na miejscu. W „Historji literatury portugalskiej“ o 400 stronicach, zupełnie byłoby wystarczające zaznaczenie ogólne żywiołów, które się złożyły na ukształtowanie języka bez wyciągania z niego setek wyrazów, pochodzenia łacińskiego, francuzkiego, celtyckiego, germańskiego, arabskiego, kastylskiego i „od innych narodów.“ Że przedmiot ten interesował autora wyjątkowo, dowodzi większa staranność w nagromadzeniu potrzebnych do niego źródeł; jeśli więc czytelnik nie spotka się tu z nowym dorobkiem naukowym, będzie miał jednak streszczony rezultat badań takich pisarzów, jak: Diaz, Nunes de Leão, de Sousa, Coelho, Soromento i innych.

Rozdział V-ty traktuje o teatrze. Charakterystyka Gil Vicentego, ojca komedji portugalskiej, nie daje nam przybliżonego nawet pojęcia o naturze działalności tego pisarza, którego utwory są niezmiernie cennym ówczesnej epoki wizerunkiem. Streszczając swoje nad tym pisarzem uwagi p. L. mówi, że „heroizm rycerski i religijność stanowią istotę jego utworów“ (str. 132). w których też „patryotyzm zajmuje miejsce poważne“ (134). Otóż nie przeczę, że te pier-

¹⁾ Napisał dzieło p. t. „Histoire de la langue francaise“ a także „Histoire des progrès de la grammaire en France.“

wiaстки są także w komediach Gil'a, przeważa w nich jednak stanowczo satyra z wyjątkową śmiałością przez tego poetę uprawiana. Wprawdzie p. L. zaznacza ironią i satyryczność w autosie „ou Gil Vicente annonce une grande vente en l'honneur de la Vierge Marie“ (126), robi to jednak tylko przy tym jednym utworze, tak, że czytelnik musi ów objaw satyryczności uważać za całkiem wyjątkowy u ojca komedyi portugalskiej. Tymczasem Rabelais we Francyi, Skelton w Anglii, Hutten w Niemczech odpowiadają Gil Vicentemu w Portugalii. Żeby twierdzenie to poprzeć faktami podam przykłady. Powszechnie posługiwanie się całemi zastępami niewolników i będącą następstwem tego bezczynność, oraz żądę przepychu zewnętrznego, wychłostał poeta w farsie p. t. „Almocreves“ (dozorcy mułów) (1535). Widząc rozpustę do tego stopnia powszechną w Portugalii, że rzadkością było, podług słów historyka, spotkać „um mancebo contrahir uma ligação legitima,“ Gil Vicente karci rodaków za ten występki w farsie p. t. „Quem tem farellos...“ Ten sam przedmiot porusza autor i w innéj farsie p. t. „Auto da India,“ przedstawiając rozpacz zawiedzionej małżonki, której mąż zaniechał nagle przedsięwziętej na Wschód podróży. Medycyna ówczesna, zasadzająca się na praktykach zabobnych, nie mogła spodobać się trzeźwemu umysłowi Gil Vicentego, więc téż wyszydził ją należycie w farsie pod tyt. „Physicos.“

Największą jednak energią rozwinął poeta w walce z fanatyzmem religijnym i z kościołem, ztąd téż uważany bywa za jednego z pierwszych zwiastunów reformacyi. Jakoż istotnie już w r. 1506 wystąpił z pierwszą satyrą w tym kierunku, bardzo gwałtowną. Gdy D. Manuel wezwał poetę do Abrantes (gdzie dwór się schronił przed zarazą) dla uczczenia przedstawieniem sceniczuem urodzin infanta D. Luiza, poeta w miejsce autosu lub farsy zapowiedział kazanie wierszém (Sermão en verso). Obecni na dworze mnichowie sprzeciwiali się temu z uwagi, że człek świecki nie powinien kazać wygłaszać, Gil Vicente jednakże przemógł opór i wygłosił mowę „pełną idei reformacyjnych.“ W farsie p. t. „Clerigo de Beira“ wyśmiewa poeta forsowne nawracanie na katolicyzm murzynów, którzy z powodu wielkiej ciemnoty nie byli podług autora, zdolni pojąć zasady wiary. Kładzie tedy Vicente w usta murzyna „Ojczy nasz“ i „Zdrowaś Marya,“ przekręcając te modlitwy w sposób wielce humorystyczny. W r. 1513 w tragikomedyi p. t. „Exortação de guerra“ występuje przeciwko żebractwu mnichów, a po wystąpieniu Lutra, gdy wszyscy pisarze współcześni w Portugalii przeklinali reformacyą, on jeden stawał w jéj obronie, co widać z „Auto da Feira,“ utworu piornującego na symonją, z „Fragoa de Amor“ tragikomedyi podnoszącej ożenienie się Lutra a wreszcie z „Romagem de Aggravados“ (1533) gdzie w bohaterze przedstawia uosobienie kleru, sprzeciwiającego się wszelkimi środkami nowym ideom. Tak wygląda Gil Vicente w świetle utworów własnych, a p. L. najznamienniejszych rysów tego poety

nawet szkicowo nie zaznaczył. Nie rozumiemy dla czego podoba się autorowi robić tego poeę koniecznie złotnikiem, kiedy wszyscy nowsi pisarze świadczą iż był potomkiem bardzo wybitnej rodziny i na uniwersytecie studyował prawo: U Dohma czytamy: „Er stammte aus einer vornehmen Familie, die ihm für das Studium der Rechte bestimme“¹⁾ Prölss nazywa go tylko „der Sohn eines Edelmanns“²⁾ Alcantara Garcia twierdzi że pochodził „de una familia distinguida“ i że pierwotnie sposobił się „a la carrera del foro“³⁾. Wreszcie najpoważniejsze źródło, Braga, podaje bez żadnych zastrzeżeń, że Gil Vicente był „de illustre linhagem“ i że „cursou a Universidade de Lisboa, seguindo a faculdade de leis“⁴⁾. Zkądże więc panu L. owo złotnictwo?! Czy czasem autorowi nie utkwiał w pamięci hiszpański komedyopisarz Lope de Rueda, który był istotnie „un batidor de oro!“

P. L. mając nieustannie przed oczyma cel jeden: stworzenia panegiryku na wielką skalę, puszcza się co chwila na dziwne spostrzeżenia i uwagi, które świadczą albo o jego nieznanomości przedmiotu albo o rozmyslném naciąganiu rzeczy. Twierdzi on, że „Gil Vicente pierwszy na półwyspie przedstawiał sztuki teatralne, że Lope de Vega i Calderon poszli tylko za jego przykładem i że jeśli mają więcej fantazyi i twórczości, poezją zaś świetniejszą i bogatszą—to zapominać nie trzeba o różnicy dwu języków, dat i zajęć obu narodów i baczyc na to, że literaci portugalscy sami robili szpadą.“—(str. 134). Wszystko to błędne! Naprzód nie Gil Vicente lecz Juan de Encina przedstawiał pierwszy na półwyspie małe komedyjki intryg o istotnie dramatycznym charakterze i to już nie w kościele lub na rynku, lecz na scenie przy pomocy aktorów z profesyi, akcesoryi teatralnych i wobec publiki wykształconej, na dworze księcia Alby. Pierwsza praca Vicentego p. t.: „Monologo do Vaqueiro“ (Monolog pasterza) daleka od wszelkiej sceniczności, deklamowana była w r. 1502 wobec króla D. Manoela, podczas gdy wszystkie utwory Enciny były przedstawione w końcu XV-go wieku („se representasen en Castilla estas sus composiciones en los ultimos anos de XV siglo,“ uwaga zamieszczona przy utworach Enciny w książce p. t.: „Teatro espanol anterior a Lope de Vega“ Hamburgo 1832 p. 2). Jakoż nie ulega wątpliwości, że Encina wywołał Gil'a Vicente'go, który nawet mógł korzystać i z innego poprzednika swego w Hiszpanii t. j. z Lucas'a Fernandez. Pisarz ten przez czas długi pozostawał w zapomnieniu niezasłużoném tak, że najznakomitsi pisarze aż do Amadora de los Rios zupełnie go ignorowali. Pierwszy Gallardo zajął się przypomnieniem zasług tego poety, a Akademia hiszpańska wydała w r. 1867

1) Die spanische National—Literatur Berlin 1867, p. 143.

2) Geschichte des neueren Dramas Leipzig 1881, I—224.

3) Historia de la literatura espanola Madrid 1877 p. 352.

4) Historia do theatro portuguez (Vida de Gil Vicente Porto 1870, p. 27).

zbiór dzieł Fernandezza, zawierający 6 sztuk dramatycznych i dyalog do śpiewu. We wstępie, umieszczonym na czele tego wydawnictwa, Manuel Cañete, określając stanowisko Fernandezza, robi porównanie, że „Encina fué el Lope de Vega y Fernandez el Calderon del tiempo de los Reyes catolicos.“ Otóż utwory tego pisarza były także w końcu XV w. przedstawiane, a więc przed pracami Gil Vicentego, który mógł nawet swój radykalizm przejąć od Fernandezza, pisarz ten bowiem występował śmiało przeciwko fałszywej pobożności i świętoszkom, za co Inkwizycya niszczyła jego farsas zamieniając je w białe kruki. Daléj, jeśli Lope de Vega i Calderon stoją nieskończenie wyżej od Gil Vicentego, to nie z powodu różnicy języków, które w téj dobie były prawie jednakowo ukształtowane lub czasu, albowiem Chiado lub J. Ribeiro nie mają przecież tego znaczenia choć są późniejsi, lecz dla téj prostéj przyczyny, że posiadają nieporównanie więcéj... talentu. Wreszcie co do owego robienia bronią zaznaczyć potrzeba, że właśnie ono jest arcypospolite u pisarzów hiszpańskich z téj epoki i następnéj. Ci sami słynni autorowie, którzy kończyli karierę na sukience duchownéj, rozpoczynali życie publiczne od korda. Boscan, Garcilaso, Diego de Mendoza, Montemayor, Castilejo, Cervantes, Lope de Vega, D. Alonzo de Ercilla i w. in. walczyli bohatersko za ojczyznę.

Rozstając się z Gil Vicentem p. L. nie mówi ani słowa o jego wpływie na współczesnych, o szkole przezeń wytworzonéj. A przecież gdzie tylko z dworem przebywał zostawił swoich epigonów. Jego pobyt w Évora wywołał poetów: Alfonsa Alvares i dwu Ribeirów, w Santarem Antonio Prestes przejął tradycyę mistrza, a w Coimbra Jorge Ferreira de Vasconcellos. Najmniejszój wzmianki nie poświęcił także p. L. takim pisarzom dramatycznym jak Jorge Pinto, Auriqne Lopes, Baltazar Dias, którego praca „O Auto de Santo Aleixo,“ przedstawia stan ducha ludu portugalskiego po strasznych klęskach w Afryce, a wreszcie Simão Machado, ostatni reprezentat sztuki narodowéj w wieku XVI pośród wpływu hiszpańskiego i włoskiego. Nie wspomniał téż autor o tak zwanych „Os pateos das Comedias (1588—1595).“ Jak dalece autor unika rozmyślnie faktów świadczących o wpływie stanowczym literatury hiszpańskiéj na portugalską, dowodzi między innymi to przejście gwałtowne od Gil Vicentego do Sá de Mirandy. Dla czego p. L. téj luki nie wypełnił? Oto musiałby się rozpisac o „Celestynie“ Rojasa, a tego widocznie chciał uniknąć. Otóż zanim jeszcze Sá de Miranda powrócił ze swojéj do Włoch podróży, już na niwie dramatycznój wystąpił z nowym kierunkiem Jorge Ferreira de Vasconcellos, o którym p. Loiseau nic nie mówi. A przecież życie tego pisarza obejmuje cały okres upadku zupełnego Portugalii i on to pierwszy w komedyi „Eufrosina“ rozstał się z redondillami i ludowemi, których dotąd w autosach używano, a przeszedł do „prosa vernacula.“ Rewolucyi téj dokonał właśnie pod wpływem „Celestyny“ hiszpańskiéj, która do wyjścia „Eufrozyny“ (1527) miała już (1500—1525)

szesć wydań i była znaną wszystkim pisarzom portugalskim XVI w. W tej samej formie, bo pod tymże wpływem (jak sam przyznaje w prologach), napisał Jorge Ferreira i dwie inne komedye „Ulissipo“ i „Aulegraphia.“ Są de Miranda już tedy w swój pierwszej komedyi „Estrangeiros“ poszedł drogą przez Vasconcellosa otworzoną, choć jak sam przyznaje, wprowadził go na nią wpływ Aryosta. Że ta reforma wywołała gwałtowną walkę szkoły narodowej z klasyczną o tém wiemy choćby i z prologu do komedyi „Bristo“ Antoniego Ferreiry— ale o tych ważnych szczegółach p. L. nic nie mówi, zapewne nie z braku miejsca, skoro go tyle poświęcił językowi portugalskiemu.

Uwagi nad Ant. Ferreirą znów autor wypisuje dosłownie z Bougeaulta ¹⁾, a mówiąc o tragedyi „Ignez de Castro“ przytacza z niej ten sam wyjątek, który już znają Francuzi z książki Mennechet'a, pomimo, że utwór zawiera wiele epizodów „qui ne sont pas moins dignes d'attention“ ²⁾. Rozstając się z teatrem XVI w. nic nie mówi o przyczynach jego upadku i w ogóle nie daje tu żadnego tła społecznego. Natomiast za wiele miejsca poświęca autor takiemu lichemu wierszoklecie i człowiekowi niskiego charakteru jak Andrade Caminha, którego nikczemnych napaści na Kamoensa i podtój denuncyacji przeciw zacnemu kronikarzowi Damião de Goes, zgładzonemu w skutek tego przez Inkwizycyą, ani słówkiem autor nie zaznaczył ³⁾. I literacka działalność tego pisarza nie odtworzona z dokładnością, albowiem autor nie wspomniał nawet, że Caminha wojował głównie epigrafami, epitafiami, epitalamjami i epigramatami.

Rozdział VII o 30 kartach, poświęcony Kamoensowi, opracował autor stosukowo najlepiej. Kawaler orderu Chrystusa, którą to oznakę otrzymał za wiersz po łacinie p. t.: „Ad Lusitanos,“ w trzecią rocznicę zgonu Kamoensa, p. L. uważał za konieczne poświęcić wielkiemu poecie tyle miejsca. Nie ma tu wprawdzie ani nowych szczegółów do biografii, ani świeżych na „Luzyadę“ poglądów, jest wszakże całość dająca dostateczne pojęcie o życiu i pracach Kamoensa. Autor szedł tu w części za Lamarrem (Camoens et les Lusitades, Paris 1878), częścią zaś za Latino Coelho („Luiz de Camões“ Lisboa — bez roku), jak to widać z ustępu traktującego pierwiastek cudowności w Luzyadzie. Coelho mówi na str. 298 „Entre quatro generos de maravilhoso podia recair a eleição do vate nos Lusitades“ i dalej następuje wyczerpująca charakterystyka tych czterech rodzajów cudowności. Otóż p. Loiseau powtarza w streszczeniu te poglądy zaczynając je od słów: „Il avait à sa disposition quatre sortes de merveilleux (223). Zresztą nie robi-

¹⁾ Porów.: u Bougeault'a str. 459, u Loiseau 147, u B. 460, u L. 153.

²⁾ Dours complet de litterature moderne, Paris I—431—4.

³⁾ „Delatação estúpida, miseravel e infame, que foi agravar a sorte de um homem de bom que caíra nas garras da Inquisição“ (Braga, Historia dos quinhentistas p. 233).

my z tego zarzutu p. L., gdyż tym razem czerpie ze źródeł najlepszych, zaznaczamy tylko ten fakt, niezbędny do scharakteryzowania książki p. L. Na nieszczęście zaraz w rozdziale następnym wraca autor do ulubionego Bougeault'a i przepisuje z niego blade frazesy. P. B. mówiąc o poemacie Jeronima Corte Real p. t.: „Naufrage de Manoel Sepulveda“ twierdzi, że praca ta nie ma „wielkości epicznej“ i że autor „zepsuł poemat wprowadzając do niego pierwiastek nadnaturalny“ (str. 483), p. Loiseau powtarza za panią matką pacierz, że „la grandeur epique fait defaut au sujet“ i autor „l'a encore gaté par...“ i t. d. (str. 237). P. B. robiąc wzmiankę o poemacie „Elegiada“ Ludwika Pereiry Brandão kończy ogólnikiem: „raczej wzrusza niekiedy, aniżeli interesuje“ (str. 483), p. L. powtarza ten frazes niedorzeczny „il emeut parfois, mais il n'interesse pas,“ zapominając, że jeżeli coś zdoła nas wzruszać to już eo ipso budzi interes. Należało więc powiedzieć, że poza ustępami wzruszającymi nic w tym poemacie nie interesuje czytelnika. P. B. mówi, że „to samo uczucie (nieszczęście kraju) natchnęło Manzinha Quebeda do napisania „Alfonsa afrykańskiego,“ poematu, którego zalety przyćmiewa plan wadliwy (484), a p. L. powtarza za nim „ce sont aussi les malheures de la patrie qui ont inspiré a Quevedo son poème où un plau defectueux compromet toutes les autres qualités“ (237), p. B. mówi: „Gabriel Pereira de Castro musi dla stylu znaleźć miejsce nie daleko śpiewaka Luzyady. Biorąc za przedmiot swego poematu „Ulyssea“ założenie Lizbony, przypisywane Ulissesowi, mógł jednocześnie i schlebić patryotyzmowi portugalskiemu i zbliżyć się do fikcyj starożytnych“ (484). P. Loiseau powtarza te ogólniki słowo w słowo: „pour la pureté du style il doit être placé non loin du chantre des Lusiades. Par le sujet de son poème l'Ulyssea, ou le fondation de Lisbonne attribuée a Ulysse, il put tout à la fois flatter le patriotisme portugais et se rapprocher des fictions antiques“ (240). Musielibyśmy rozszerzyć do znacznych rozmiarów nasz artykuł, gdybyśmy chcieli przepisać wszystkie tego rodzaju wspólności dwu autorów; zdaje się jednak, że przykłady powyższe są dostatecznym świadectwem oryginalności dziełka p. L., a co gorsza, że i u p. Bougeault, z którego autor przepisuje, nie ma ani słowa oryginalnego. Tło dziejowe, w ogóle u p. L. bardzo blade, powtarza się niekiedy prawie dosłownie. Na początku rozdziału o naśladowcach Kamoensa (str. 234), mówi autor o losach monarchii po zgonie Sebastjana, jedenasty zaś rozdział rozpoczyna się tą samą opowieścią, tylko cokolwiek rozszerzoną (str. 276). Po takim wstępie niefortunnym autor, zdąża już ku końcowi coraz szybciej, poświęcając oddzielnym gałęziom literatury zaledwie po parę stronice. I tak na str. 294 autor, mówiąc w kilkunastu wierszach o teatrze, poprzestaje na zaznaczeniu, że teatr w XVII wieku nie przedstawia żadnego dzieła godnego interesu. Co jednak spowodowało ten upadek sztuki dramatycznej, tak pięknie niegdyś kiełkującej—o tém autor wcale nie wspominał, pomimo, że miał w tym względzie bogaty materiał w książce Bragi.

Streszczenie jednego choćby rozdziału z tego pisarza p. t.: „O index expurgatorio de 1624,“ byłoby rzecz wyjaśniło. Nie mniej powinien był autor dać krótką chociażby charakterystykę tragikomedyj uprawianych przez Jezuitów. Całemu wiekowi XVIII poświęca autor zaledwie 15 kartek, nie mógł więc, rzecz prosta, dać przybliżonego nawet obrazu literatury w tej epoce. W tym rysie króciutkim teatr zupełnie zaniedbany, a jednak należało choć słów kilka powiedzieć o bohaterze głównym wszystkich sztuk teatralnych, o owym fidalgo pobre, który był symbolem narodu bogatego w tradycje bohaterskie a wówczas unicestwionego całkowicie. Jakkolwiek mizerną jeszcze była sztuka dramatyczna tej epoki, to przecież nie ulega wątpliwości, że w XVIII w.: rozpoczęło się odrodzenie teatru portugalskiego. Jeszcze mniejszą ma wartość rozdział ostatni, obejmujący historią literatury XIX w. kilkanaście nazwisk, kilkadziesiąt tytułów i wiązka ogólników bez znaczenia — oto wszystko co tu znajdujemy. Dla wykazania tylko braków tego rozdziału musielibyśmy napisać drugi, co najmniej równy mu pod względem obszerności. Żeby jednak uzupełnić nasz rozbiór i dać pojęcie o wartości dziełka p. L., weźmiemy jeden przykład: Teofil Braga (z dzieł którego autor zna widocznie tylko podręcznik do literatury w jednym tomiku), jest jednym z najznakomitszych pisarzy współczesnych Portugalii i wydał dzieła następujące: 1) „Folhas verdes,“ 2) „Visão dos tempos,“ 3) „Tempestades sonoras,“ 4) „Ondina do Lago,“ 5) „Torrentes.“ Są to utwory poetyczne, do których dodać trzeba 6) „Contos fantasticos“ (powieści). Ze studyów nad historią, tradycjami, pedagogią, polityką, krytyką i polemiką Braga ogłosił: 7) „Cancioneiro e Romanceiro geral portuguez“ w 5-u tomach, zatytułowanych: „Cancioneiro popular,“ „Romanceiro geral,“ „Contos populares do Archipelago açoriano,“ „Floresta de romanees.“ 8) „Historia da Literatura Portugueza“ w 9 tomach, których tytuły na początku tego artykułu wymieniliśmy, 9) „Ideas republicanas em Portugal,“ 10) „Historia do Dereito (prawa) portuguez,“ 11) „Theoria do Historia da Literatura portugueza,“ 12) „Caracteristicas dos Actos Comerciais,“ 13) „Espirito do Dereito civil moderno,“ 14) „Michelet conferencia historica,“ 15) „Voltaire, conferencia do Centenario,“ 16) „Theocracias literarias,“ 17) „Os criticos da Historia da Literatura,“ 18) „Estudos da Edade media“ (Study nad wiekami średnimi), 19) „Excavações (poszukiwania) bibliographicas,“ 20) „Questões de Literatura e Arte portugueza,“ 21) „Sobre a origem portugueza do Amadis de Gaula,“ 22) Historia do Theatro portugez“ w 4 tomach, 23) „Bocage sua vida e epoca,“ 24) „Historia do romantismo,“ 25) „Manual da Historia da Literatura portugueza,“ 26) „Gramatica portugueza elemental,“ 27) „Poesia do Dereito,“ 28) „Traços gerais (rysy główne) de filosofia positiva comprovados pelas descobertas (stwierdzone przez odkrycia) scientificas modernas,“ 29) „Historia Universal Esboços (szkice) de Sociologia descriptiva,“ 30) „Historia universal, civilisações cosmopolitas propagadoras das civilisações isoladas.“

Wreszcie pod ogólnym tytułem „Soluções positivas da politica portu guesa“ ogłosił następujące trzy tomy: 31) „Da aspiração revolucionaria e sua disciplina em opiniao democratica,“ 32) „Do sistema constitucional como transigencia provisoria entre o absolutismo e a revolução i 33) „Historia das obras primas de Balzac.“

Oprócz tych wszystkich prac naukowych i literackich Braga ogłosił w wydaniach krytycznych: „Cancioneiro portugues da Vaticana;“ „Obras completas de Camões,“ „Obras poeticas de Bocage,“ „Obras de Christovam Falcão, Gaia i João Vaz,“ dalej ułożył „Antologia portugueza“ i „Parnaso portuguez moderno.“ Wreszcie wydał tom tłumaczeń p. t.: „Obras primas de Chateaubriand.“

Nakoniec dla uzupełnienia obrazu dodać musimy, że T. Braga był stałym współpracownikiem następujących organów naukowych politycznych i literackich: Revue de philosophie positive (Paryż), Atheneum (Londyn), Rivista de philologia romanza (Rzym), Rivista de Leteratura popolare (Rzym), Zeitschripte für romanische Literatur (Wrocław), Academia (Madryd), Bibliografia critica (Porto), Opositivismo (Porto), Chrisalida i Instituto (Coimbra), Renascença (Porto) i Seculo (Lizbona).

Z powyższego widzimy, że nie każdy z narodów europejskich poszczycić się może téj skali jak Braga pracownikiem na niwie literatury ojczystej. Stworzył on całą bibliotekę prac różnorodnych, z których dosyć jest wyróżnić jedną chociaż wyczerpującą i źródłową o dziejach literatury portugalskiej.

Otóż, gdyby czytelnik francuzki, polski czy portugalski chciał się dowiedzieć czegoś o takim tytanie pracy jak Braga z książki p. Loiseau, znajdzie na stronie 388 taką wzmiankę: „Theophilo Braga le politique ardent et le vulgarisateur de la litterature portugaise“ i... ani jednego słóweczka więcej. Nawet daty urodzenia autor nie podał (24 lutego 1843). Można mieć z tego pojęcie jak się autor z innemi załatwił pisarzami współczesnymi, jeżeli już którego z nich raczył wspomnieć. A przecież w tytule książki czytamy, że jest to historia literatury portugalskiej „depuis ses origines jusqu'a nos jours!“

Streszczając powyższy przegląd przychodzimy do wniosku, że książka p. Loiseau jest słabą kompilacją, że autor nie tylko nie robił żadnych studyów samodzielnych nad przedmiotem, nie tylko nie zna zupełnie najpoważniejszych do niego źródeł, ale w dodatku nawet tych opracowań, które miał pod ręką należycie zeksploutować nie umiał. Rzecz prosta nie poświęcilibyśmy książce p. L. tyle miejsca, gdyby nie pretensjonalność przedmowy, którą przecież autor pozwolił sobie w ten sens zakończyć: „Puissent les Francais nous savoir gré de les *initier* (!) à une litterature plus riche et plus variée qu'on en croit!“... Oj! ta blaga!...

J. A. Święcicki.

„Il Libro dell' Amore“. — Poesie italiane raccolte, e straniere raccolte e tradotte, da Marco Antonio Canini (volume 1). Venezia, 1885.

Pierwszy raz w życiu zdarza się nam widzieć podobnego rodzaju antologią jak ta, którą tytuł powyższy określa. Kiedy u nas wyszła świeżo książka p. t. „Kobieta w poezji polskiej,“ chwaliliśmy nietylko wybór, ale i staranność nie szczędzącą czasu na wyszukanie ustępów odpowiednich przedmiotowi idealnemu, około którego zgrupować się miały, jako żywy komentarz. Praca to nie kuusztowna, ale zmusna, a pożyteczna o tyle, że, dobrze poprowadzona, ułatwia dowiedzenie się tego jak dotąd nasz świat poetyczny zapatrywał się na przedmiot. Jeżeli cenimy zadanie takie, dokonane na rzecz jednej tylko literatury, i to nienajbogatszej; zadanie, które wreszcie polega tylko na wyszukaniu i przepisaniu, cóż powiedzieć o pracy jaką podjął professor Canini.

Przedmiotem jego nie jest kobieta na ogólności, ale miłość, i to nie na ogólności, ale miłość wyłącznie erotyczna, owo uczucie, mające wprawdzie grunt czysto zmysłowy, ale uduchowiające się z postępem obyczajów i cywilizacji; uczucie stanowiące rozkosz wieku młodzieńczego, cement małżeństwa, podstawę rodziny. Miłość od początku świata stanowiła i stanowi najwyższy interes życia, boć ona jest jego zarzewiem: zdolna do największych poświęceń, wyrasta na najżywszym popędzie egoistycznym, a ztąd stanowi największe szczęście albo największą boleść jednostki. Nie dziw tedy, że jako tak ważny bodziec w życiu, miłość od wieków była téż przedmiotem najtkliwszych uzeńtrzeń mających za przedmiot człowieka i jego losy. Poezja chwyciła ją najpierwsza i pielęgnuje aż dotąd nieprzerwanie na wszystkich stopniach kultury społecznej; wybiera za treść do form rozmaitych, przeważnie opiewa ją w strofach lirycznych.

Owoż, księga, którą mamy przed sobą, wzięta sobie za zadanie przedstawić jak się wyobraża uczucie miłości w poezji wszystkich możliwie społeczeństw i wszystkich epok świata, czyli w tym wieńcu poetycznym złożonym z kwiatów najrozmaitszej barwy połączyć psychologią z etnologią. Zadanie pracy olbrzymiej, kto wie czy nawet opłakujące się ważnością rezultatów moralnych i literackich. Zadanie to podejmując prof. Canini, miał wprawdzie poprzedników, ale w bardzo szczupłym zakresie, prawie nic nie znaczącym w porównaniu z zakresem jaki on sobie naznaczył. Według jego programu, zamieszczonego w przedmowie:—, przed oczami czytelnika przejdą wiersze miłosne wszystkich czasów, od najodleglejszej starożytności aż do dni naszych, od chińskich Sei-King, sięgających przynajmniej dziesiątego wieku przed Chrystusem, od egipskich papyrusów Harrisa, pochodzących prawdopodobnie z czasów dwudziestej dynastji, aż do portugal-

skich, węgierskich i czeskich,“ które to ostatnie, według zdania prof. Caniniego, są najlepsze jakie ukazały się w ostatnich czasach. A jak odległość czasów, tak i odległość przestrzeni, oddziela od siebie zebrane tu wiersze; od skwarów równikowych, do lodowatej Laponii, reprezentowane są tu wszystkie klimaty: podobnież wszystkie stopnie hierarchii społecznej i ukształcenia umysłowego, od pieśni króla Salomona, do westchnień Irokeza lub Murzyna.

Jakiż to więc ogromny zebrać trzeba inwentarz, ażeby w nim wynaleźć przedmioty odpowiadające zadaniu i uporządkować. Nie dosyć na tém: trzeba tę różnojęzyczność sprowadzić do jednego języka. Owoż i zebranie materiału i przekład jest dziełem jednej osoby.

Jakim sposobem p. Canini poradził sobie z tém wszystkiém, nie wiemy. W jego wielkiej antologii mieszczą się i wiersze włoskie, odpowiednie przedmiotowi, które naturalnie, po wyszukaniu, potrzebowal tylko przepisać; ale, oprócz włoskiego, czerpie on z jakich około stu języków. Wiadomo, że p. Canini jest polyglotą, ale czyż do tego stopnia? Otoż, obok długiej przedmowy, w której kreśli zapatrywanie się swoje na przedmiot a zarazem czyni treściwy przegląd literatur dawniejszych i dzisiejszych; obok wielu wyjaśnień jakie daje odnośnie do celu swój pracy i sposobu jej wykonania, zachodzi jeden brak. Nie określa on przedewszystkiém bliżej i szczegółowo źródła z którego bierze pewne ustępy, tak iżby do niego trafić można w chęci porównania przekładu z oryginałem; powtóre, nie objaśnia które przekłady dokonywane są wprost z oryginałów, które zaś pochodzą z tłumaczeń, i z jakich. I tak, zaraz pod pierwszym ustępem, złożonym z trzech zwrotek, podpisany jest Sofokles. Przypuszczamy, że człowiek tak klasycznie wykształcony jak p. Canini, mógł przetłumaczyć ten ustęp wprost z oryginału; ale tylko nasza osobista zażyłość z Sofoklesem pozwoliła się domyślić, że ustęp ten oddaje jedną strofę chóru z tragedyi „Anty-gona“, opiewającą potęgę Miłości.—Nie tak łatwe będzie nasze przypuszczenie co do ustępów czerpanych naprzykład z sanskrytu, prakrytu, z języków malajskich lub staroamerykańskich: zacytowanie zatém źródła, bądź oryginalnego, bądź tłumaczonego, byłoby pożądanem, nietylko dla ułatwienia porównań i sprawdzeń, ale dla samej powagi pracy.

By dać wyobrażenie o jej ogromie, notujemy, że, oprócz przedmowy, sam przekład wierszy zajmuje w książce dużego formatu siedmset stronnic ścisłego druku; a jest to dopiero tom pierwszy, czyli połowa zamierzonej całości. Ażeby zaprowadzić jakiś ład w tych rozrzuconych pyłkach poetycznych, można było wziąć za zasadę porządek chronologiczny albo etnograficzny, i właściwie mówiąc, tłumacz uwzględnić w pewnej mierze tę zwłaszcza drugą zasadę: widzimy tam zebrane razem grupy ustępów pewnych literatur. Lecz główny jego system polega na porządku upatrzonym w samej naturze przedmiotu, w jego objawach i szczególnych postaciach. I tak, ten pierwszy tom zawiera działy następujące: 1) Co to jest miłość? 2) Piękność i kobiec-

ta. 3) Potrzeba kochania. 4) Pierwsza miłość. 5) Wiosna i miłość. 6) Dwie miłości: platoniczna i zmysłowa. 7) Wyraz miłości w sonetach. 8) Wyraz miłości w wierszach rozmaitych.—Następny tom ma mieć inne jeszcze, bardziej szczegółowe podziały.

Zachodzi oczywiście pytanie, jaki może być pożytek z tak rozległej i mozolnej pracy, która, koniec końców, oprócz samego przedmiotu, nie przedstawia żadnej innej jedności, ani całości? Czy naprzykład, nie byłoby pożyteczniej (mówimy że stanowiska włoskiego), gdyby tłumacz, zamiast mnóstwa drobnych ustępów, liczbą wierszy przenoszących razem wzięte Iliadę i Odysseję, przyswoił literaturze swojej kilka wielkich arcydzieł jednolitych, kilku całkowitych mistrzów? Nie do nas atoli należy sąd o tém coby nastąpiło, gdyby p. Canini pracę swą zużył w innym kierunku. Książka jego taka jaką jest przedstawia nasamprzód ten pożytek, że w jednym zbiorze, w próbkach charakterystycznych, odkrywa nam usposobienia człowieka z pod rozmaitych stref i z rozmaitych epok, a kogo to interesuje, ten z niezmierną ciekawością szuka tych różnic i podobieństw, jako psycholog; upatruje różnic w formach twórczości, jako literat. Z żywem też zajęciem odbywaliśmy tę ekskursyą, za przewodnictwem tłumacza, po rozmaitych punktach wprowadzonej tu przezeń twórczości rozmaitych ludów, tych zwłaszcza, gdzieśmy się najmniej poezji spodziewać mogli; chciwie chwytałyśmy objawy uczuć i myśli wydarte z duszy malajczyków, azteków, aurakańczyków, i tym podobnych plemion, o których ledwie głucho do nas dochodzą wieści. Powtóre, bez względu na korzyść wynikającą z tego rodzaju porównań, książka prof. Caniniego, już tylko jako, że tak powiem, wyrób poetyczny, przedstawia mozaikę rzadkiej artystycznej piękności. Prof. Canini posiada widocznie dar wtajemniczenia się w indywidualności poetów, ci bowiem z nich, których znamy z oryginałów, przedstawiają się nam u niego wiernie. Wtajemnicza się on zarówno dobrze w treść jak i w formy, a nie mówimy tu tylko o tych formach, które polegają na danej rozciągłości wiersza, lecz o tych, które są wyrazem pewnego nastroju ducha lub narodowej własności. A jakkolwiek wszędzie p. Canini używa wiersza rymowego według zasad przyjętych w poezye włoskiej, trudność ta nie powoduje zbytecznych parafraz, tak iż jego tłumaczenie z możliwą wiernością odzwierciedla pierwowzór, zatrzymując charakterystyczne myśli i koloryt obrazów, zwłaszcza w pieśniach utworu ludowego, których ton zachowuje przedziwnie.

Specjalnie nas obchodzić może to jak tłumacz w swęj pracy obeszł się z literaturą polską. W proporcji do innych mniej ona w antologii zajmuje miejsca; zostawia on ją sobie podobno na obszerniejszą skalę do tomu drugiego. Tu, mamy kilka wybornych próbek z pieśni ludowych, między innymi: „Cztery lata wierniem służył gospodarzowi,“ której początek po włosku brzmi tak:

Quatr'anni ho fedelmente il mio padron servito:
 La paglia per tagliare alzar mi ognor soleva
 Di buon mattino; questo io per amor facea
 Solo della ragazza, sol di lei per amor,
 Chè qual pece attaccato era ad essa il mio cor.

Z poetów książkowych przedstawiają się tu w drobnych ułamkach: Książnin, Mickiewicz, Malczewski, Krasiński, Słowacki, Lenartowicz, Asnyk, nareszcie Witwicki ze znanym wierszykiem, unieśmiertelnionym melodyą Szopena: „Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,“ który, ażeby dać wyobrażenie jak umiejętnie tłumacz sprawia się z duchem i tonem pierwowzorów, podajemy tu całkowicie w szacie włoskiej:

Il sole esser vorrei!
 Non ad altri, a te sola,
 Mio bene, splenderei,
 Non sul lago, nei boschi,
 Ma a te vicino ognora:
 Solo alla tua finestra
 Vorrei mostrarmi allora.
 Il sole esser vorrei.

Oh! fossi un ucellino!
 Sol per te, non per altri,
 E solo a te vicino
 Canterei, non nei boschi,
 O sul lago, o! diletta,
 Starmene ognor vorrei
 Alla tua finestretta.
 Oh! fossi un ucellino!

Takież same warunki dokładności i zręczność cechują przekłady ustępów innych, wymienionych tu poetów naszych. Spodziewać się należy, że p. Canini, bawiący w Wenecyi, mając w blizkiem sąsiedztwie jednego z najdzielniejszych przedstawicieli naszej poezyi, porozumie się z nim co do wyboru ustępów mających zbogacić tom drugi. Bez względu na to, skoro sam tłumacz zapowiada gotowość zajęcia się poezją naszą, pożądaném byłoby, ażeby nasi poeci żyjący przesłali mu swoje utwory do wyboru, i wreszcie ażeby miłośnicy piękna poparli wydawnictwo, które sympatycznie i nasze uwzględnia stosunki.

Kazimierz Kaszewski.

KORRESPONDENCYA.

I.

Pani Biggs przestała „Redakcyi Bibl.“ uwagi swoje (w języku angielskim z tłumaczeniem polskiẽm p. Naganowskiego), jakie jęj nastęrczył rozbiór tłumaczenia „P. Tadeusza“ przez p. Maryã Wentz'ł, z prośbã o wydrukowanie ich w Bibliotece. Prośbie tej czynimy tẽm chętniej zadość, że odpowiada pod kaźdym względem warunkom poważnej dyskusyi.

Przeczytawszy w styczniowym zeszycie „Biblioteki“ artykuł, oceniający mój przekład „Pana Tadeusza,“ z surowã nieco krytykã, ośmielał się podnieść głos w obronie własnój i wyjaśnić powody, dla których obrałam drogę, przez szan. recenzentkę zaznaczonã, a zastosowanã do przekładu nie bez wszechstronnego zastanowienia się nad najlepszã metodã podejmowanėj pracy. Piszę zaś bez zamiaru rozprawiania o krytyce słusznej, lecz jedynie w celu wyjaśnienia mojego stanowiska.

Pani Marya Wentz'ł zdaje się głównie zarzucać mi, iż byłam nadto wyłącznie tłumaczem liter i słów Mickiewicza ze szkodã jęgo poematu; żałuje również, iż — zamiast starać się o odtworzenie, ile możności najwierniejsze słów polskich w języku angielskim — nie napisałam poematu angielskiego, wyrównywajãcego „Panu Tadeuszowi.“ Przyznaję zupełnie, że samo dostowne i trafne oddanie znaczenia słów, jest w tłumaczeniu niedostatecznym sposobem odtwarzenia barwy i harmonii, oraz tego czegoś nieokreślonego, co powstało pod mistrzowskã rękã w dziele oryginalnẽm. Widziałam w Rzymie obok wspaniałego obrazu „Przemienienia“ kopie artystów nowożytnych, naśladowujące wprawdzie formę i kontury cudownego malowidła, lecz bynajmniej artystycznie go nie zastępujące. Inaczej tẽż być nie może, dopóki nowy jaki Rafael nie stworzy drugiego „Przemienienia;“ lecz juźci to nie powód, dla czego by nie miały się dzisiaj mnożyć stabe naśladowania fotografów i podrzędnych malarzy, gdy takie podrzędne odtworzenia są dla ogromnej większości ludzi, nie opuszczających swego

kraju, jedyne wzorami włoskiej sztuki, jakie mogą widzieć. Podobnież przekład arcydzieła literackiego, nie będąc dokładnym jego odtworzeniem, może bardzo dobrze być jedynym środkiem przedstawienia go mnóstwu ludzi, domatorom, którzy nie mogli nigdy zwiedzić dalekich krajów lub nieznanymi literatur. Większość anglików, nierozumiejących języka polskiego może tylko w przekładzie angielskim, mieć sposobność zabrania znajomości z arcydziełami polskiego piśmiennictwa, a ztąd powstaje konieczność takiego przekładu, któryby formą i zarysem odbijał jak najwierniej utwór oryginalny i tym sposobem dawał o nim pojęcie—choć niedoskonałe. Nie znam zaś odpowiedniejszej ku temu metody, nad wierne i ściśle dosłowne tłumaczenie, słowo w słowo, o ile tylko pozwala na to różnica między jednym językiem a drugim.

Wracając raz jeszcze do podobieństwa między obydwojema sztukami siostrzanymi, nie mogę utaić przekonania, że piśmienniczy naśladowca ma zadanie trudniejsze, aniżeli malarz, który używa tych samych, lub prawie tych samych materiałów, barw, pędzli i płótna, jakie służyły do utworzenia dzieła naśladowanego; gdy tymczasem tłumacz usiłuje odtworzyć oryginał swój za pomocą zasobów różnych, innych. Innym bowiem jest zasób wyrazów angielskich, innym —polskich; sprawić więc jeden i taki sam efekt za pomocą obydwojch, byłoby to wymalować jeden i taki sam przedmiot farbami wodnymi co... olejnymi.

Powziąwszy jednakże zamiar odkopiowania arcydzieła Mickiewicza, zabrałam się do wykonania go w taki sam sposób, jakbym to uczyniła, gdyby mi przyszło kopiować obraz jakiego dawnego mistrza; t. j. zdjęłam kontury ściłą miarą, wybrałam i zespoliłam wyrazy i wyrażenia z języka angielskiego, jakbym wybrała i połączyła zawartości różnych naczyń z puzdra malarskiego — w celu wytworzenia tonów i kolorów, ile możności najpodobniejszych do oryginalnych. Skutek okazał się taki sam: obraz dzieła naśladowanego, mniej doskonały, bo odtworzony umysłem pisarza niższego rzędu, i niedokładny bezwątpienia w pewnych punktach, bo daleko trudniej zapewne pochwycić bez pomyłki wszystkie różnice tonu i barwy w wielkiem dziele literackiem, aniżeli w dziele pędzla. Bodaj niestuszną jest opinia, jakobyam spodziewała się odtworzyć Mickiewicza w sposób doskonały prostą wiernością przekładu; nie miałam téj nadziei, lecz—usilując oddać jak najdokładniej znaczenie wyrazów, tak, jak się znajdują w oryginale, kosztem nawet wprowadzenia „polonizmów“ i wyrazów dziwnych, w angielskim języku niezwykłych,—sądziłam, iż będę mogła pokazać, co wieszcz chciał powiedzieć, a pokazać lepiej, aniżeli gdybym sobie pofolgowała w większej swobodzie przekładu, podłożyła wyrazy i frazesy własnego wynalazku.

Przystępuję teraz do więcej szczegółowych zarzutów, zawartych w artykule pani M. Wentz'ł. Względnie do błędów, którebym, mówiąc ogólnie, nazwała „błędami słownikowemi,“ przekonuję się, iżem

nie zawsze tak była poprawną, jakbym sobie mogła życzyć—i uznaje się zobowiązaną pani Wentz'l, iż wskazała to, czegom odkryć nie potrafiła. Jeżeli praca moja doczeka się kiedykolwiek drugiego wydania, to nie omieszkam poprawić błędów i należycie uwzględnić podsuniętych mi uwag, z tego też powodu żałuję, że nie we wszystkich przypadkach znalazłam dokładne wyrazy w moim języku. Co do wyrazu „Regent“ za „Rejenta“ — to wolałam użyć tego samego, lub niemal tego samego wyrazu co w oryginale, na oznaczenie urzędnika, jaki, zdaje mi się, nie jest wcale reprezentowany w Anglii; podobnie jak „Wojski“ jest bezwątpienia czysto polską nazwą.

Gdzie tylko mogłam użyć nazwy angielskiej, uczyniłam to; lecz gdzie zmuszona byłam zachować oryginalną, tam zawsze dodałam przypisek wyjaśniający. Wiersze:

„The dogs as mad they whip about the court,
Then haste, and clap the collars ou their necks.“

nie miały zawierać (ani też nie zawierają, sądząc, dla czytelników języka angielskiego) śmiesznego znaczenia, przypisanego im przez panią Wentz'l. Powierzchnowa uwaga wskaże, że trzy słowa—whip, haste, clap — odnoszą się do zaimka „they,“ i żadną miarą nie można uważać „dogs“ za mianownik.

W wierszach:

„Our elders learned it from discourse of lords,
The living history of the country.“

„discourse“ jest oczywiście „the living history“ w jasnej składni zdania ¹⁾.

Pomijając różnicę między jarzyną i włośzczyzną, oraz omyłki w nazwach niektórych roślin, które można zaliczyć wszystkie do kategorii błędów słownikowych; niechże mi będzie wolno zaznaczyć, iż żaden dotychczas krytyk angielski nie zganił mi ani gramatyki, ani stylu przekładu. Wspomnę jednak, że „to go about a house“ (chodzić, krzątać się około domu) jest codzienném wyrażeniem w angielskiém gospodarstwie domowém.

Obrałam wiersz biały w przekładzie, po należyтім rozmyśleniu się, a to dla tego, by nie być zmuszoną oddalić się od dosłownego przekładu, gdyby mi przychodziło użyć w zakończeniu każdego dwóch wierszy wyrazów z równobrzmiącemi końcówkami. Miałam wprawdzie zamiar spróbować, czybym nie mogła naśladować szczególnie pięknego, lecz iście polskiego rytmu oryginału; lecz mniemałam, że wytworzyłyby się ztąd rodzaj monotonnego „sing-song,“ nieznośnego w przydłuższym poemacie, jakkolwiek nie rażący w poemacie krótszém.

¹⁾ Red. wyznaje, że ani tego zdania, ani takiej składni zrozumieć nie jest w stanie.

Można łatwo spostrzedz to w następującej próbie przekładu czterech wstępnych wierszy „Pana Tadeusza“ angielską miarą, podobną do oryginału:

„O Litwa, my country, like health that is flown,
Thy value he knoweth who lost thee alone.
To-day in its brightness thy beauty I see,
I see it, and sing of it, longing for thee.“

Myślałam także, inną razą, użyć miary bohaterkich poematów Scotta, któraby, mniemam, nie źle odpowiadała przedmiotowi i ogólnemu duchowi „Pana Tadeusza;“ metoda ta wabiła mnie mocno, jako łatwa, gładko płynąca, przyjemna zarówno w czytaniu, jak i w pisanii; lecz zamiar dosłownego przekładu przeważył i postanowiłam przyjąć miarę nierymowaną Shakespeare’a i Milтона.

Przystępuję teraz do zarzutu użycia wyrazu „whiskers“ dla przetłómaczenia polskiego wyrazu „wąsy;“ tu jednakże pobieżna znajomość wzorów literatury angielskiej, nie mówiąc o języku współczesnego towarzystwa angielskiego, dowodzi, iż wyrażeniem tém oznaczano pierwotnie włosy rosnące na górnej wardze, nie zaś rosnące wzdłuż policzków; to bowiem ostatnie zastosowanie wyrazu jest nowożytném. Przytém potrzeba wspomnieć tylko o „whiskers of a cat,“ które, jeśli się nie mylę, i w polskim języku zowią się „wąsami kota.“ Jużci ja z pewnością nie wyobrażałam sobie szlachty polskiej staréj daty z faworytami „modelu Dundreary;“ wspomnieć wszakże winnam, tak ze względu na samą siebie, jak i na p. Naganowskiego, który mi tak uprzejmie pomógł w przygotowaniu przekładu, że i ten punkt był między innymi przedyskutowany przez nas i ostatecznie zdecydowany.

Co do tytułu dzieła „Master Thaddeus,“ nie odpowiada może całkowiec „Panu Tadeuszowi,“ w pełném znaczeniu słowa „Pan;“ lecz bodaj można znaleźć tytuł angielski trafniejszy, lub choćby ogólniejszego znaczenia. Ani téż nie podsuwa pani Wentz’l odpowiedniejszego słowa. Jeden tylko z dwóch innych był możliwy: Sir lub Lord. Pierwszy z nich był po wszystkie czasy oznaką rycerstwa, później także „baronetów,“ a ztąd nader ograniczonego użytku. „Lord“ byłby zarówno błędnym, ile że ogranicza się do tytułowania parów W. Brytanii (choć przez grzeczność używany jest przy nazwiskach synów wysokiej szlachty)—warstwy, której pozycja i stanowisko socyalne różnią się wielce od pozycyi „szlachty“ polskiej, lub którejbądź innej. Tytuł „Master“ ostatniemi czasy zepsuty na „Mister,“ choć dzisiaj zastosowany w swej formie pierwotnej tylko do chłopców—był, za czasów Elżbiety powszechną oznaką każdego męża nie-rycerza i nie-para, zarówno synów szlachty, jak mężczyzn z klasy średniej czyli mieszczańskiej. Nie sędzę, by „Master Thaddeus Soplica“ brzmiało gorzej, aniżeli „Master Philip Siduey,“ później Sir Philip, który to —niepotrzebuję tego bodaj przypominać czytelnikom „Biblioteki“—był siostrzanem hrabiego Leicester. A już „Pan Tadeusz,“ nie będąc

ani synem angielskiego para, ani—o ile wiemy—nie mając szczęścia otrzymać zaszczytu rycerstwa z rąk monarchy angielskiego, nie mógł, przybywając do Anglii, sprzeciwić się, by go nie tytułowano mianem, które z nim dzieliłoby wielu najszlachetniejszych anglików.

Na zakończenie powiem tylko, że jakiegokolwiek błędy, z niewiedomości lub niedbalstwa wkradły się do przekładu, i jakkolwiek mogłam się okazać niezdolną do wyrażenia myśli Mickiewicza w sposób, w jakiby on sam je wyraził, gdyby był pisał po angielsku—nie było to z braku uznania, lub serdecznego podziwu dla wielkiego poety, którego dzieła pierwsza niemal miałam zaszczyt wprowadzić do mej ojczyzny. Przecież i dziwić się mało kto może, iż praca—którą się zajmowałam w różnych porach i wśród różnych okoliczności—wykończona jest z niejednostajną doskonałością; dla tego też widzę z przyjemnością, że sąd pani Wentz'l zgadza się z moim w pewnych ustępach przez nią pochwalonych, w tych mianowicie, w których najmniej czułam trudności i nad którymi pracowałam z największą łatwością i zapalem. Jeżeli nadto rezultatem moich starań będzie zachęcenie moich więcej utalentowanych rodaków do rozpoczęcia studyów nad wielkim moim pierwowzorem—to praca moja nie będzie bezowocna, ani nawet błędy moje nie pozostaną bez pożytku, ile że wskażą przyszłym i zdolniejszym tłumaczom, jak ich uniknąć.

Londyn, 24-go stycznia 1886 r.

Maude Ashurst Biggs.

ODPOWIEDŹ.

Żałuję mocno, że sąd mój o tłumaczeniu poematu Mickiewicza przez Szan. Panią, wydał się Jój niezwykle surowym. a pogląd mój na zadanie tłumaczenia z jednego języka na drugi nader wymagającym. Żal mój jest tém dotkliwszy, że jeżeli kto, to zapewne niżej podpisana, czytając kilkakrotnie przekład, rozbiegając ustępy, które ją więcej uderzały, miała sposobność ocenić zasługę olbrzymiej sumiennej pracy tłumacza. Po dojrzałym też dopiero namyśle i po rozważnym przestudyowaniu dzieła, ośmieliłam się zrobić pewne uwagi, wynikające z poglądu mojego na zadanie tłumaczenia arcydzieł jednego języka na drugi. Zasługi literackiej tłumaczenia w ogóle szukałabym głównie w tém, aby tłumaczenie stanowiło prawdziwe z bogactwem literatury, do której wprowadzamy utwory obcego ducha, uczucia obcego serca, wyobrażenia obcej fantazyi. Słowa, które z tego punktu widzenia napisałam, dyktował mi przedewszystkiem szacunek dla pracy sumiennej i przeważnie szczęśliwej, za jaką tłumaczenie Sz. Pani uważam, a obok tego nie opuszczała mnie miłość dla oryginału, który w kilku szczegółach w tłumaczeniu Jój nieco ucierpiał tak, że mógł się cudziemcowi przedstawić w świetle pod mylnym kątem złamania. Dla

tęj przyczyny, w dowód uznania pracy Sz. Pani i odwzajemniając się za Jój uprzejmą polemikę, dowodzącą wyższego umysłu, pragnęłabym choćby kilku słowy objaśnić zarzuty, które stały się powodem korespondencyi niniejszėj.

W tomie I na str. 66, zaznaczyłam niejasność w przekładzie wiadomego wiersza:

„The dogs, as mad they wip about the court,
„Then haste, and clap the collars on their necks.“

Z odpowiedzi p. B. widzę, że tak jak ona oryginał rozumie, słusność byłaby po jój stronie, bo widocznie przez zaimek *they* nie zamierzyła wskazać psów, ale coś innego, może szczwaczów; lecz Mickiewicz mówi:

„Psy jak szalone cwałem śmigają po dworze,
„Potém biegą i kładą szyję pod obroże.“

Do czegoż mamy więc odnieść ten zaimek *they*? Jeżeli p. B. jeszcze raz zechce porównać oryginał z przekładem, wtedy zrozumie zapewne, o co mi chodziło.

W tomie II str. 247, wiersz 6-ty od dołu jest: „to go round the house“ nie zaś *about*; temu ostatniemu bowiem z pewnością nie ośmieliłabym się robić żadnego zarzutu. Zajrzałam raz jeszcze do tekstu angielskiego i znajduję najwyraźniej *round*. Może to być pomyłka zecera tém prawdopodobniejsza, że, jak się dowiaduję z listów z Anglii do „Kłósów“¹⁾, korekta tłómaczenia p. Tadeusza była nader utrudnioną.

Co zaś do faworytów zamiast wąsów, o które oprócz zupełnie słusnej i nadzwyczaj delikatnej odpowiedzi Sz. Pani, wojował już ze mną poprzednio recenzent „Kuryera Warszawskiego“ ze „słownikami“ w ręku, to kwestya ta potrzebuje cokolwiek dłuższego wyjaśnienia. Najpierw nie przeczę wcale, że „*whiskers*“ może w przytoczanych słownikach być objaśnianém w wiadomy już sposób, lecz dziś w Anglii oraz na początku bieżącego stulecia, (w którym to czasie akcja p. Tadeusza się rozgrywa) wyraz *whiskers* oznaczał i oznacza tylko faworyty, bo na wąsy, nie noszone przez żadnego Anglika zawodu cywilnego, z wyjątkiem osób służących w wojsku, nie było téż nazwy angielskiej. Zachodzi zatem pytanie, co tłómacz miał na celu, przekładając poemat Mickiewicza; sądzę, iż zaznajomienie swoich współziomków z poematem Mickiewicza, przy zachowaniu jego barwy charakterystycznej równie pod względem epoki, zwyczajów i obyczajów jak i pod względem ducha pojęć i wyobrażeń ówczesnych. W tym celu przekład winien być jaknajwierniejszą kopia—jeśli mi wolno uciec się do porównania sztuki malarskiej z poezją, wskazanego na początku pisma p. Biggs. Przeciętny atoli czytelnik angielski nawet

1) Patrz Kłósy n. 1079.

ten naturalista, który słyszał o whiskers u kotów, nie będzie szukał w dziejach języka angielskiego rozwoju znaczenia leksykalnego wyrazu whiskers; ale rozumieć go będzie w znaczeniu powszechnie i jedynie dziś używaném. Ogół cudzoziemców z małemi tylko wyjątkami, zbyt słabe ma wyobrażenie o naszej historii i literaturze, a cóż dopiero o strojach i obyczajach, aby przy tym wyrazie mógł się domyśleć, iż powinien rozumieć ten wyraz w znaczeniu inném, aniżeli w tém, w którym jest codziennie używanym. W obec takiego stanu rzeczy nie widzę powodu, dla któregooby nie można było położyć obcego wprawdzie, ale każdemu anglikowi dobrze znanego wyrazu *mustachio*?

Co zaś do tytułu, któremu poważyłam się zarzucić pewną niewłaściwość, to czytelnik zrozumie od razu, iż rzecz dzieje się na początku tego wieku, razić go więc będzie, o ile się domyślam owo „Master,“ które jak p. Biggs sama wyjaśnia, miało znaczenie poważne daleko dawniej, bo za czasów Elżbiety.

Upoważniona przez Sz. Autorkę ośmielam się wskazać sposób w jaki możnaby zupełnie uniknąć nazwy „master,“ kładąc tytuł taki: *Thaddeus — or the last foray in Lithuania etc.*

Tych kilka słów odpowiedzi na uprzejme uwagi p. Biggs sądziłam się być winną zarówno pismu, które mi powierzyło recenzją tłumaczenia „P. Tadeusza“ jak i Sz. Autorce, przebywającej chętnie w strapionej krainie naszego ducha poetycznego, autorce, która poważną swą pracą, odznaczającą się wielu zaletami, zyskała sobie powszechne między nami uznanie, jakiego jej i w literaturze angielskiej z serca życzyć się ośmielam.

Izdebno d. 19-go marca 1886 r.

Marya Wentz'l.

II.

Niemieckie Towarzystwo historyczne W-go Ks. Poznańskiego przesało Redakcyi Biblioteki Warsz. pod dn. 12-go marca r. b. wyciąg z posiedzenia swego z dnia 10 listopada 1885 r., na którym przewodniczący dr. Endrulat odpierał zarzuty uczynione przez p. Callier przeciwko rozprawie dr. Warschauera. „O cechach w Poznaniu w wiekach średnich,“ drukowanej w 1-ym zeszycie tegoż Towarzystwa niemieckiego. Dr. Endrulat twierdzi, że p. Callier, ogłaszając referat swój w Dzienniku poznańskim i w Bibliotece Warszawskiej w zesz. za mies. październik 1885 r., podał (str. 155) fałszywie treść tej rozprawy i powoływał błędnie ustępy, które na poparcie swoich wywodów przytaczał, jakoby „główném zadaniem rozprawy dr. Warschauera było dowieść, że już za polskich czasów było w Polsce wiele lokacyi na prawie niemieckiem, które oczekiwały tylko upadku państwa

polskiego, ażeby zadokumentować odwieczną niemieckość swoją.“ Dr. Endrulat twierdzi, że artykuł dr. Warschauera mówi tylko o walce, jaką prowadziło państwo polskie przeciwko prawu niemieckiemu. Oprócz tego potępia dr. Endrulat domysły p. Callier'a co do wniosku, do jakiego ma dojść dr. Max Beheim-Schwarzbach w artykule swoim „Aus südpreussischer Zeit:“ „że ponieważ najskuteczniejszą zasłoną jest uderzenie, rządzić polakami trzeba maczugą... (str. 156), uważając podobny domysł za sąd zbyt płaski (Plattheit), żeby go można głosić bezkarnie w gronie Towarzystwa naukowego, jakim jest Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu.

Czytelnicy Bibl. przypominają sobie, że wiadomość podana przez Bibl. Warsz. w paźdź. 1885 r. donosiła o sprawozdaniu, które czytał p. Callier na posiedzeniu Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu o treści 1-go zeszytu Niemieckiego Tow. histor. w Poznaniu. Red., nie posiadając wzmiankowanej publikacji niemieckiej, nie może rozierać zasadności poglądu sprawozdania p. Callier. Gdy jednak sprawa ta, po przeprowadzeniu polemiki w Poznaniu, znalazła objaśnienie w oświadczeniu przewodniczącego p. Wład. Bentkowskiego na posiedzeniu Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu z dn. 17-go listopada (zob. Dziennik poznański nr. 264), przeto się z nią niniejszém łączymy. P. Bentkowski oświadczył, że Tow. nie komunikuje urzędowych sprawozdań prasie, ale jest jój wdzięczne za tę usługę publicystyczną, gdy obznajmia publiczność z pracami Towarzystwa, i nie może żadnym sposobem wpływać na to, aby sprawozdawcom odmówić prawa osobistych poglądów i wniosków, objawia jednak prośbę do sz. Referentów, aby sprawozdania swoje przedstawiali w takiej formie, któraby nie pozostawiała najmniejszej wątpliwości co do obiektywnego referatu o dyskusyi, które się na posiedzeniach toczyć zwykły. Tę samą prośbę znosi i Redakcja Bibl. do życzliwego swego Referenta.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

— 336 —

Kilka słów o stosunkach publicznych w Europie. — Wzburzenia socjalistyczne we Francji, Anglii i Belgii. — Zachmurzony horyzont polityczny z powodu niepewności stosunków na Wschodzie. — Dalszy ciąg robót anti-ekonomicznych i anti-społecznych w Prusach, oświetlonych przez smutne dla nas dane statystyczne o stosunku polskiej własności ziemskiej do niemieckiej w W. Ks. Poznańskim i w Prusach zachodnich. — Ostrzegający głos Ferdynanda ks. Radziwiłła w Izbie panów dnia 27-go lutego 1886 r. — Przyczyny fałszywej opinii prasy europejskiej o zasadniczych ideach naszego życia społecznego. — Ruch umysłowy: I) w Akademii umiejętności w Krakowie: a) Rozprawa St. Smolki: „Projekta reformy wojskowej i skarbowej za Zygmunta I-go; b) Stef. Szolc-Rogozińskiego: „Rysy charakterystyczne narzecza murzyńskiego Bakwiri w górach Kameruńskich;“ c) Posiedzenie sekcji antropologicznej; d) P. Kawczyński: „Poszukiwania rytmiczne.“ II) w Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu: a) ks. prałat Likowski: „O przygotowaniach do unii brzeskiej (dokończenie), b) ks. kanonik Korytkowski: „O księciu Floryanie Kazimierzu Czartoryskim, arcybiskupie gnieźnieńskim († 1674). — Konkurs króla szwedzkiego z dziedziny literatury semickiej. — Otwarcie nowej drukarni uniwersyteckiej w Krakowie. — Towarzystwo geograficzne w Krakowie. — Z Towarzystwa zachęty sztuk pięknych: Obraz Munkaczego „Chrystus przed Piłatem.“ — Z teatru (Mozera „Porucznik Szykowski“ i „Wojna podczas pokoju;“ Przybylskiego „Pst.“ Tomaszewicza „Za późno“). — Wynik konkursu imienia Wojciecha Bogusławskiego. — Spółki spożywcze. — Z Tow. popierania przemysłu i handlu: narady rolników, młynarzy. — Sprawozdanie I-sze Tow. ogrodniczego w Warszawie. — Lecznice w Warszawie.

Z wysokości tronów, z krzeseł ministeryalnych, z ław parlamentów i z biur prasy rządowej dolatują nas bezustannie głosy o potrzebie ugruntowania rządu silnego, trwałego. W imieniu monarchów równie jak i w imieniu republik powtarza się to hasło niby dla zaspokojenia strwożonych społeczeństw, które spostrzegają, że zamierzenia wielu rządów, wynikłe nie z naturalnego rozwoju danych stosunków historycznych i ekonomicznych, nie z kompetencji właściwej państwu władzy rządowej; ale z pobudek filantropijnych, z wyobrażeń liberali-

zmu kosmopolitycznego, skojarzonego z socjalizmem kosmopolitycznym, z pojęć nowęj szkoły ekonomicznęj per abusum przybierającęj miano szkoły narodowęj; że, mówię, zamierzenia te prowadzą koniecznie do nihilizmu. Trzeba bowiem uważać za najłudniejszą chimerę, gdy mąż stanu sądzi, że można ugruntować rząd silny na terażniejszęj drodze postępowania, gdy się popiera idee, które nie dopuszczają rządu trwałego, gdy się łączy ze stronnictwami, które dążą do gwałtów, które bez skrupułu depczą świętość zobowiązań monarszych, i z tém się nawet nie tają, jak np. ks. Bismarek, który za pomocą prusaczynny burzacy Niemcy, zamąca spokój ekonomiczny sąsiadów, pęta swobodę ruchu międzynarodowego w dziedzinie kapitału i pracy! Czy to chodzi o sprawy religii i kościoła, czy o organizacyą armii, czy o ustalenie budżetu (np. we Francyi), ministrowie nie cofną się przed transakcyą z żadnęm stronnictwem, choćby najradykałniejszém, byle tylko sklecić większość ministeryalną, nie cofną się przed związkim z tymi, którzy otwarcie wypowiedają wojnę idei sprawiedliwosci, zba-wiennym wpływowi religii, rodziny, gminy, interesom autonomii lokalnęj, zapominając o tém, że pozwalając doktrynerom na wszystkie ich teorye, nie podobna ufundować niczego, coby jakakolwiek trwałość obiecywać mogło. Wśród tęj roboty nad wytworzeniem większości ministeryalnęj zużywają się wszystkie sprężyny żywotne narodu, wyczerpuje się siła wewnętrzna społeczeństw, pojęcia moralności zacie-mniają się coraz bardziej, tępiją, słabną. Wytworzona sztucznyim sposobem większość wlece się przez czas niejaki; lecz dezorganizacya postępuje swoją drogą i wybucha lada chwile, podobna do niespodziewanego wypadku tragicznego, jak np. ów morderczy wybuch socyalistyczny w Decazville, rabunki w Londynie, w Leodyum i w innych miejscowościach Belgii, oświetlające złowrogim światłem mordów, rozboju i pożogi stan moralny społeczeństw, któreśmy przez teorye filantropijne i przewrotne doktryny ekonomiczne, sami przez długi czas dopomagali wytworzyć.

Przed miesiącem nie spodziewał się nikt, że jedna z najważniejszych kwestyi dla Europy, wywołana przez ostatnie wypadki na półwyspie Bałkańskim, nie przestanie dotychczas niepokoić państw europejskich. Tymczasem widnokrąg życia publicznego z tęj strony nietylko się nie rozjaśnia i nie wypogadza, ale podnoszą się wciąż na nim nowe chmury i coraz bliższe straszą nas gromy. Kwestya wschodnia, przebudzona antagonizmem ludów na półwyspie Bałkańskim, nie umilkła dotychczas. Grecya, rujnując się na uzbrojenia, zostaje głuchą na monita areopagu mocarstw europejskich i wyczekuje z bronią na ramieniu chwili sposobnej do rozpoczęcia akcji wojennęj na razie z Turcyą; lecz nie tai się z obawą, że walka, rozpoczęta z Turcyą, musiałaby się kończyć zapasami z ideą panowania narodowości słowiańskich na całym półwyspie Bałkańskim. Transakcyja pokojowa Serbii z Bułgaryą, dokonana teoretycznie w Bukareszcie, nie zamknę-

ła podwoi dla antagonizmu przeróżnych wpływów, które z nadmiaru troskliwości o racjonalny rozwój interesów narodowych ludów słowiańskich na półwyspie, nie godzą się na poglądy i zasady, podług których strony interesowane pragną ułożyć sprawy swoje domowe i ościennie. Wśród tej sytuacji wystąpiła obok dawniej doktryny federacyi ludów bałkańskich, nowa idea ligi militarniej narodów słowiańskich z Turcyą ¹⁾, na której oparła się ugoda pomiędzy Aleksandrem ks. bułgarskim, a W. Portą. Idea ta wydała się jednak gabinetowi petersburskiemu obrazą zasad, na których podstawie prowadzono walkę krzyża z półksiężycem. Otwarte zatem veto gabinetu petersburskiego spotęgowało się ostatecznie w różnicy poglądów dyplomacyi co do formy, pragnącej zachować stypulacye traktatu berlińskiego, i co do terminu przyznać się mającej władzy panującego—księciu Battenberskiemu, jako panu Bułgarii i Rumelii. Czarna ta chmura nie znikła z widnokregu dzisiejszych konstelacyi politycznych w Europie!

Anglia poskromiła buntownika w Indyach w sposób tak doraźny, żeby go się nawet Prusak ani wieku XIII-go, ani XIX-go, nie powstydzik. Trudniejsze do rozwikłania pozostają jeszcze sprawy egipskie. W kwestyi najżywotniejszej dla dalszego rozwoju idei państwowej W. Brytanii w Europie, mianowicie w kwestyi irlandzkiej, zdaje się, że gwałtowna niesprawiedliwość zaborców Zielonej wyspy, nie mogąca się ulegalizować faktem tyłowiecznym, będzie nareszcie musiała kapitulować przed wytrwałymi obrońcami nieprzedawnionych praw narodu irlandzkiego.

Francya, niepokojona przez jak najradykałniejsze doktryny, wysiła swój dowcip na wyszukiwanie z przeszłości czegoś, coby jeszcze zburzyć należało. Nie milkną głosy, dopominające się (czyby za przykładem państwa Pruskiego?) panowania praw wyjątkowych. Radykalizm grozi potomkom rodzin panujących banicyą, pozbawieniem ich opieki prawa, na którym się Rzplta gruntuje, wojuje z konkordatem, który jest jeszcze jedyną, jakkolwiek bardzo słabą tarczą kościoła katolickiego we Francyi. Doktrynerzy łamią sobie wśród rozpraw budżetowych głowę nad przyczynami i nad doniosłością cholery podczas akcji w Tonkinie, a inteligencya cieszy się rezultatami badań Pasteura, leczącego skutecznie wściekliznę!

Rosya i Austrya, wolne od aktualnych kłopotów zagranicznych, prowadzą swoją robotę państwową w obranym raz kierunku, mianowicie: na drodze potęgującej się coraz bardziej centralizacyi i przychodzącej do coraz większej ufnosci w siebie federacyi autonomistycznej krajów,

¹⁾ Znaczącem zjawiskiem tego poglądu jest broszura serbskiego męża stanu Macieja Bana (pod. tyt. „Solution de la question d'Orient par Mathias Ban. Belgrad. Imprimerie d'Etat, 1885), z której treścią nie omieszkamy zaznajomić czytelników Biblioteki w jednym z najbliższych zeszytów.

tworzących z pewną dumną samowiedzą najsilniejsze organa potężnego państwa.

Na półwyspie Pyrenejskim odzywają się nieśmiało reminiscencye zwyciężonych niedawno doktryn i pretendentów. Północ i południe, Skandynawia i Włochy, porządkują swoje sprawy wewnętrzne i nie budzą szerszego niepokoju.

Prusy nie potrafiły się jeszcze uspokoić w swojej polonofobii, mimo przedstawionego komisjom materiału statystycznego, dowodzącego zmniejszania się przestrzeni polskiej własności ziemskiej. Z zestawienia, przesłanego przez rząd komisji, wynika, że: Wielkie Księstwo Poznańskie liczy 2,053 dóbr większych (włącznie z dobrami koronnemi, kościelnemi i t. p.), obejmujących 1,584,297 hektarów powierzchni i to 203,855 hekt. (czyli 13 procent) dóbr należących do korony, kościołów i innych korporacji i 1,380,342 hekt. (czyli 87 procent) posiadłości prywatnej.

Obwód rejencyi kwidzyńskiej liczy 639 dóbr z 550,828,45 hekt. powierzchni i to 130,175,62 hekt. (czyli 24 procent), należących do korony i t. d., a 420,651,83 hektarów (czyli 76 proc.) własności prywatnej.

Obwód rejencyi gdańskiej liczy 448 dóbr z 315,852,13 hektarami powierzchni i to 113,972,13 hekt. (czyli 36 proc.) własności rządowej, kościelnej i t. d., a 201,880 hekt. (czyli 64 proc.) własności prywatnej.

W trzech tych dzielnicach mamy ogółem 3,140 dóbr z 2,450,977,58 hektarami powierzchni, z których 458,103,75 hektarów (czyli 18 proc.) należą do rządu i t. d., a 2,002,873,83 hekt. (czyli 82 proc.) do prywatnych właścicieli.

Toby były cyfry ogólne. Przypatrzmy się teraz, jak wygląda stosunek własności prywatnej polaków a Niemców.

W Wielkiem Księstwie Poznańskiem: Liczba właścicieli polaków wynosi 649 — Niemców 1010. Polacy posiadają 656,479 hekt. (42 proc.) — Niemcy 729,899 hektarów (45 proc.). Posiadłość niemiecka przewyższa polską o 67,420 hekt. czyli o 3 proc.

W obwodzie rejencyi kwidzyńskiej: Liczba właścicieli polaków wynosi 116 — Niemców 523. Polacy posiadają 84,115,23 hekt. (15 procent) — Niemcy 336,536,59 hekt. (61 procent). Posiadłość niemiecka przewyższa polską o 252,421,36 hekt. czyli o 46 proc.

W obwodzie rejencyi gdańskiej: Liczba właścicieli polaków wynosi 42 — Niemców 326. Polacy posiadają 18,468,48 hektarów (6 procent), Niemcy 183,411,5 hekt. (42 proc.). Własność niemiecka przewyższa polską o 164,943,04 hektary, czyli o 52 procent.

Ogółem w tych trzech dzielnicach jest 807 właścicieli polaków, posiadających 759,062,71 hektarów czyli 31 proc. powierzchni, a 1,859 właścicieli Niemców, posiadających 1,243,847,11, czyli 51 procent po-

wierzchni; tak więc niemieckie posiadłości większe są od polskich o 484,784,40 hekt., czyli o 20 procent.

Wymalowany przez administracyą pruską na ścianie granicy wschodniej zły duch „Zalewu polskiego,” gotującego niechybną ruinę słabnącego germanizmu, mimo udowodnionego przez statystykę korzystnego dla niemieczyzny położenia, nie tylko nie znika; ale sroży się już systematycznie w komisjach parlamentarnych i wymyśla w prasie rozmaite sztuczki, na które w dawniejszych epokach zawsze łapali się polacy, bez względu na źródło, z którego płynęły, choćby ono jadem śmiertelnym było zatrute. Służalcze pióro „ *pewnego poważnego obywatela z Wołynia*“ w „Gazecie szlązkiej,” podniesione za pomocą funduszu gadzinowego do znaczenia publicystycznego w broszurze, E. von Reile („Die Zukunft der Polen und ihre Politik.“ Berlin, 1886, str. 26), ofiaruje polakom za zrzeczenie się idei rewindykowania dla mającej się przez Bismarcka wskrzesić Polski, dawniejszych ziem polskich na rzecz prusaczyzny; ofiaruje, mówię, w zamian za to Polskę odepchniętą od Bałtyku, ale posuniętą do morza Czarnego! Reputacya naszego rozumu politycznego — w przeszłości w ogóle nie wielka niestety! — musiała upaść w ostatniej epoce już do najniższego poziomu, skoro w taki sposób można rozprawiać publicznie o podobnych bredniach! Przepraszamy za takie wyrażenie czytelnika Biblioteki; autorowie zaś tak niecnym piśmideł nie wezmą sobie tego za urazę. Oni są zapłacenil

Niemcy szczytą się i poniekąd słusznie gruntownością i logicznością swoich prac naukowych, teoretycznych; ale w stosunkach realnych grzeszą łatwo niekonsekwencyą. Jeszcze nie przebrzmiało echo mów kanclerza i jego popleczników w parlamencie, sztydzących z nauk Hefsterów, Bluntschlich i i., gdy z tój samej trybuny patryoci pruscy wzywają kilkunastu polaków, zasiadających w Izbie pruskiej, niby stronę równorzędną kontraktującą do jakiegoś nowego układu, mającego wyrażać abdykacyą z dotychczasowych ich nadziei. Podstęp tak nikczemny dąży do tego, aby skompromitować reprezentantów polskich moralnie, a ośmieszwszy ich w oczach Europy, oskarżać ich potem z całą czelnością, jako burzycieli porządku publicznego, ustanowionego przez traktaty. Nawoływania atoli tego rodzaju — z jakkolwiekby one wychodziły — pozostać muszą bez odpowiedzi, ponieważ każdy światlejszy mąż stanu pojmuje, że bez względu na stronę formalną takiej manifestacyi, pozostałaby ona musiała bez wszelkiego znaczenia realnego i praktycznego, jak tego dowodzą następujące konsyderacye, które w formie zapytania stawiamy sąsiadom naszym z nad Szprei.

Czy prusacy wierzą w trwałość stypulacyi traktatu frankfurckiego, zawartego w imię Trójcy Ś-tój między współczesnymi państwami, według których Francya zrzekła się na wieczne czasy Alzacyi i Lotaryngii? Czy zaprzysiężony i ratyfikowany ten traktat stłumił i zniszczył w umysłach i sercach, w duszy i wyobraźni wszystkich tera-

źniejszych i przyszłych pokoleń francuzkich wszelką myśl odwetu? Czy ten traktat przyłożył na wytworzone dziś stosunki pieczęć, której nawet przy straży przeróżnych bestyi apokaliptycznych i przy czujności żandarmerii pruskich, żadne wypadki nigdy nie naruszą, nie złamią? Wątpimy! Wątpliwości atoli naszćj nie podnosimy do znaczenia zasady, lekceważącćj świętość zobowiązań międzynarodowych, jak to czynią pruscy mężowie stanu; ale opieramy ją na nauce dotychczasowych dziejów ludzkości.

Czy odrodzenie się polityczne ludów słowiańskich na półwyspie Bałkańskim ma swoje źródło w braku takiej manifestacyi dyplomatycznej, lub czy jest raczćj wynikiem ogólnej konstelacyi politycznej, partej przez gabinet petersburski?

Czy dzieło Cromwella stało się przez to trwalszćm, że zostało przeprowadzone w sposób szydzący ze wszystkich praw przyrodzonych? Czy w obec tego demagał się ktokolwiek od irlandczyków takiej abdykacyi praw przyrodzonych, abdykacyi, nie mogącćj mieć żadnego znaczenia dla pokoleń późniejszych?

Nie żądajcie zatem cynicy wieku XIX-go manifestacyi, którćj historia nie pozwala ufać. Traktaty, jakkolwiek przez gwałcicieli sprawiedliwości deptane, stanowią zawsze ważne momenta prawa międzynarodowego; gdy tymczasem deklaracya garstki reprezentantów poddanych pruskich narodowości polskiej, uciśnionćj, ściganćj przepisami wyjątkowymi, broniącćj w spokojnćj pracy swćj indywidualności narodowćj—nie wejdzie nigdy do Corpus juris gentium! Użyto by jćj zapewne tylko za argument, dowodzący obłudy, hipokryzyi, anarchii i t. p. intryg polskich. Społeczność polska ma unormowane stosunki swoje w traktatach międzynarodowych, a prawodawstwa państw odpowiednich zapewniły jćj na równi z resztą poddanych bezpieczeństwo własności, religii i języka; zostawcie ją na tym legalnym gruncie, a nie turbujcie jćj spokoju przepisami wyjątkowymi. Szernierze polityczni, występujący na mównicy parlamentów i w prasie w obronie drakońskich projektów ks. Bismarcka, uciekają się lekkomyślnie, ale skwapliwie do reminiscencyi historycznych; a równocześnie zamykają tendencyjnie oczy na zmianę położenia i opinii publicznej społeczeństwa polskiego, jaka się w umysłach polskich dokonała po ostatnićm gwałtownćm wstrząśnieniu w kraju i to właśnie dokonała w chwili, gdy pod żelaznym sterem ks. Bismarcka prusaczyna najbardziej się wzmogła (w czasie od 1866 do 1870). Na tę stanowczą ewolucyą opinii umyśłów polskich w owćj chwili zwrócił publicznie uwagę rząd i reprezentantów pruskich Ferdynand ks. Radziwiłł na posiedzeniu Izby panów w dniu 27-go lutego r. b., zaznaczając, „że w owym orzeźwiającyćm procesie doskonalącćj się opinii narodu polskiego wyrabiła i utrwaliła się zasada, według którćj każdy polak powinien lojalnie spełniać swoje obowiązki względem państwa, do którego politycznie należy, że tylko na tym gruncie powinien dalej pracować około utrzymania i rozwoju tych skarbów i tego dobra narodowego w granicach tego ustroju

duchowego, którego żaden naród wyrzec się nie może. Wielka ta chrześcijańska zasada w znaczeniu konserwatywnym stanowi ów przełom, stanowi odtąd ową przewodnią ideę dla wszystkich części dawniej Polski, jak daleko tylko sięga ludność polska w granicach trzech mocarstw, które posiadają części dawniej Polski. Jeżeli pod wpływem tego konserwatywnego rozwoju okazały się i w Prusach wśród ludności polskiej pocieszające postępy w dziedzinie kultury w ogóle, na polu sztuki, w krainie nauk i w objawach społeczno-narodowego życia, to niegodnym jest tak wielkiego narodu, jakim są Niemcy, ażeby miał nieżycziwie temu rozwojowi się sprzeciwić i usuwać tę pokojową pracę narodową grunt pod nogami przez wyjątkowe przepisy prawne. Rozprawiać o politycznych granicach państwa, mówi dalej Ferd. ks. Radziwiłł, nie mamy żadnego prawa ani obowiązku, bo do tego nie posiadamy najmniejszej kompetencji; ale to jest naszym powołaniem i do tego zmierzają wszystkie nasze usiłowania w tej wielkiej walce duchów, która wre w granicach państwa pomiędzy chrześcijaństwem a nowoczesnym pogaństwem, abyśmy także zajęli nasze stanowisko w tym boju pod chorągwią prawdy, wolności i prawa... obok naszych współobywateli narodowości niemieckiej. Spełniając w sposób najlojalniejszy nasze obowiązki względem Prus... toczyć będziemy tę walkę... Spodziewamy się zaś, że nikt z Członków rządu ani żaden z Was, Panowie tej wysokiej Izby, nie zechce zaprzeczyć temu, że jeżeli wykończenie budowy konstytucji państwa, ma się opierać na podwalinach konserwatywnych, co za warunek konieczny uważamy, to nie powinniście lekceważyć a tym bardziej nie powinniście się pozbawiać tych pożądanых cegiełek, które możecie znaleźć w ludności polskiej w narodowym jej ustroju, opierającym się na gruncie zasad chrześcijańskich¹⁾."

Pogląd ten nie nawrocił jednak potomków krzyżackich, zapędzonych w nienawiści żywiołu polskiego, bo nawet stanowisko i znaczenie Galicyi, będącej dziś, w skutek polityki przez ks. Radziwiłła wskazanej, jednym z silniejszych filarów monarchii habsburskiej, nie potrafiło ich przekonać o zasadności wywodów powyższych.

Nie tylko wrogie nam plemię germańskie w Prusach; ale i inne narody Europy zachodniej nie mają jasnego pojęcia o teraźniejszym położeniu narodu polskiego, ani też gruntownej znajomości o istotnym nastroju umysłów narodu polskiego; bo opinia o tym wytwarza się zazwyczaj w sposób sztuczny, tendencyjny, stroniący od poważnego, przedmiotowego rzeczy rozbiór. Na wytworzenie się atoli tej jak najdziwaczniejszej o nas opinii europejskiej wpływają nie tylko wrogowie nasi, czychający na naszą zagładę; ale w znacznej

¹⁾ Stenographische Berichte. Herrenhaus. Sechste Sitzung d. 27 Febr. 1886, str. 87, 88.

części i my sami. Trafne co do tego uwagi znajdujemy w korespondencji z Londynu w ostatnim n-rze „Kraju.“

Nieprzychylnie i wrogie nam wpływy pracowały od dawna i pracują bez wytchnienia w prasie niemieckiej, francuskiej i angielskiej w dwojakim kierunku, mianowicie: a) jeżeli sięgają sfer wyższych, to starają się zespolić polskość z rewolucją, z anarchią międzynarodową, z warcholstwem, wskazując nawet na sztandary komuny paryżkiej; b) jeżeli zaś mają przystęp do warstw niższych, albo jeżeli w danej chwili kokietują z liberalizmem i radykalizmem kosmopolitycznym albo z socjalizmem niemieckim, francuskim lub z nihilizmem rosyjskim, to przedstawiają społeczeństwo polskie współczesne jako przestarzały, zacofany, sentymentalny czynnik ultramontański arystokracji, będącej pierwszym agentem we wszystkich robotach, krępujących żywszą energią rozwoju elementarnych sił narodu.

Dyplomacya oficjalna i nieoficjalna, rozpisując się za pomocą usługnych skrybentów w organach publicystyki europejskiej tych lub owych dążeń i międzynarodowych kwestyach bieżących, nie może się wstrzymać od obryzganja błotem tych, których całą winą jest to, że wzrosłszy wśród pracy cywilizacyjnej wieków na podstawie kultury chrześcijańskiej obok narodów ucywilizowanych, pragną i nadal w własnym pozostać gruncie. Słyszymy tedy z ust cudzoziemców dystyngowanych np. takie opinie o nas: „nie wszyscy polacy są nihilistami, bo są między nimi ultramontanie i arystokraci, tak jak nie wszyscy Niemcy są socjalistami, Rosjanie nihilistami, Anglicy feniensdami, Francuzi komunistami!“

Masę tułających się po obczyźnie, a mianowicie po stolicach państw europejskich, Polaków, z wyjątkiem bardzo szczupłej liczby z wyższm wykształceniem, stanowią albo bezmyślni, za sybarytyzmem goniący bogacze, albo też artyści i publicyści kosmopolitycznego polotu,—dalej rzemieślnicy i robotnicy, subiekci handlowi, fryzjerzy, restauratorowie, drobni urzędnicy bankowi, stróże w portach lub z miotłą na ulicach, pomiędzy którymi wielu nie umiejących czytać i pisać. Obok tego kilku przemysłowców średniej zamożności, którzy, nie mając relacji z możnymi tego świata, mimo najlepszych chęci, nie mogą wpływać na wyrobienie za granicą sprawiedliwego sądu o naszym charakterze, położeniu, uspołecznieniu i dążnościach cywilizacyjnych. Poważny zastęp artystów w świątyni malarstwa, rzeźby i śpiewu, oddany swemu zawodowi szuka chleba na arenie zarobku kosmopolitycznego. Obok szczupłej liczby zdolniejszych publicystów większa liczba ambitnych pracowników pióra służy pod chorągwią warsztatu, w którym pracuje i nie wpływa na ugruntowanie uzasadnionych poglądów redakcyi na sprawy nasze. Nadto odcięta przez dłuższy czas od kraju, traci niebawem poczucie z każdorazowem drganiem uczuć i aspiracyi narodowych, poddaje się łatwo wszelkiej illuzyi, szukając dla niej utłudnej satysfakcyi w kosmopolitycznych robotach.

Prasa konserwatywna, nie mogąc znaleźć między Polakami dzia-

łączy swojej myśli; ale owszem, spotykając się w prasie polskiej z głosami sympatyj dla uciśnionych irlandczyków, krzywdzonych duńczyków, alzaczyców i t. d. odwraca się od mniemanych rewolucjonistów, którzy walczyli na czele komuny i t. p.

Prasa liberalna, subwencyonowana przez stronnictwo, któremu ma służyć, nie rachuje się z potrzebami dalekiego narodu, który kupi się około sztandaru kościoła, poniewieranego przez wszystkich doktrynerów liberalizmu. „Dzienniki np. angielskie nawet sympatyczne nam, nie wiedzą, czy przymusowe wykupywanie własności polskiej ma być zastosowanem do Polaków nie pruskich, czy też do pruskich. Jeżeli do tych ostatnich, to niech się osiedlają w monarchii pruskiej, gdzie mogą wywierac wpływ na Niemców tak szydlerczo traktowanych przez ks. Bismarcka; (The Freeman's Journal podług koresp. „Kraju.“) niech uprzedzą żelazną rękę cekarzy pruskich, niech zadadzą kłam potwarzy, rzuconej przez niego na efekt Europe, jakoby przenosili Paryż i Monaco nad głebę ojczystą: niechże sami skupują dobra i zasłużą sobie na kanclerski komplement: *hands off!*“

Cóż to za nieznaomość—najżycielsza bez wątpienia—stosunków miejscowych i procedury administracji pruskiej!

A w naszej prasie czy milkną namiętne podjazdy polemiczne antagonistów sztucznie podtrzymywanych obozów konserwatystów i postępowców, arystokratów i demokratów, klerykałów, liberałów i radykałów, materyalistów, pozytywistów i wszelkich mnogich artystów na wszystkie ręce! Wszystko to odbija się w zwierciadle naszej publicystyki, oraz w umysłach nie przywykłych do samodzielnego myślenia. Cóż tedy dziwnego, że cudzoziemiec wybierze z tego chaosu, nie uporządkowanego racjonalnie, to, co do jego gustu przypada! Różnica opinii jest w każdym organizmie społecznym potrzebna; ale namiętna zawiść jednego kierunku myśli względem drugiego, zaprawiona jadem podejrzliwości, tendencyjnych insynuacji, arogancya monopolizowania idei postępu, dobra ogólnego i t. p., przynosi zawsze szkodę zdrowiu publicznemu!

Obrady w sejmie pruskim dostarczą nam—oprócz dotychczasowych, jeszcze wiele ciekawych poglądów na społeczeństwo nasze, które choćby sposobem kronikarskim zaznaczyć należy, o ile szczupłość miejsca od czasu do czasu na to pozwala.

Z dziedziny ruchu umysłowego mamy w ostatnim czasie do zanotowania zjawiska następujące:

Dnia 10-go lutego b. r. odbyło się w Akademii umiejętności posiedzenie wydziału historyczno-filozoficznego pod przewodnictwem dyrektora prof. dr. Heyzmauna, na którym prof. dr. Smolka przedstawił sprawę projektów reformy wojskowej i skarbowej za Zygmunta I. Na sejmie krakowskim w lutym 1512 r., ułożył król z kołem senatorskiem projekt reformy skarbowej i wojskowej, polegający na zasadzie

skupienia służby wojskowej w pospolitem ruszeniu. Celem projektu było: utworzenie stałej armii dla potocznej obrony kresów, 2,600 koni, 400 piechoty i artylerii. Do obrony tej przykładać się miały trzy czynniki: 1) skarb prywatny królewski, 2) duchowieństwo i miasta, 3) społeczeństwo ziemiańskie. Skarb prywatny królewski miał wziąć na siebie żołąd dla hetmana, oraz utrzymanie 300 koni i artylerii. Duchowieństwo miało płacić ryczałt 2,000 florenów, co wraz z dochodem z szosu i czopowego starczyć miało na utrzymanie drugiego oddziału jazdy (300 koni) i piechoty. Pobór łąnowy, ciężący na kmieciach dóbr królewskich, duchownych i szlacheckich miał być zniesiony, pospolite ruszenie ograniczone do najkonieczniejszych potrzeb (obrony kraju wewnętrznej). Natomiast każdy szlachcic posesyonat, obowiązany do pospolitego ruszenia secundum facultatem bonorum, miał płacić pewną kwotę od konia według ilości koni, jakiej dostarczał na pospolite ruszenie. Obok tego podział ziem koronnych na 5 okręgów: ciężar podatkowy spadać miał kolejną co rok na inny okręg. Każdy szlachcic posesyonat miał zaś rozłożyć przypadający nań kontyngens podatkowy na swoich kmieci, którzy odtąd łąnowego nie byłiby płacili; on jednak odpowiedzialny wobec skarbu.

Projekt powyższy miał być wprowadzony na lat pięć na próbę, dopóki kolej nie obejdzie pięciu okręgów.

Projekt wniesiono najpierw na sejmiku generalnym wielkopolskim w Kole 25 kwietnia 1512 r., gdzie go przyjęto z tą zmianą, że zamiast proponowanej kwoty 6 flor. od konia, uchwalono 5 fl. Na sejmie piotrkowskim w jesieni 1512 r. uległ projekt znacznieszym zmianom: podział na 5 okręgów przyjęto i zasadę kolejności; w zasadzie jednak utrzymano obowiązek osobistej służby, dopuszczając skrupowania ciężaru, tylko jako środka zastępczego, natomiast obowiązek służby ograniczono na czas od Wielkanocy do św. Marcina.

Korona wraca jednak do dawnego projektu i przychodzi z nim znowu przed sejmik generalny wielkopolski w Poznaniu w styczniu 1513 r. Szlachta wielkopolska godzi się znowu na pierwotne brzmienie projektu, podnosząc kwotę rełucyi na 12½ fl. od konia, ale z tym warunkiem, że Małopolska zgodzi się na to podwyższenie. I na sejmiku małopolskim w Korczynie na wiosnę 1513 r. projekt przeszedł, nie zgodzono się tylko na podwyższenie kwoty rełucyi, proponowane przez wielkopolan. Od Małopolski jako pierwszego okręgu, zaczęły się lustracje dla ustanowienia kontyngensu podatkowego, jakiby na każdego posesyonata przypadał. Wśród tych lustracji rzecz cała upadła, do wykonania nie przysła.

Dnia 22-go lutego w poniedziałek w Akademii umiejętności, pod przewodnictwem d-ra Estreichera, odbyło się posiedzenie zwyczajne wydziału filologicznego, na którym p. Stefan Szolc-Rogoziński, odczytał pracę pod tytułem „Rysy charakterystyczne murzyńskiego narzecza Bakwiri, używanego w górach Kameruńskich, z uwzglę-

dnieniem niektórych pokrewnych narzeczy.“ Prelegent w rozprawie tój podał rezultaty trzechletnich studyów swoich nad językiem Bakwiri. Wymieniwszy na wstępie nieliczne prace misyonarzy, traktujące o narzeczach murzynów Kameruńskich, p. Rogoziński oznaczył związek tych narzeczy z innymi językami grupy, zwanój Bantu i zakreślił ich granice geograficzne. Najbliższe sobie są cztery narzecza: Bakwiri, Isubu, Dualla i Bakundu; podobne tóż do tych narzeczy, jakkolwiek w mniejszym stopniu są idiomy Benta i Bakele. Stopień podobieństwa tych sześciu narzeczy wykazał autor na licznych przykładach, przytaczając cały szereg wyrazów. Następnie p. Rogoziński podał systematyczny przegląd głosek narzecza Bakwiri i wyjaśnił porównawczo fizyologiczne warunki ich brzmienia. Z charakterystycznych dźwięków zasługują na uwagę dwójki spółgłosek, np. mb (mboa miasto), ng, ndź (ngundźe mała, ndźo słoń), nd (ndabo dom). Za to dźwięków klaszczących, właściwych południowo-afrykańskim narzeczem Hottentotów, języki kameruńskie nie znają. Interesującą właściwością fonetyczną narzeczy kameruńskich jest tak nazwana przez prelegenta alliteracya, to jest: stosowanie się początkowych głosek pewnych wyrazów do początku wyrazów poprzedzających. Tak np. am w języku Bakwiri znaczy mój, sango am pan mój, lecz motu mam człowiek mój, batu bam ludzie moi, jungo jam garnek mój, diso dam oko moje, motu ma kwiri znaczy: człowiek z gąszczu, lecz batu ba kwiri ludzie z gąszczu—zład nazwa plemienia Bakwiri.

W dalszym ciągu prelegent traktował inne ustępy gramatyki bakwirskiej, tak np. wskazał prawidła tworzenia się liczby mnogiej, czasu przeszłego, wyłożył zasady składni, przytoczył niektóre wyrazy onomatopoetyczne i t. p., przy liczebnikach zwrócił uwagę na system liczenia piątkowy (Bakundu) i trzydziestkowy (Isubu). Za podstawę rachuby czasu służą miesiące, dni i pory deszczowe. Godne uwagi, że murzyni nie mają oddzielnych nazw; na oznaczenie koloru czerwonego i żółtego służy jedna nazwa; podobnież nie ma różnicy między zielonym i niebieskim; czarnym i granatowym i t. p. Prelegent przytoczył tóż wyrazy, przyswojone z języków europejskich, a mianowicie z angielskiego: bilandi-brandy wódka, ti-tea herbata, manua-man of war okręt wojenny europejski, tulungitrunk kuferek; z hiszpańskiego np. buam-bueno dobry, na sawi no sa be nie wiem i t. p. Do rzeczy o wykrzyknikach autor nawiązał nader zajmujące kwestye pantognomiczne, t. j. przedstawił właściwości mimiczne murzynów pod wpływem afektów i nastroju duszy, a to na podstawie kwestyuarza, napisanego dla podróżników przez Ch. Darwina. Do rozprawy dołączony będzie słownik narzeczy kameruńskich. W dyskusyi nad wykładem p. Rogozińskiego zabierali głos prezes Majer i dr. Estreicher. Wydział uchwalił pracę p. Rogozińskiego ogłosić w swoich rozprawach.

Z kolei prof. Morawski zdał sprawę z pracy d-ra M. Kawczyń-

skiego, docenta literatury niemieckiej w uniwersytecie lwowskim, p. t. „Poszukiwania rytmiczne porównawcze—część I, teoria pochodzenia i rozwoju rytmiczności.“ Prof. Morawski polecił pracę p. K. wydziałowi, z zastrzeżeniem kilku kwestyi, w których sekretarz ma się porozumieć z autorem. Rozprawę odstąpiono jednemu z członków, dla zdania sprawy z części muzycznej. Wskutek tego na posiedzeniu 8-go marca dr. Stanisław Tomkowicz złożył referat o pracy d-ra M. Kawczyńskiego p. t. „Poszukiwania rytmiczne,“ polecając ją najmocniej wydziałowi. Również chlubne świadectwo dał o niej prof. dr. W. Creizenach. Wydział uchwalił rozprawę p. Kawczyńskiego ogłosić w swoich wydaniach, po uzupełnieniu jej nadesłanemi przez autora poprawkami i dodatkami, w myśl uwag prof. Morawskiego dokonanemi. W dalszym ciągu sekretarz złożył drugą pracę d-ra Kawczyńskiego p. t. „Studia Romańskie. I. Łacińsko-romański wokalizm,“ i wyłożył jej treść. Pracę tę odstąpiono do referatu jednemu z członków. Następnie prof. Morawski podał treść rozprawy p. Zacharyasza Dembitzera, p. t. „O wyrażaniu stosunku wzajemności w starej łacinie, przyczynek do historii łaciny.“ Rozprawę tę uchwalono ogłosić w wydaniach wydziału. Pracę p. Jana Bartkowskiego p. t. „Uczniowie polacy w Akademii genewskiej od r. 1559—1834,“ odstąpiono komisji literackiej. Nadesłane na konkurs ś. p. Kacpra Bieleckiego prace, wydział odstąpił do referatu jednemu z członków,

Posiedzenie Komisji antropologicznej Akademii umiejętności odbyło się d. 23 lutego r. b. pod przewodnictwem prezesa Akademii d-ra I. Majera, który po odczytaniu przez sekretarza protokołu z posiedzenia poprzedniego, zagaik obrady powitaniem obecnego na niem gościa Ad. hr. Sierakowskiego, a następnie powiadomił członków, iż druk X tomu „Zbioru wiadomości do Antropologii krajowej,“ już się rozpoczął od trzeciej części tej publikacji, t. j. od części etnograficznej, że wreszcie dr. Kopernicki, powróciwszy do zdrowia, będzie nadal pełnił obowiązki sekretarza komisji. Następnie przedstawił prace literackie do publikacji komisyjnych i dary, złożone przez rozmaite osoby do zbiorów Akademii. Prace literackie nadesłali: Dr. Bogdanik „O średnim trwaniu życia w Białej;“ p. Chętkowski „Zbiór pieśni z okolic Przasnysza;“ p. Janasiński „Zbiór misteryjów religijnych na św. B. Narodzenia w Grybowie;“ nakoniec p. Ciszewski z Olkusza „Monografia ludu rolniczo-górniczego w okolicy Sławkowa.“ Wszystkie te prace uchwalono zamieścić w rozpoczynającym się X i następnym tomach „Zbioru wiad. do Ant. kraj.“ Dary, przedstawione na tém posiedzeniu, zwracają na siebie uwagę szczególną tak co do swęj ilości, jako też i co do wysokiej naukowej ich wartości. Sekretarz Kopernicki składa dar Stan. hr. Mola, którym jest wykopalisko, złożone z wielkiej ilości przedmiotów brązowych, stanowiących odzież szkieletu w grobie przedhistorycznym nie ciepłal-

nym, odkrytym przypadkowo w Wyszkach, w powiecie dynaburskim, majątności ofiarodawcy. Są to rozmaite naramienniki, naszyjniki, bransolety, przyozdobienia głowy, skrętki spiralne, sprzążki i liczne ozdoby drobne, pokryte dobrze zachowaną patyną i w znacznej części przyozdobione ornamentyką. Razem z tymi przedmiotami ocalała także pewna ilość tkaniny. Całość tego wykopaliska należy do bardzo rzadkich, wyjątkowych w naszym kraju nabytków archeologicznych, który komisyja przyjęła do zbiorów akademickich z wyrazem należnego uznania i wdzięczności dla ofiarodawcy. Następnie, członek komisji, p. G. Ossowski, składa doręczone mu przez ks. kan. Wład. Siarkowskiego w darze dla tychże zbiorów nader liczne przedhistoryczne przedmioty. Krzemienne, kamienne, szlifowane, kościane zabytki ceramiki, oraz wyroby metalowe z brązu i żelaza. Przedmioty te pochodzą w większej części z miejscowości przez samego ofiarodawcę badanych, a po części znalezione zostały luźnie. Do pierwszych należą zabytki zdobyte z osad przedhistorycznych w Rembowie nad Nidą (powiat Pińczowski), w Trzcionej pod Kielcami, w Leszczynach (na uroczysku Turek) pod tymże miastem, z cmentarzyska z urnami odosobnionemi w Gorbatowicach (powiat Pińczowski) i we Włoszczowej, a nakoniec z Grodziska w Umianowicach (w tymże powiecie). Luźnie znalezione przedmioty pochodzą z Bożykowej pod Chmielnikiem, z Morawicy pod Kielcami, z Gortatowic i z pod Włocławka. Referent zwraca uwagę na szczególnie piękne i więcej rzadkie wyroby tego daru, do których należą liczne piękne strzałki krzemienne z Rembowa, z Leszczyn i z Morawicy, toporki, kliny i dłuta szlifowane z Rembowa, Leszczyn i Bożykowej, oraz na jedyny prawie u nas okaz wielkiego młota wyrobionego z naturalnego kwarcytu stoczkowego (cailloux roulés), znalezione pod Włocławkiem. Wartość tego daru podnosi wiele jeszcze to, iż każdy przedmiot zaopatrzone jest odpowiednią notatą, zawierającą jego legitymacją archeologiczną. Oprócz tego daru ks. Wł. Siarkowski składa także swą pracę pod napisem: „Wiadomość o zabytkach przedhistorycznych w okolicy Rembowa,“ której treść referent przytoczył w krótkości. Uchwalono ceny daru ks. Siarkowskiego przyjmując do zbiorów Akademii, a pracę jego zamieścić w pierwszym dziale rozpoczętego X-go tomu „Zbioru wiad. do Antropologii krajowej.“ Z kolei porządku dziennego, tenże p. G. Ossowski zdawał sprawę z czynności własnych w badaniach jaskiń krajowych podczas zeszłego lata. Badania te były dalszym ciągiem badań rozpoczętych przez niego w r. 1884 w jaskini Wierzchowskiej-Górnej. Badał ją tym razem w sześciu rozmaitych punktach. Wynikiem tych robót było zdobycie znacznej ilości wyrobów krzemiennych, kamiennych, szlifowanych, kościanych, z rogu jeleniego, oraz zabytków ceramiki przedhistorycznej i łupanych kości zwierzęcych. W warstwie głębszej gliniasto-czarnoziemnej, zdobyto w wielu miejscach ogromną ilość kości zwierząt zaginionych. Należały one przeważnie do licznych indywiduów niedźwiedzia jaskiniowego (*Ursus spe-*

laeus), a w mniejszej ilości do lwa kopalnego (*Felis spelaeus*), hyeny, łośia, konia i gatunków psich. Szczególnie interesującym miejscem w teraźniejszych badaniach, była część jaskini, zwana z powodu niezmierniej ilości, znajdujących się w niej owych szczątków „Kostnicą.“ Tu przebito trzy mocne i grube skorupy stalagmitowe, przedzielone pokładami namuliska gliniastego. Tak samo w stalagmitach jak i w namulisku zawierała się ogromna ilość kości, wymienionych gatunków zwierzęcych. W głębokości 2 metrów, pod poziomem trzeciej skorupy stalagmitowej, odkryto się wejście do dalszego ciągu jaskini w kształcie korytarza, w który tym razem przejść można było kilkadziesiąt metrów. Ściany i sklepienie tego głębokiego podziemia jaskiniowego zawieszono są licznymi stalaktytami tworzącymi ozdobne grupy. W téjże głębokości pośród mnóstwa kostnych szczątków zwierzęcych, znaleziono pierwsze w tém miejscu wroby ręki ludzkiej, któremi są dwa przednie zęby (siekacze) niedźwiedzia jaskiniowego, mające pod samą koroną zębową, głębokie i szeroko otwarte nacięcia poprzeczne, dokonane najwidoczniej krzemieniem. Sprawozdawca okazał zdobyte wyroby, oraz widoki dwu wejść do téj jaskini, które jako staranne studia z natury, objaśniają kształt uwarstwień skalnych i tworzenie się próżni jaskini.

G. O.

W Towarzystwie przyjaciół nauk w Poznaniu dokończył ks. prałat Likowski w końcu lutego na jednym z posiedzeń wydziału historyczno-literackiego wykład swój „o przygotowaniach do unii brzeskiej.“ (1593—1596). Uczony ks. prałat przedstawił tu działalność ks. Konstantego Ostrogskiego, wojewody kijowskiego, tego potężnego magnata i jakoby „prymasa“ cerkwi ruskiej, i Bałabana, oraz metropolity Michała Rahozy,—dalej Pocięja i Cyryla Terleckiego. Pobyt obu tych biskupów w Rzymie, akt unii (z d. 23 grudnia 1595), dokonanej przez papieża Klemensa VIII, oraz trudności, jakie Pocięj i Terlecki zastali w ojczyźnie po powrocie z Rzymu—to stanowiło treść zajmującego wykładu, który ma być drukowany w Krakowie w „Przeglądzie polskim.“

Ks. kanonik Korytkowski czytał na jednym z następnych posiedzeń tegoż wydziału ciekawą nader rozprawę o księciu Floryanie Kazimierzu Czartoryskim, arcybiskupie guzieńskim. Ks. Floryan, wnuk Jerzego a syn Mikołaja, księcia na Klewaniu, urodził się 1604 r. umarł zaś 1674, był kapłanem z powołania, biskupem dbałym o dobro kościoła i o szczęście ojczyzny. Na dwór się nie cisnął, dostojeństw nie szukał; ale ponieważ zasługiwał na nie przez pracę około duchowego dobra swych rodaków, przeto i one go nie minęły. Wykształcony u Jezuitów w Rzymie, głównie pod przewodnictwem późniejszego kardynała de Lugo, pracował po powrocie z Rzymu i po wyświęceniu na kapłana przy kościele w Klewaniu, który wzbogacił relikwiami św. Bonifacego, przywiezionemi z Rzymu. Niebawem powołany na kanonika wileńskiego, zastąpił kaznodziejską wymowę i gor-

liwością w służbie Bożej. Zaliczony w poczet sekretarzy królewskich, mianowany później kanonikiem płockim i krakowskim, zrzekł się dwóch pierwszych kanonii i sekretaryatu królewskiego, aby osieść w Krakowie i znów w sumienném wypełnianiu obowiązków swego zawodu szukać spokoju i szczęścia. W roku 1650 po śmierci Andrzeja Szołdrskiego, został mianowany biskupem poznańskim i dźierzył tę wielkopolską stolicę przez lat 4, od roku 1651 — 1655. W roku 1654 wybrany został Czartoryski, po śmierci księdza Gniewosza, biskupem kujawskim, i sprawował te obowiązki przez lat blisko dwadzieścia, świadcząc kościołowi swemu i ojczyźnie wielkie usługi. Sumarycznie opowiedział ks. Korytkowski udział Czartoryskiego w nieszczęśliwych dla kraju wypadkach wojny szwedzkiej, wśród której najezdnicy pustoszyli i plądrowali Wolbórz i Smardzewice (rezydencje biskupa kujawskiego), podczas gdy biskup Czartoryski towarzyszył Janowi Kazimierzowi wraz z innymi dostojnikami na smutne tułactwo i dobrowolne wygnanie. Za rządów króla Michała Wiśniowieckiego oddał Czartoryski krajowi walną usługę, przywodząc do skutku ugodę między królem a związkiem wojskowym. W ogóle jako mąż zgody i pokoju, mediator *ex imius*, zyskał w kraju szerokie uznanie i zaskarbił sobie względy króla Michała. W uznaniu zasług księcia Floryana polecił król Michał wybór jego na arcybiskupstwo gnieźnieńskie, osierocone przez śmierć arcybiskupa Prażmowskiego (dnia 16 kwietnia 1673 r.). Mimo protestacyi, jaką kanonicy gnieźnieńscy założyli (nie przeciw osobie poleconego biskupa, lecz przeciwko formie tego polecenia, ścieśniającej wolny wybór arcybiskupa)—wybrała kapituła zgodnemi głosy biskupa kujawskiego prymasem korony polskiej pod koniec kwietnia 1673 r.—niestety tylko na to, aby w maju r. 1674 stanąć nad jego zwłokami w kościele Ojców Jezuitów w Warszawie. Charakterystyką Czartoryskiego zakończył ks. Korytkowski swoje wyczerpujące, na źródłach archiwalnych opracowane studjum.

Król szwedzki Oskar, wyznaczył z własnych funduszów nagrodę za najlepsze opracowanie dwóch ważnych tematów naukowych. Tematy te są: 1) Dzieje języków semickich; 2) Przedstawienie stanu cywilizacyjnego Arabów przed Mahometem. Nagrodę w obu tych konkursach stanowi wielki złoty medal wartości 1,000 szwedzkich koron, oraz kwota 1,250 koron gotówką. W komisji konkursowej, oprócz uczonych szwedzkich, zasiadają: tajny radca prof. dr. H. L. Fleischer w Lipsku, prof. dr. Th. Nöldecke w Strassbourgu i dr. Karol hr. Landberg w Stuttgardzie. Ostatni z wymienionych jest zarazem sekretarzem komisji. Prace winny być wniesione najpóźniej do 30 czerwca 1888, a mają być pisane albo w językach skandynawskich, lub też po łacinie, niemiecku, francuzku, angielsku, włosku albo po arabsku.

Przy sposobności aktu poświęcenia Drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego w dniu 16 lutego 1886 r., urządzonój w zakupionym i na ten cel przebudowanym gmachu przy ulicy Wolskiej, przytoczył J. M. rektor J. Łepkowski w mowie swojej ciekawe szczegóły z przeszłości tego zakładu, wstępującego do nowego gmachu i w nowy okres — oby jak najszcześniejszego rozwoju!

Świadectwo Bedermana (z r. 1505) w słowach listu jego do Jana ze Stobnicy o wydaniu Hezyjoda w Uniwersytecie krakowskim (in studio nostro Cracoviensi) u Hallera, wskazywałoby Almę krakowską jako rozkrzewicielkę druku u jego kolebki w Krakowie. *Judicia*, owe pierwsze Kalendarze, nie tylko koncept swój od nas brały, ale mogłyby nasunąć domysł, że z naszych oficyn wychodziły, ukazując się w druku już w końcu XV stulecia. Bibliografom zostawić trzeba szczegółowy wywód genealogii, jako dzisiejsza drukarnia uniwersytecka w Krakowie łączy się w przeszłości dziedzictwem z pierwszymi drukarniami w Polsce, od XV wieku powstającymi. Przypominamy tu tylko o prastarój oficynie Piotrkowczyków, którą w r. 1676 nasz Uniwersytet posiadał — także o drukarni Cezarych, uzyskanój z ofiary ks. kan. Waleśzewskiego (r. 1731) i biskupiěj, darowanój Uniwersytetowi przez ks. Jędrzeja Załuskiego. Ma też jeszcze i drugą rodowłą, że tak powiem, cechę ten Zakład, że z ofiar powstały a będący Uniwersytetu własnością, ma obowiązek służyć nauce, obracając na wydawnictwa dochody swoje.

Czas i przeróżne biedy, zostawiły Uniwersytetowi cenne okruchy z tych bogatych sukcesyj, tak, że godzi się spytać: która z drukarni zagranicznych, może się poszczycić równie zasobnym jak nasz, zbiorem drzeworytów? Mamy ich prawie 3000, oryginalnych, dobrze dochowanych, używanych do Biblii Leopolicy, Postylli Wujka, Bielskiego Kroniki Świata, Miechowity, Paprockiego Guiazda Cnoty, Zielników i bardzo wielu książek z XVI i XVII wieku, wydawanych w drukarniach krakowskich: Wietorowskiej, Unglera, Szarfenbergerów, Piotrkowczyków i Siebenejcherowskiej.

Piękna spuścizna! Niektóre z owych klisz zasługują na studia jako zabytki — inne cenne z uwagi, że je znakomicie swoi i obcy rytownicy wykonali — a prawie wszystkich, przynajmniej bardzo wielu, użyć znowu można jako ozdobę wydań, z chlubą: że nie naśladowane, ale oryginalne. Bandtkie już przed 70 laty cenić je nauczył, a Muezkowski dał poznać badaczom. Uniwersytet to dziedzictwo oddaje Drukarni swojej.

Jak historia Jagiellońskiej Almy jest dziejami oświaty polskiej, tak bibliografia tych drukarni, które się łączą w owém genealogiczném drzewie tego Zakładu, objęłaby co najcelniejsze dzieła literatury polskiej. Upadła ta Drukarnia Uniwersytecka za dzierzawy prywatnej, trwającej od r. 1815 do 1838, tak prawie doszczętnie, że kiedy ją w r. 1840 dźwignął Brodowicz, nie było ani czcionek, ani sprzętu, ani nakładów; a dziwić się potrzeba, że mogło to choćby z pamiątek pozo-

stać, co w chwili nowój reformy, na wiano tój instytucji dać było można. Oddano jęj też obecnie ladę z dokumentami towarzystwa, bractwa, konfraternii typografów, które przy tój naszėj Drukarni od wieków, pod zwierzchnictwem rektorów zostawało; używając Gryfa, malowanego na wieku tój skrzyni (w r. 1683) wyrytowanego na pieczęci (z r. 1726), pojawiającego się już (z datą 1512) na drukach Unglera (Bandtke Hist. dr. krak. 271). Na najdawniejszych też książkach wychodzących z oficyn krakowskich obok herbu miasta i Rzeczypospolitėj, godło rektorskie dawano. Ów Gryf wyobrażony także na ciekawym zabytku, zasuwce drewnianej, jakby pugilaresie używanym do obsyłki na sesyje, gdzie wymalowany obok orła z herbem saskim na piersiach i bereł naszych, zaś z odwrotu przedstawieni pracujący: zecerzy i preserzy. Herb saski wskazuje, że sprawiona ta zasuwka wtedy, gdy August II w r. 1697 potwierdził wcześniejsze nadania Rektora X. Franciszka Przewoskiego (1691). Przechowały się też w tój skrzyni ordynacye rektorów od r. 1675, będąc cennym materiałem do dziejów zarówno kongregacji typografów, jak w ogóle do historii drukarstwa w Polsce. W ordynacyach tych znajdziemy dowody, iż typografowie dawni rządźili się przepisami pilnującemi prawdy, uczciwości i moralności wzorowėj. W ordynacyach tych mądrość wielka. Nie tylko bowiem chodziło o kształcenie praktykujących w zawodzie drukarskim, w specjalności, ale szło także o wychowanie ich na dobrych ludzi.

• Towarzystwo geograficzne. Dnia 4-go marca zgromadziło się w lokalu Muzeum przemysłowego w Krakowie, pod przewodnictwem prof. Kuczyńskiego, około czterdziestu zwolenników założenia Towarzystwa geograficznego. Prof. Czerny odczytał na wezwanie prezesa projekt przyszłych statutów Towarzystwa. Zgromadzenie osądziło, że przedyskutowanie poszczególnych artykułów projektowanego statutu daleko skuteczniėj odbyć się może w inniejszém gronie zwawców, niż w liczném zgromadzeniu. Uchwaliło więc uzupełnienie tymczasowego komitetu pewną liczbą nowych członków, wskazanych na posiedzeniu i upoważniło wzmocniony w ten sposób komitet do rozważenia odczytanego projektu, ostatecznego ułożenia statutów i przesłania ich kompetentnej władzy do zatwierdzenia.

Na wystawie Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych spotykamy się od czasu do czasu ze znakomitszemi utworami obcych artystów; innowacya ta, datująca dopiero od roku, okazała się bardzo praktyczną, dzięki jej bowiem wystawa zyskała na urozmaiceniu, ściągając większe tłumy zwiedzających, a w rezultacie i kasa Towarzystwa nie musi na tęp złe wychodzić. Pozostawałoby tylko życzyć, aby obrazy obcych artystów okazywały się zawsze wartemi zachodu i kosztów, połączonych z ich sprowadzaniem. Obrazy Brozika i Girona dowiodły, że komitet Towarzystwa przestrzega tój zasady, — a prawdziwie już

wdzięczność miłośników sztuki zaskarbił sobie wystawieniem głośnego obrazu Munka czego „Chrystus przed Piłatem.”

Munkaczy należy do tych nielicznych jeszcze malarzy przedmiotów historycznych, którzy zapatrując się na swe zadanie z poważniejszego punktu widzenia, usiłują z pomocą materialnych środków, jakimi sztuka rozporządza, odtworzyć nie tylko zewnętrzną, obrazową stronę danego epizodu, lecz nasycić go myślą, przedstawić rzecz w oświetleniu idei, w jakim się fakt ze stanowiska krytyki przedstawia, i niejako narzucić widzom własny swój pogląd na wskrzeszoną pędzlem chwilę życia dziejowego. Nie maluje on fantazyi, jak Kaulbach, ani wystaw teatralnych jak Piloty i Makart, lecz przedewszystkiemi szuka prawdy i życia, dając akcyi zdrowy psychologiczny podkład charakterów i temperamentów.

Takie stanowisko wyróżnia Munkaczego zarówno i od ilustratorów, schodzących do skromnej roli objaśniaczy tekstów, i od suchych kronikarzy, nie umiejących wznieść się po nad zewnętrzne szczegóły faktów, i od tych wszystkich wreszcie, którzy w dziejach jedynie anegdotycznej dopatrują się strony. Z tych powodów stawilibyśmy go obok Matejki, gdyby nie okoliczność, że braknie mu tego trafnego zmysłu historycznego, który tak wysoko nauczyliśmy się cenić w utworach krakowskiego mistrza. Zato jednak musimy przyznać, że przedziwną jasnością w rozwinięciu obrazowego motywu, tudzież umiejętnym podporządkowaniem drobiazgow i szczegółów temu, co rzecz główną stanowi, a przedewszystkiemi wyraźnym zaznaczeniem planów — Munkaczy osiąga w swoich utworach przedziwny ład i spokój: przymioty bardzo cenne, a jak wiadomo niezmiernie rzadkie w kompozycjach Matejki, grzeszących najczęściej brakiem powietrza i pewną chaotycznością. Matejko kreśli charaktery zamasyście, z istic szekspirowską szerokością; podnosząc i uwydatniając najtajniejsze rysy życia indywidualnego, snuje przed naszymi oczami galerye niezmiernie interesujących, głęboko wystudowanych typów; — Munkaczy natomiast trzyma się innej drogi: nie chodzi mu o typy; w rysach figur i ich ruchu uwzględnia motywa psychologiczne o tyle, o ile jest mu to koniecznym potrzebnym do jasnego, zrozumiałego przeprowadzenia akcyi; jego charakterystyka jest trafna, ale nie wychodzi prawie nigdy z granic pewnej przeciętnej powszedniości. W tych atoli granicach, chętnie to przyznajemy, jest on genialnym interpretatorem życia, które maluje z porywającą prawdą realną.

Tak jest, Munkaczy podobnie jak Matejko, jak wreszcie większa część dzisiejszych mistrzów pędzla, jest zwolennikiem realnego kierunku w sztuce. Pociąga to za sobą pewne obniżenie estetycznej skali, uderzające zwłaszcza w traktowaniu podnioslejszych, idealniejszych tematów, nie dających się żadną miarą wtłoczyć w ciasne ramy form powszedniego życia — i takie właśnie obniżenie nastroju czuć się przedewszystkiemi daje w „Chrystusie przed Piłatem.“ Nie przeprowadzając dalej ciekawej zresztą paraleli pomiędzy tymi dwoma mistrza-

mi, rozpatrzmy się natomiast w samym obrazie, który nam najlepiej cechy i zalety pędzla jego autora odsłoni.

W obszerniej sali sądowej o wyraźnych cechach rzymskiej architektury, oddzielonej rozpiętą szeroko arkadą od dalszej części gmachu, pograżonej w półcieniu i opatrzonej w głębi przedsionkiem o czworobocznych filarach, z poza których odsłania się widok na miasto — zasiadł z prawej strony Pontius Pilatus na stolicy, żeby sądzić stawionego przed jego obliczem Chrystusa. Rabin, uczeni w piśmie i przedstawiciele starszyny żydowskiej zajęli miejsce na najbliższych ławach po obu stronach rzymskiego prokuratora, pośrodku stanął Chrystus pod strażą żołdaka, resztę zaś płótna wypełniają tłumy podburzonej gawiedzi, której główne masy zalegają pograżone w mroku zagłębienie obrazu. Światło padające naprost, jakby z poza widzów, oblewa jasnym blaskiem Piłata, Chrystusa i postacie pierwszego planu, to jest główne figury akcji. Tym sposobem artysta wybornie podniósł ich estetyczną wartość wobec mas motłochu, mających znaczenie jedynie dodatkowe, i zlewających się w jedno przyziemione tło, na którym właśnie pierwszo-planowe figury konturują się jasno, z całą plastyczną wyrazistością. Malownicza strona kompozycji zyskuje na tym niemało.

Szczególniej taką wyrazistością odznacza się — jak to zresztą z samego założenia kompozycji logicznie wynika — sama postać Chrystusa, w białej sukni układającej się w pionowe, spadające do ziemi fałdy, z rękami skrupowanemi na przedzie; ujęta w linie poważne, sprawiałyby ona istotnie wrażenie wzniosłe, gdyby tej godności postawy odpowiadał wyraz oblicza, które pragnęlibyśmy widzieć rozjaśnione tym świętym posłannictwem, do którego Syn Człowieczy na ziemi został powołany, i spełniwszy je, staje teraz przed sądem, z całą świadomością, że mu je przyjdzie poświęceniem się na Golgocie przypieczutować. Bo tylko tak pojęta postać Chrystusa, posiadałaby warunki potrzebne do zrównoważenia swoją estetyczną i moralną wartością i surowego Piłata, i swych zawziętych oskarżycieli, i całe owo tłumne otoczenie; i przez to skupiłaby na sobie główny interes kompozycji. A do życzenia byłoby, żeby nie tylko równoważyła całe swoje otoczenie, ale żeby nad niemi dominować mogła. Wówczas jedynie cały epizod w właściwszem, prawdziwszem ukazałby się świetle. Węgierski mistrz jednak nie stawiał swego Chrystusa na tej idealnej wyzninie; w ogólności rzeczby można, że kreśląc jego postać nie brał on za punkt wyjścia tekstów Ewangelii, sprowadzając rzecz całą na grunt bardziej poziomy, czyli, jak się to mówić zwykło, na grunt bardziej realny. Jego Chrystus nie zdaje się też wyróżniać swoją naturą od reszty śmiertelników. Munkaczy, pozostawiając na stronie tradycje Kościoła i chrześcijańskiej sztuki, chciał wyrazić nagą historyczną prawdę — i stworzył ostatecznie fikcyę. Nie myślimy tu spierać się z tymi, którzy, jak Renan, Synowi człowieczemu odmawiają Boskiego pochodzenia; musimy jednak zwrócić uwagę, że i wówczas nawet pozostałby on niemniej wielką postacią, której świat swoje odrodzenie duchowe

zawdzięcza, i która w oświetleniu dziejowém rośnie, potężnieje i rzeczy można wszelką skalę ludzką przerasta. Postać Chrystusa powinna być koniecznie mierzona skalą jego potężnego wpływu, ogarniającego cały świat chrześcijański i wypełniającego XIX wieków. Wszelka inna miara, zastosowana do Chrystusa, będzie fałszywa — i trzymający się jej artysta, zamiast prawdy realnej, zdobędzie się tylko na doktrynerskie urojenie.

Zadaleko pusunięte zapędy realizmu albo właściwiej naturalizmu, są w traktowaniu podobnych motywów złym przewodnikiem; przesadne bowiem ubieganie się o poziome i koniec końców wcale podrzędne szczegóły, spycha na plan ostatni główną ideę dzieła, którą ten balast realny z wielką szkodą ekspresji przytłumia. Tak np. Siemiradzki w swój „Jawnogrzesznicy“, ubiegając się o tak zwaną prawdę realną i w tym celu, do malowania Chrystusa z jego otoczeniem, dobierając etnograficznych barw z życia dzisiejszych Arabów, — ani się spostrzegł, że się właśnie z upragnioną prawdą rozminął, a na swém dziele wyrył cechę poziomj powszedniości. Munkaczy wprawdzie nie czyni wycieczki do dzisiejszj Arabii, wszakże z tych samych co Siemiradzki powodów, nie zdaje się dostrzegać różnicy, jaka zachodzić musi między mieszkańcami doliny Jordanu z przed XIX wieków, a dzisiejszymi, rozproszonymi wśród nas żydami, których typ pod wpływem północnego nieba i odmiennych z gruntu warunków bytu, stracił wiele na swj pierwotnej charakterystyce.

Nie podnosilibyśmy zgoła tój okoliczności, małej zresztą doniosłości w kompozycji historyczno-religijnej, gdyby nie to właśnie, że obaj ci mistrzowie przenieśli na nią cały niemal środek ciężkości: u jednego jak u drugiego Chrystus, chociaż na pierwszy plan wysunięty, nie imponuje majestatem, a choćby tylko wzniosłą godnością, nad swoim otoczeniem: nie imponuje nawet w takim stopniu, jak w znanym nam obrazie Brozika Hus dominował nad zgromadzeniem sądowym, choć to był tylko Hus — nie Chrystus.

Przyjrząwszy się bliżej Chrystusowi Munkaczego, musimy jednak przyznać, że figura to ciekawa: zuchwały ten sektator i burzyciel spokoju, któremu zgubę zaprzysięgli fanatyczni rabini i faryzeusze, zdaje się lekceważyć groźę swego położenia, jakby spodziewał się wykręcić z niego jakim fortelem. Od ciemno rudych włosów spadających mu na ramiona i takieżę barwy zarostu odbija jego twarz biała, pociągła, wyrazista. Na sklepieniu wysoko czole i w błyszczącym oku, którem się widruje sędzięgo, maluje się pewien odcień przebiegłości w połączeniu z czelnością, a w podniesionych nieco w górę kącikach ust osiadł szyderyczy uśmiech. Figura, powtarzamy, bardzo ciekawa; niezrozumiałą tylko wydaje się nam taka charakterystyka w obec Piłata, którego typowe rysy rzymskie wyrażają surowość i sprawiedliwość, ale się w nich najmniejszy odcień złj woli i zawziętości nie przebija. Wyższym on jest od sfanatyzowanych tłumów, których zapalczywość nie znajduje doń przystępu. Siadł na wzniesieniu osłonięty białą togą

rzymskiego senatora, a ruchem rąk wtóruje sobie do myśli, ważąc czynione podsądnemu zarzuty i nie znajdując winy.

Najciekawszą jest charakterystyka starszyny żydowskiej i tłumów gawiedzi. Przedewszystkiem ściąga na się uwagę główny oskarżyciel, zaciekły choleryk, o bujnej siwej brodzie; stanął on przed Piłatem, i wskazując prawicą na oskarżonego Króla żydowskiego, rzuca nań gromy potępienia; z całej jego postaci widać nieubłaganą zaciętość, z jaką na jego życie nastaje. Wyborny z nią kontrast stanowi postać jakiegoś wpływowego personata o dobrej tuszy, nawykłego do grania ważnej roli i imponowania tłumom swoją powagą,— który i tu, w sali sądowej folgując swym nawykniom, rozsiadł się szeroko, podpierał rękami o kolana i z poczuciem swęj godności wodzi wzrokiem po obecnych. Nie występuje on w tęj sprawie w roli czynnej, i samą tylko swoją powagę rzuca na szalę.

Równie trafną jest charakterystyka każdej niemal figury: z gry fizyognomii i zachowania się każdej łatwo czytasz, co myśli, jakie nią w tęj chwili owładnęło uczucie, i w jakim stopniu bierze udział w rozgrywającej się sprawie. Najdosadniej atoli może skreślona jest postać owego wybiadłego fanatyka, należącego oczywiście do starszyny żydowskiej, który stanawszy na ławie pod ścianą, z twarzą zwróconą do pospólstwa, założonemi w tył rękami i zadartą do góry brodą, zdaje się czekać niecierpliwie końca sprawy, o którym ani wątpi, że zupełnie po jego wypadnie myśli. W całej jego postawie wyraża się pewność i zadowolenie z obrotu rzeczy; i ani wątpić, że musi to być jeden z najbardziej nastających na zgubę religijnego nowatora; jątrzył przeciwko niemu umysły i podburzał — a teraz spokojnie już czeka wyroku, jako owocu swęj agitacyi.

Inni przysłuchują się uważnie grzmiącej mowie oskarżyciela, lub rozprawiają między sobą po cichu, rozpraszając wzajemne wątpiwości i utwierdzając w przekonaniach; inni wrzeszczą w bezmyślném zaślepieniu, jak ów obdartus bez zarostu w białęj koszuli, o brudnych wykoszlawionych nogach i z podniesionemi w górę rękami,— albo przyglądają się ciekawie Chrystusowi, jak ów młodzik o śniadęj cerze i głupowatym a cynicznym uśmiechem, który aż w pół się przechylił żeby oskarżonemu w same zajrzeć oczy. Wszystkie razem składa się na obraz niezmiernie interesujący, pełen istotnego życia i realnej prawdy, która jednak w pewnych szczegółach, jak owe potwornie brzydkie bosc stopy dwóch skrajnych figur z lewęj strony, bodaj zadaleko już posuniętą została.

Niepodobna przypuścić, aby w tłumie, towarzyszącym obwinionemu do sali sądowej, nie znajdował się nikt z bliższych mu sercem, nikt coby znał wzniosłość jego nauki i wierzył w jego niewinność, nikt, słowem, z nawróconych przez Niego, których tak wielkie rzesze za Nim chodziły; w obrazie Munkaczego daremnie jednak szukamy osób, których nastroj i zachowanie się świadczyłoby o miłości i przywiązaniu do swego mistrza. Wszyscy, uniej lub więcej, na oskarżonego zgubę

zdają się nastawać. Co najwyżej, spotkasz tu i owdzie jaką twarz obojętną — ale sympaty i spólczenia nigdzie, ztąd w charakterystyce pewna jednostajność. Wyjątek stanowi wychylająca się z tłumu postać młodej kobiety z dziecięciami na ręku, która ku Jezusowi z Nazaretu z pewnym spólczeniem pogląda, ale prawdopodobnie tylko z wrodzonej tkliwości niewieściego serca. I ów brunet średniego wieku w ciemno-malinowym zawoju, o surowych rysach, którego widzimy w głębi, między Chrystusem a żołnierzem, zdaje się coś ważyć, zastanawiać, i widać, że go fanatyzm nie zaślepia — ale ztąd daleko jeszcze do współczucia dla oskarżonego i solidaryzowania się z jego nauką.

Obraz Munkacego uchodzi za arcydzieło — i słusznie. Można się nie godzić na to obniżenie idei obrazu, która Chrystusa sprowadza do roli pospolitego nowatora, sekciarza; przyznać jednak trzeba, że w rozwinięciu téż idei Munkaczy okazał się wytrawnym mistrzem, dysponującym środkami techniki trafnie, z taktem i niesłychaną łatwością. Robota jego przypomina obrazy Brozika, co ztąd pochodzi, że czeski artysta dużo od Munkacego przejął; — gdy atoli tamten wpadał niekiedy w akademicką sztywność, ostatni ołsniewa natomiast swobodą, naturalnością i różnaitością. Podziwiać trzeba, zaprawdę, tę miarę, z jaką Munkaczy, mistrz w plastycznym uwydatnianiu szczegółów, unika wszelkich jaskrawości i optycznych efektów. Tą samą miarą i powściągliwością zaleca się traktowanie draperyi i akcesoryów, które zamiast rzucać się w oczy i sprawiać niepotrzebny rozgardyasz, sprowadzone zostały w obrazie do właściwej roli podrzędnych szczegółów. Wspomniałem już wyżej o światłocieniu, którego wybornéj dyspozycyi zawdzięcza obraz wysunięcie naprzód głównych figur; wprowadziło to do kompozycyi ład i jasność planów, które w połączeniu z doskonałą perspektywą, napełniają obraz powietrzem, dają widzowi jasne poczucie przestrzeni, w której jest dość miejsca dla każdej z działających osób, i w której téż poruszają się one z zupełną swobodą. Realizm pędzla Munkacego sprawia, że „Chrystus przed Piłatem,” odbiegając od stylowych wzorów malarstwa historyczno-religijnego, sprawia wrażenie obrazu rodzajowego, wykonanego na wielką skalę. Stanowi to już indywidualną właściwość mistrza.

Umieszczenie obrazu na Wystawie, jego mianowicie oświetlenie, nie możemy nazwać szczęśliwém. Zadano sobie dużo trudu z ciemnymi zasłonami, pamiętano o tém (niekoniecznie potrzebnie) aby na obraz oblały światłem, publiczność patrzyła z miejsca pogrążonego w cieniu — a zapomniano zabezpieczyć obraz od skutków łamania się promieni światła o gładką jego powierzchnię, co sprawia, że lśni się ona i mieni, z niemną dla niego szkodą. Jest to niedogodność tém większa, że z powodu światła, padającego z góry, widz w żaden sposób nie może jęj unikać przez zmianę punktu widzenia.

Przeszłomiesięczne żniwo t e a t r a l n e przedstawia się bardzo ubogo, nędznie. Jedynym trwałszym nabytkiem jest farsa Teatru Małc-

go p. t. „Poręcznik Szykowski“ Mozera, tłumaczona i zlokalizowana na gruncie galicyjskim, a stanowiąca dalszy ciąg farsy tegoż autora: „Wojna podczas pokoju.“ Zaletę obu tych fars stanowi wesołość zdrowa, schludna. Upodobanie z jakim publiczność przyjmuje ciągle te dwa utwory, stanowi pewną wskazówkę, że jęj się już nieco przejadły niechlujne farsy przenoszone z błota paryżkiego, które nie tak jeszcze dawno miały prawie wyłączny przywilej przyciągania tłumów, dopóki nie znudziły jednostajnością conceptów i jednostajnością plugastwa. Teatr Mały, przy dwóch powyższych farsach, z których każda wypełnia humorem cały wieczór, trafił dla siebie na dobrą żyłę, bo one nawzajem wypełniają mu kasę, a publiczności dostarczają nie gorszącej rozrywki.

Ale za to teatr Rozmaitości przez ten czas nie miał szansy. P. Zygmunt Przybylski ośmielił się z afisza zawołać: „Pst!“ Co to takiego? Oto autor debiutujący w teatrze, przestrzega w ten sposób rozśmieszony towarzystwo w loży ażeby nie przeszkadzało jego arcydziełu na scenie. Oczy jego przy tym rozpaczliwym wykrzykniku krzyżują się ze wzrokiem młodej panny z tegoż towarzystwa, a ztąd wzajemne zajęcie, następnie wizyta improwizowana, i prawdopodobne małżeństwo. Sztuka jego wygwizdana, ale niepowodzenie to wynagradza się mu sukcesem miłosnym. Temat rzeczywiście na farsę, gdyby go ujął w ręce sprytny fabrykant francuzki. Panu Przybylskiemu brak tego temperamentu, tego *entrain*, które za pomocą conceptów i śmiesznych sytuacji wydyma błyskotliwie bańki mydlane. Jego dowcipy obmyślane, ciężkie i pospolite; jego sytuacye nakręcone a nie okupione humorem, nie zdołały zabarwić bańki, która też pękła niczyjego nie olśniewszy oka, a publiczność po kilku przedstawieniach do reżyseryi zawołała: Pst!

Jeszcze reżyserya nie ochłonęła po tój jednoaktowej kłęsce, kiedy spotkała ją inna pięcioaktowa w postaci komedyi nieznanego dotąd autora, p. Tomaszewicza, p. t. „Zapóźno.“ Przed dwoma laty komedya ta na konkursie dyrekcji Teatrów została odznaczoną, a nawet zaleconą do grania, pod warunkiem pewnych zmian i modyfikacyi. Czy i jakie zostały zaprowadzone, nie wiemy, na scenie wszelako ukazała się pełną wad. Przedmiot jęj znowu stanowi wiarołomstwo, i to podwójne. Córa karmazynów, która z nędry dała się poprowadzić do ołtarza miernej zamożności mieszczańinowi, ucieka z kochankiem, zubożałym pankiem, ożeniouym nawzajem, także dla interesu, z posażną córką mieszczańską. Te dwie wzajemności i te dwa kontrasty zaprowadziły też pod względem budowy zupełny dualizm w sztuce, rozplątały ją jakby na dwie osobne połowy, pomiędzy którymi jedynym łącznikiem jest ów pan Roman, w jednej połowie mąż, w drugiej kochanek. Wreszcie rodziny te nawet nie znają się z sobą, nie spotykają, tak, że sceny odegrywają się każda w inném mieszkaniu, i cały utwór ma jakby dwie szuflady do schowania dwóch dzwon. Czy wdział kto coś architektonalnie bardziej niezgrabnego na scenie? To też

strona techniczna stoi niżej wszelkiej krytyki. Nie lepiej zaleca się i strona społeczna Eliza, postać główna, owa arystokratka w jarzmie mieszczańskim, jako kobieta przedstawia potworę egoizmu i zmysłowości. Autor kreśli ją taką jakby była z góry predestynowaną na kokotkę, która, dla użycia i świecidła, z przekonania i z przyjemnością poświęci wszystko co świat uznaje za święte. Niema tu więc nawet upadku kobiety, staczającej się skutkiem pewnych fatalności psychologicznie motywowanych stopniowem osłabieniem duchowej straży, niema żadnej walki pomiędzy zasadą a ponętą, ale upadek był przewidziany z góry: Eliza upadła była przed urodzeniem. Ona nie kocha męża, ale nie kocha i gacha; idzie z nim, a żeby przewidywaną skutkiem bankructwa nędzę przy boku męża, zamienić na zbytek przy boku kochanka; a gdy ten ją porzuca, ona nie uczuwa ani żalu, ani niesławy; oświadcza poprostu, że znajdzie sobie stu innych. Próbuje wrócić do męża, a gdy się to nie udaje, odchodzi, zapewne szukać szczęścia wśród najweselszych cór rzeszy cypryjskiej, zapłacona za kwartał miłosnej posługi przez kochanka, który w skrusze powraca do domowego ogniska, jak syn marnotrawny, przyjęty tłustem koźlęciem.

Jest to zatem wypadek jeden z wielu na jakich się zużyły pióra protokulistów sądowo-policyjnych i reporterów kuryerowych: tylko niema w tém ani dramatu, ani komedyi; ot! prosty epizod tuzinkowej rozpusty, dla uratowania honoru sceny zabarwiony jakimś m e m e n t o o złém wychowaniu i źle skojarzonych związkach małżeńskich.

Autor wysilił się ażeby postać główną Elizy uczynić znaczącą, a zdołał uczynić ją tylko wstrętną. Kazał jej dużo mówić, dużo grymasić i gniewać się, i mniemał może iż stworzył kobietę, gdy tymczasem jest to tylko aparat do wygłaszania obmierzłych zdań i upodobań. Jej mąż, poczciwy kupiec, wykrojony na miarę mazgaja; idiotyczna mama w swém samoubóstwieniu, zgnębiona postępkiem córki nie dla jego wartości moralnej, ale dla dyshonoru rodowego, zaobserwowana dość trafnie: oto skład pierwszej grupy. Druga grupa złożona z ojca mieszczanina, matki i córki, przedstawia się korzystniej w swém zaciśku domowym, w swych manierach z lekkim odcieniem komicznym, w swój wreszcie prawości charakteru. Jako obrazek, akt trzeci nie prawie do życzenia nie pozostawia, gdybyśmy go wzięli odrębnie. Ale kiedy ta sama grupa powraca w akcie piątym, już autor mdleje i nie więcej do poprzedniej charakterystyki osób dodać nie może. Czekałiśmy, ażali ten uwodziciel Roman nie zabłyśnie choć raz jakim rysem wydatniejszym; daremnie: to rozpaczliwa nicłość, manekin wypchany frazesami.

Jakież to ciężkie zadanie aktorów, zmuszonych wlewać życie w tak wąty organizm. A jednak sprawili się oni z całym artyzmem jaki tylko dał się zastosować. Niedziw. Byli tam sami prawie celniejsi: Tatariewicz, Ładnowski i Ostrowski; były panie Niewiarowska i Czaki, tej ostatniej udało się nawet stworzyć wcale miłuchny swojski wizerunek młodej mgzdatki cichój, kochającej a wesolój; były panie

Borkowska i Micińska z wyborym nastrojem komicznym. Nic więc dziwnego, bo to siły wypróbowane. Ale osobna uwaga należy się panie Noiret, która po siedmiomiesięcznym oczekiwaniu otrzymała nareszcie rolę w sztuce nieznaną, ale jakąż rolę! Jój to kazano być tą potworną Elizą, i temu chyba zawdzięczać trzeba, że postać ta zainteresowała. Panna Noiret włożyła w nią całą świeżość duszy młodej i utalentowanej, piękność dykcji, gracyę w poruszeniu, niemałą grę inteligentną; w obec téż takiego traktowania Eliza mogła obudzić zajęcie artystyczne. Szkoda jednak téj pracy, widocznie wzgorywającej do wyższych zadań artystycznych, bo dni utworu są policzone.

Zawiedzeni na scenie, możemy się pocieszyć niespodziewanie świetnym wynikiem konkursu, na cześć którego przez cały miesiąc dmie w surmy prasa peryodyczna bardziej zbliżona do stołu konkursowego. „Albert Wójt“ jako dramat, „Minowski“ jako komedia, według modulacyi sprawozdawczych mają być arcydziełami. Ponieważ druk się już rozpoczął niebawem więc i ogół będzie miał sposobność sądem swym dostroić się do tonu uprzedzającej fanfary. Nikt od nas więcćj cieszyć się nie będzie z pojawu nowych sił w najszlachetniejszym z zawodów literackich, ale oby tylko wrażenie ostateczne dorównało potęgze zapowiedzi.

Przed 15 laty inteligencya warszawska, pragnąc przeszcześcić na nasz grunt świeżo za granicą powstałe „Spółki spożywcze“, założyła pierwsze w kraju tego rodzaju stowarzyszenie p. n. „Merkury“. Było to w 1869 r. Agitacya, jaką w sprawie spółek podnieśli ówczesni ich inicjatorowie, dała takie owoce, że w następnym zaraz roku powstały jeszcze dwa stowarzyszenia — „Zgoda“ w Płocku i „Oszczędność“ w Radomiu. Ale i na tém koniec: ruch ówczesny szerszego koła nie zakreślił. Od tego czasu upłynęło 12 lat zupełnego w dziedzinie spółek spożywczych zastoju, aż oto od 1882 r. zaczynają one wyrastać, jak grzyby po deszczu. W 1882 r. powstaje stowarzyszenie urzędników kolei Nadwiślańskiej w Warszawie, w 1884 r. spółki w Miechowie, Suchedniowie i Łodzi, w 1885 r. w Żyrardowie, Dąbrowie i Zawierciu, w 1886 r. w Pruszkowie, Słupcy, Siedlcach, Kaliszu, Radomiu (urzędników kolei Dąbrowieckiej) i Warszawie (urzędników kolei Warszaw.-Wiedeń.); ostatnie jeszcze formalnie się nie ukonstytuowały. Przed 10 laty liczba uczestników w spółkach spożywczych wynosiła 1,874 osoby z kapitałem 20,448 rs., dziś dosięga 4,600 uczestników z kapitałem do 40,000 rs. Na tak dodatni zwrot wpłynęły dwie okoliczności — wpływ zachęcający trzech najstarszych spółek i pozyskanie ustawy normalnej, za jaką władze rządowe uznały statut urzędników kolei Nadwiśl. w Warszawie, zatwierdzony w d. 17 lipca 1882 r. Ostatnia szczególnie okoliczność wywarła dobroczynny wpływ na dalsze losy spółek w Królestwie, niezmiernie ułatwiając ich rozpowszechnienie, wszystkie bowiem spółki, założone od 1882 r. — oprócz Miechowskiej, rojentalnie zawartej — sko-

rzyszały z ustawy normalnej. Rok ubiegły, znowu upamiętnił się nowym w dziejach tych pożytecznych przedsięwzięć faktem, który zapewne najsilniej oddziała na ich utrwalenie. W d. 7 grudnia 1885 r. zjechali się do Warszawy delegaci wszystkich stowarzyszeń i postanowili zjednoczyć się w jedną „spółkę spółek.“ Zadaniem powstałego w ten sposób związku jest — z jednej strony centralizacja interesów spółek oraz ich pomoc wzajemna, z drugiej ułatwienie nabywania towarów z pierwszej ręki. Zjednoczenie to jest pomysłem jednej z najmłodszych spółek Żyrardowskiej, urzeczywistnione zaś zostało głównie dzięki poparciu, udzielonemu przez spółkę najstarszą — „Merkurego.“ Związek więc urządził swe biuro w kancelaryi „Merkurego,“ tu zgromadził ustawy, sprawozdania, wzory ksiąg i t. d., a jednocześnie na podstawie kontraktu z „Merkurym,“ opracował regulamin handlowy, według którego „Merkury“ ma dostarczać wszystkim spółkom związkowym towarów po cenie kupna hurtowego z doliczeniem 3—5% tytułem komisowego. Nad związkiem czuwa komitet, przez zjazd grudniowy wybrany, którego obowiązkiem jest załatwiać interesy spółek, wygotować wzory ksiąg buchalteryjnych, jednakowe dla wszystkich stowarzyszeń, dopomagać im radą i wskazówkami, a zarazem okazywać wszelką pomoc osobom, pragnącym zakładać stowarzyszenia spożywcze. Wprawdzie spółki spożywcze są drobnymi przedsięwzięciami, rozporządzają skromnym funduszem z udziałów stowarzyszonych, nie mniej przecież opisany powyżej ruch w ich sferze budzi najwyższe zajęcie, jest on bowiem dowodem, że zasada łączności i samopomocy zapuszcza coraz głębsze wpływy na klasy pracujące, że społeczeństwo nasze zaczyna pojmować cnotę drobnych oszczędności. Dziś, mamy 17 spółek, — kto wie jednak, czy za sprawą związku liczba ta wkrótce się nie podwoi, a wówczas będzie to już sieć stowarzyszeń, z którą w każdym razie liczyć się wypadnie.

Najwybitniejszym faktem ekonomicznym ubiegłego miesiąca były, niewątpliwie, narady rolników, zwołane przez tutejszy oddział Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, a głównie przez prezesa oddziału hr. Krasieńskiego, którego inicjatywie zawdzięczamy wytworzenie w Towar. oddzielnej komisji dla interesów ziemiańskich. Wiadomo, iż podczas organizacyi oddziału, silnie był popierany projekt utworzenia w nim, obok wydziałów przemysłowo-handlowych, i specjalnej sekcji rolniej, ostatecznie jednak względy ogólne przeważyły i rolnictwo pozostało w nowej instytucyi bez należnej sobie reprezentacyi. Natomiast, postanowiono załatwiać sprawy, dotyczące gospodarstw naszych, za pośrednictwem bądź „komisji ekspertów,“ bądź ad hoc zwoływanych konferencyj. Tak rzeczy stały do miesiąca marca r. b., w którym oddziałowi przyszło się załatwić z olbrzymim materiałem, zebrany przez ankietę handlowo-rolniczą.

W tém miejscu — słówko wyjaśnienia z powodu owiej ankiety, będącej punktem wyjścia dla wspomnianych wyżej narad marcowych.

W październiku 1884 r. zarząd Towar. przygotował „kwestyonaryusz w przedmiocie stałego obniżania się cen najważniejszych produktów wywozowych kraju,” który następnie w 1,800 egzem. został rozestany właścicielom ziemskim, celem zasięgnięcia fachowej opinii co do źródeł złego i środków naprawy stosunków gospodarczych w Królestwie. Kwestyonaryusz wywołał 65 odpowiedzi, które nadchodziły w czasie od d. 8 listop. 1884 r. do d. 25 sierpnia r. z. Do usystematyzowania w ten sposób zebranego materiału zarząd wyznaczył dwóch sprawozdawców pp. Tadeusza Kowalskiego i Franciszka Olszewskiego, których prace następnie ogłosił drukiem, a na podstawie desideratów, wyrażonych w odpowiedziach, postawił 17 wniosków, pomyślnie rozstrzygnięcie których mogłoby zapewnić gospodarstwu rolnym różnorodną korzyść. Nadto, ponieważ „kwestyonaryusz“ między innymi żądał też wyjaśnienia tak specjalnej kwestyi, jak znaczenie konkurencji zaoceanowej, przeto Towar. wyznaczyło trzeciego jeszcze do tej sprawy referenta, w osobie p. W. Wścieklicy.

Otóż, jak wspomnieliśmy, po zamknięciu czynności przygotowawczych okazała się potrzeba wyprowadzenia z dokonanych badań rezultatów pozytywnych, t. j. takiego uzasadnienia wniosków, ażeby Towar. mogło wystąpić z nimi do właściwej władzy. Zadanie takie poruczone zostało „delegacyi przemysłowo-rolnej,” zwołanej na d. 12 marca r. b. Potem, cośmy dotąd powiedzieli, staje się widocznym, że pierwsze posiedzenia delegacyi mogły być tylko czysto organizacyjne, — i takimi też były w istocie. Zaproszeni, w liczbie 100, na narady właściciele ziemscy ukonstytuowali stałe biuro delegacyi, na którego czele stanęli pp. Ludwik Górski, Adam Goltz i Aleksander Kłobukowski, wysłuchali sprawozdań referentów i postawione przez Towar. wnioski rozebrali pomiędzy siebie do opracowania. Ztąd powstało 17 specjalnych komisyj, po jednej do każdego wniosku, a mianowicie: 1) taryfowa do zaprojektowania korzystnych dla rolnictwa zmian w taryfach kolejowych, 2) handlowa do zbadania ważności portu w Libawie dla handlu zbożowego Królestwa, 3) serwitutowa do wskazania środków, mogących przyspieszyć ostateczne uregulowanie służebności włościańskich, 4) włościańska do oceny znaczenia praktycznego przepisów o niepodzielności gruntów włościańskich, 5) wodna do opracowania ustawy o przyjmowaniu wód, 6) administracyjna do wygotowania przepisów o przysięgłych stróżach polowych i leśnych, 7) szarwarkowa, 8) ubezpieczeń od ognia, 9) ubezpieczeń od gradu, 10) ubezpieczeń inwentarza od księgossuszu, 11) kredytowa do zaprojektowania środków zaopatrzenia rolników w dostępny kapitał obrotowy i amortyzacyjny, 12) stacyi doświadczalnej, 13) podatków gminnych, 14) gorzelnicza, 15) zabezpieczenia losu oficyalistów i służby folwarcznej, 16) spółek handlowych i 17) kwarantanna.

Oprócz tych komisyj szczegółowych, do których weszło po 4—7 członków, delegacya, zawsze kierując się wskazówkami Towarzystwa,

wybrała jeszcze 4 komisje ogólne, z których pierwsza, kolejowa, ma się zająć zbadaniem wpływu dróg żelaznych na produkcję rolną Cesarstwa i na handel zamienny Królestwa z guberniami wewnętrznymi i wschodnimi Rosyi, druga handlu zewnętrznego ma ocenić istotne znaczenie dla rolnictwa krajowego, współzawodnictwa Ameryki, Indyj i Australii, trzecia buchalteryjna do ułożenia metody obliczania kosztów produkcji rolniej i czwarta, ekonomiczna dla zbadania obecnego stanu gospodarstw i wskazania środków, stan ten polepszyć mogących. Przytoczyliśmy tytuły wszystkich komisyj, ażeby dać miarę, jak obszernym jest program czynności delegacji rolniej, mających być ukończonemi na d. 17 czerwca r. b., w którym odbyć się ma drugie z kolei, tym razem już tylko sprawozdawcze zebranie rolników. Przeglądając ten program, istotnie przyznać musimy, że Towarzystwo zawarło w nim wszelkie biedy, trapiące gospodarstwo krajowe. Nieraz zdarzyło się nam słyszeć, już po zamknięciu obrad, że delegacja zanadto formalistycznie potraktowała swoje zadanie, że niepotrzebnie tworzyła 17 godności przewodniczących i sprawozdawców. Taka opozycja *quand même* nie jest u nas nowością, więc też nic dziwnego, że dotknęła i nową delegacją, nam się jednak zdaje, że taki drobiazgowy podział pracy znakomicie ułatwi czynności i przyspieszy ich ukończenie. Zresztą, czyż winą delegacji, że w ciągu ubiegłych lat 20 zebrała się taka masa niezaspokojonych potrzeb rolnictwa, że pozbawione steru, rozbija się ono o tysiące przeszkód zewnętrznych! Wprawdzie Towarzystwo popierania przemysłu i handlu waha się podjąć rzucony ster interesów ziemiańskich, lecz w dzisiejszym stanie się rozproszonych i to już za zasługę poczytać mu należy, że w jaki taki sposób pragnie dalszej rozterce położyć tamę i samych rolników przywołuje do głosu nad wspólnymi potrzebami. Nie przesądzamy rezultatu świeżo podjętej pracy. Być może, że nie odpowiedzą one nadziejom, szczególnie o ile ich dokonanie przechodzi zakres własnej mocy rolników, — ale nie przestaniemy powtarzać, cośmy już raz mówili o oddziale warszawskim Towar. w ogóle, że niezależnie od tych rezultatów, sam fakt możności obradowania nad wspólnymi interesami, w naszych przynajmniej stosunkach, bynajmniej nie jest do pogardzenia. Zapewne, ani oddział, ani tém bardziej delegacja, nie zmieniają ustaw, nie ulepszą warunków bytu ekonomicznego. Co do tego tądzie się niepodobna. Lecz, nie sięgając też tak daleko, ograniczmy na teraz nasze zabiegi, a może z czasem, szczerpie ich koło samo się rozszerzy.

Jednocześnie prawie z rolnikami, w lokalu tegoż Towarzystwa w d. 15 z. m. obradowali młynarze. Był to dalszy ciąg zebrań, zarządzonych przez p. Władysława Przyłubskiego i mających na celu wyjaśnienie pytania, czy, ze względu na trudności w handlu pszenicą na rynkach zagranicznych, nie byłoby możliwem część pszenicy wywozić w postaci mąki? Jakkolwiek pytanie to było postawione na czele

porządku dziennego, uczestnicy jednak zjazdu, zapewne skutkiem liczniejszego udziału producentów zboża, wdali się w przewleklą, a jak się potem okazało, bezcelową dyskusją nad stosunkiem rolnictwa do młynarstwa, powiadamy bezcelową, gdyż mimo analiz chemicznych i względów klimatycznych, właściciele młynów zawyrokowali, że pszenica krajowa do przerobu młynarskiego się nie nadaje. „Gluten,“ „banatka,“ „stosunek wypieku“ były tu głównymi pociskami i głównemi argumentami, około których obracała się parogodzinna, żwawa utarczka rolników i młynarzy. Ostatecznie, obie strony pozostały przy swoim: rolnicy przez usta p. Kowalskiego dowodzili, że gatunków uprawianej pszenicy dla kaprysu młynarzy zmienić nie mogą, młynarze zaś twierdzili, że nowy system mlewa walcowego wyklucza pszenice białe, miękkie, przeważnie u nas hodowane i musi szukać ziarna twardego, szklistego. Nie wchodzimy w rozbiór słuszności tego lub drugiego zdania, zwracamy tylko uwagę na śmiałość, z jaką wygłaszane były na zjeździe wielkie przepowiednie ekonomiczne. Tak, według jednego z przedstawicieli młynarstwa, przyszłość młynów leży w systemie walcowym, gdy więc system ten stanie się panującym, produkcya pszenicy zniknie z powierzchni Europy zachodniej! Wówczas „spichlerzem“ starego świata będą jedynie kraje, mogące uprawiać ziarno szkliste. Słowem, banatka i gluten tak dalece zawróciła głowę młynarzom naszym, że poprostu mówiąc, dogadać się z nimi nie można. Na złagodzenie wszakże wyroku dla pszenicy i ponurych prognostyków młynarzy, pospieszamy zanotować inne jeszcze wrażenie, jakie z obrad drugiego zjazdu wynieśliśmy, — sprzeczności w poglądach młynarzy. Słuchając obszernych wywodów o systemie walcowym i cudownych zaletach glutenu — o którym, przyznajemy szczerze, niewiele miało dokładne pojęcie — gotowiśmy byli uwierzyć, że w istocie godziny naszej pszenicy są już policzone, aż tu naraz, z ust tychże samych zwolenników szklistego ziarna dowiadujemy się, iż na rynkach zagranicznych mąka nasza może liczyć na szeroki zbyt, lecz tylko mąka delikatna, biała, z pszenicy miękkiej. Jedynie chaosowi pojęć panującemu w kole uczestników zjazdu, przypisać należy, że sprzeczność ta nie została ujawniona, że nie wydobyto jej na wierzch dyskusyi.

Tak więc druga konferencya młynarska znowu stanęła w połowie zasadniczego pytania, dla rozstrzygnięcia którego wyznaczono trzecie zebranie na d. 10 czerwca r. b. W przerwie zaś dwumiesięcznej, przed tym terminem, ma funkcyonować komisya, przez zjazd wybrana, dla opracowania projektu giełdy produktowej w Warszawie, uzasadnienia petycyi o zniesienie cła od worków i dla obmyślenia sposobów obniżki wysokich dziś opłat asekuracyi ogniowej.

Rocznik I-y Towarzystwa ogrodniczego, za rok 1885, zaznajamia czytelników z rozwojem i czynnościami tej instytucyi. Z końcem r. z. liczyło towarzystwo członków: założycieli 24, rzeczywistych dożywotnich 44, korespondentów 20, honorowych 1. Ogólnych zebrań od-

było się 12; wystawa urządzona staraniem zarządu towarzystwa, kosztowała rs. 9,927, a że przyniosła dochodu 9,951 kop. 17, osiągnięto więc przewyżki rs. 25 kop. 16. Projekt budżetu na r. 1886 przewiduje dochodu 4,847 i prawie tyleż rozchodu, rezerwując tylko rs. 150 na nieprzewidziane wydatki i rs. 135, na powiększenie kapitału zapasowego. Odczytów dla członków towarzystwa wygłosili 6 pp. J. Boguski, E. Jankowski, P. Hozer, A. Ślusarski i N. Markiewicz. Biblioteka liczy tomów 174, a na powiększenie jej proponowaną jest w budżecie suma rs. 400. Oprócz szczegółowego sprawozdania z funduszków i czynności Towarzystwa czytamy w Roczniku dwie prace, mianowicie: p. E. Jankowskiego. „Obecny stan ogrodnictwa w Królestwie i Cesarstwie; i p. J. Kaczyńskiego: „Produkcyja warzyw pod Warszawą na Woli i Czystem.“

Świeżo ogół nasz warszawski zainteresowała kwestya lecznic publicznych, podniesiona w broszurze d-ra Kadlera. Lekarz ten oświadcza się bardzo stanowczo przeciw istnieniu tych zakładów, uważając je raczej za szkodliwe niż pożyteczne, tak dla publiczności jako i dla ogółu lekarzy. Spadliśmy jak z nieba: bo cóż wydawać się mogło pożyteczniejszém niż instytucya, gdzie za 25 kopiejek można otrzymać poradę i pomoc w sprawie tak ważnej jak zdrowie. Tymczasem pięknych o tém dowiadujemy się rzeczy. Dr. Kadler nieprzychylny swój wyrok motywuje tém: że w lecznicach, z powodu wielkiej liczby chorych a krótkości czasu, rady udzielają się pobieżnie, a więc ze szkodą pacyenta; że lekarz, działający nie pod własnym nazwiskiem, ale pod osłoną firmy, mniej czuje się odpowiedzialnym, a łatwiej przeto choroego naraża na zawód; że wreszcie cały materyał naukowy ginie w lecznicach, które nie notują obserwacyi i sprawy żadnej naukowój nie zdają. Co gorsza, lecznice służą za narzędzia już to malwersacyi, już reklamy. Są one założone właściwie dla ubogich, tymczasem pod tych ubogich podszywają się i zamożni, którzy tym sposobem oszczędzają to, co musieliby ofiarować lekarzowi przyzwanemu do domu, albo nawet, przez wstyd, w jego własnym mieszkaniu; z drugiej zaś strony lekarz lecznicowy, mając przed sobą zamożniejszego pacyenta, usiłuje przeciągnąć go do domu, licząc na korzystniejszy zarobek. Niedosyć na tém, ubodzy, nęceni niską ceną porady, łudzą się tylko; bo mieszkając zwykle na krańcach miasta, opodal od lecznic, nagromadzonych w jego środku, a przytém godzinami wyczekując na spóźniających się ordynatorów, tracą czas wartujący więcej niż to, co oszczędzą na wynagrodzeniu lekarza. Wreszcie i ta oszczędność jest, tylko pozorną, gdyż według zapewnienia d-ra Kadlera, „każdy chory bez względu na stan majątkowy, może zasięgać rady w mieszkaniu lekarza, za wynagrodzeniem stosowném do możności, lub bez wynagrodzenia.

Gdyby tak wszystko było, jak mówi autor broszury, a mówi on z mocnym przekonaniem i odwagą, to lecznice stauowałyby tylko ży-

wioł konkurencyjny, zajmowałyby stanowisko niegodne tego charakteru kapłaństwa, jaki społeczność nawykła widzieć w lekarzu; byłyby to miejsca dogodne tylko dla tych, którzy mając fundusz dostateczny dla poratowania zdrowia, woleliby sprawić to za dwa złote niż za rubla, bez nieprzyzwoitości. Słowem, z broszury wynikałoby, że lecznice warszawskie są tylko błagą, przysługującą sprawom zgoła nie naukowym i nie filantropijnym.

Ale usłyszeliśmy dotąd jedną tylko stronę, stronę zarzutów. Prasa peryodyczna, lubo w ogólności stara się doniosłość tych zarzutów osłabić, ale chwieje się w sądzie. I nic dziwnego. Lecznice, jako instytucje, przedstawiają się nietylko ze strony społecznej, ale i ze strony specjalno-lekarskiej. Musimy więc poczekać przemówienia strony oskarżonej; wszak ona ma swój organ w czasopismach lekarskich, a wreszcie i wszystkie inne stoją jęj otworem. Dotąd jednak, to jest do drugiej połowy marca, nic jeszcze nie przemówiła.

WIADOMOŚCI BIBLIOGRAFICZNE.

W Krakowie wyszło dziełko prof. Jerzego dr. Mycielskiego pod tyt. „Porwana z klasztoru.“ Kartka z dziejów obyczajowych (zapewne sz. profesor chciał powiedzieć: z historii obyczajów. *Red.*) Polski XVII-go wieku. Kraków, 1886, str. 220.—W zeszycie sierpniowym 1885 r., str. 317, podała Bibl. Warsz. krótką wzmiankę o rozprawie, którą prof. Mycielski czytał na jedném z posiedzeń Akademii um. w miesiącu lipcu, „O procesie przeciwko Aleks. Koniecpolskiemu, z powodu porwania przez niego panien Dembińskich z klasztoru.“ W zesz. wrześniowym 1885 r. str. 472, podała Bibl. całą osnovę przedmiotu, przedstawionego w „Przeglądzie polskim,“ tak, że z powodu książki, która na tym gruncie powstała, nie mamy wiele nowego do powiedzenia, nadmieniamy tylko, że fakt sam nie zasługiwał na tyle zachodu, jaki widzimy w tém nader szczegółowém studyum, które, przekraczając w wielu razach granice danego tematu, łączy z nim kwestye postronne i amplifikuje zanadto przedmiot charakterystyczny wprawdzie pod względem obyczajów; ale nie mogący rościć sobie pretensyi do znaczenia faktu historycznego. Szan. autor, zajmwszy się przedmiotem, przecenił jego doniosłość historyczną i przedstawia go czasem w szacie zbyt poważnej. Czytamy np. na str. 200: „Nadszedł był bowiem w końcu złowrogi dla bohatera opowieści naszój dzień 18 marca 1615 r., w którym dlań ostatni ów termin, po ostatniej wyznaczony arrestacji, upływał. Stanęli przed sądem“ i t. d. Zakrawa to na: Venit illud ineluctabile tempus—fatum! Cały I-y rozdział nie licuje z przedmiotem. Styl książki nie nastęrcza w ogólności powodu do zarzutów donioślejszych z wyjątkiem tych miejsc, gdzie autor olśniony wielkością swojego tematu, z pewną afektcyą stroni od szyku wyrazów naturalnego w zdaniach, które w polskim języku nie od słowa, nie od orzeczenia, ale od podmiotu, od subjektu rozpoczynać się zwykły. Str. 31 na początku: „Zmieniać począł skład swój i fizyognomią prześwietny senat korony Rzeczypospolitój polskiej, na rozdrożu XVI-go i XVII-go stulecia“ — zamiast: Senat Rzpltej polskiej w chwili przeję-

ścia z XVI-go do XVII-go wieku poczynął zmieniać skład swój, (rzecz naturalna, bo i senatorowie się postarzel i wielu pomarło)—i fizyognomią i t. d.

Dr. Albert Zipper wydał we Lwowie studjum literackie p. t. „Franciszek Grillparzer,“ (Życie i dzieła) z pięknym stalorytowym portretem poety i z dedykacją J. I. Kraszewskiemu (1886, str. 96, rub. 1,50). Jestto przeważnie życiorys, trzymany od początku do końca w tonie mocno panegirycznym. I dla poety i dla dzieł jego ma autor same prawie słowa zachwytu, podług niego bowiem „obywatel austriacki staje obok klasyków wejmarskich, a opiera prawo swoje do miejsca w poczcie tych koryfuszów literatury niemieckiej na wzniosłości pojęć estetycznych, i surowości wymagań swych od poezyi, na wzorowem wykończeniu znakomitych postaci, które wyobraźnia i sztuka jego wyciosały, na długim szeregu doskonałych dzieł, na których stworzenie dnie i noce żywota się złożyły. Ktokolwiek wstępuje do świątyni jego muzy, tego owiewa odrazu czyste technienie olimpijskiego eteru i poznaje natychmiast czar żywiołu niebiańskiego...“ Takie jest credo p. Zippera odnośnie do autora „Matki Rodu,“ szkoda tylko, że nie poparte odpowiednimi argumentami; podana bowiem treść utworów ważniejszych bez analizy krytycznej, jest niedostateczną do rozbudzenia w czytelnikach tej wiary w geniusz Grillparzera, jaką p. Z. jest przejęty. Nie zaprzeczamy bynajmniej temu pisarzowi stanowiska poważnego w literaturze niemieckiej, sądzymy jednak, że je p. Z. trochę przecenił. O „Ahnfrau“ mówi: „Sypie tam poczyna prawdziwe klejnoty, tryska z każdego słowa ognista wyobrażenia i ogniste serce, ale najwyższy podziw wzbudza spokojna pewność techniki“ (str. 22). W „Safonie“ poeta wykazał „głębką znajomość sceny,“ „monologi oświecone najwznioślejszą poezją w słowach i obrazach,“ „charaktery, dosięgające wyżyny, do jakiej tylko przedmiot taki dorosć zdoła“ (str. 30). „Złote runo“ jest podług autora „kreacją olbrzymią, jedną z największych w piśmiennictwie niemieckim,“ a wobec bohaterki tego utworu Medei „znikają wszystkie postacie poetów starożytnych i nowożytnych nawet Eurypidesa i Corneill'a,“ a i inne postacie „stoją godnie obok tej Medei“ (46). „Króla Ottokara szczęście i koniec“ jest to „dramat w całej pełni znaczenia,“ jest to „tragedya pod każdym względem znakomita“ (50). „Ein treuer Diener seines Herrn“ jest znów „najoryginalniejszym dramatem Grillparzera“ (6). „Morza i miłości fale,“ to tragedia precudowna, „w której nie wiedzieć co najwięcej podziwiać: czy twórczość wyobraźni, czy wzniosłość uczucia, czy znajomość tajników serca, czy świeżość, wonną rosę poezyi“ (65). Nowelka „Iris“ „należy do klejnotów literatury“ (84); „Wasń bratnią w rodzinie Habsburgów“ uważa znów autor za dzieło „jedno z największych i najoryginalniejszych,“ „mistrzowskim i godnym podziwienia po wszystkie czasy, jest przeprowadzenie arcytrudnego charakteru starca dziwaka na tronie,“ a „śmiały charakter Ra-

cheli (w Żydówce z Toledo) należy do najtrudniejszych zadań, których geniusz poety szczęśliwie dokonał“ (90). Takie ekstazy spełniają pracę p. Z., która z drugiej strony przedstawia dość barwnie samą postać poety, jako człowieka i dla tego rzecz tę przeczytać można z zajęciem i z pożytkiem: szkoda tylko, że język często wadliwy. Oto próbki; „Ponurość i bezkształtność (?) lat dziecinnych“ (6), „posiada też wszystkie cechujące budowle ówczesne wady“ (6), „Męczennicy tak dalece rozпалиły go“ (8), „Wakacje te omal życiem nie przypląciły“ (14); „Szukał z a pamiątkami“ (41), „szukał za bohaterem“ (48), „dramatyk nadworny“, „dyrektor cytował go przed siebie“ (44); „Ogólne wrażenie nie można było nazwać zadawalniającym“ (65) i tamże „z reguły Grillparzer tworzył z żywej intuicji a nie środkami refleksyi“ (?), „arbitralne rubryki“, „kaustyczne epigramy“, „preparowana strawa“ (81), „już wcale dopiero po śmierci“ (90), „piątrze“ i w. innych. Wydanie książki ładne.

Nakładem Redakcyi Biblioteki Umiejętności Prawnych, wyszła bardzo cenna praca ekonomiczna p. J. Kirsztrot-Prawnickiego pod tyt. „Kredyt włościański.“ (Warsz. 1886. str. 91), zawierająca treść następującą: 1) Wytwórczość wielkiej i małej własności ziemskiej. 2) Kredyt indemnizacyjny. 3) Podzielność gruntów włościańskich. 4) Nabywanie ziemi przez włościan. 5) Bank włościański w Cesarstwie. 6) Hypoteka włościańska. 7) Kredyt hipoteczny. 8) Projekty Tow. kredytowego ziemskiego. 9) Galicyjski zakład kredytowy włościański. 10) Bank włościański w Poznaniu. 11) Kasy pożyczkowe systemu Schulze-Delitsch. 12) Gminne kasy pożyczkowo-wkładowe. XIII. Kasy pożyczkowe systemu Raiffeisena. Przy rozbiorze kwestyi kredytu włościańskiego, któryśmy drukowali w zeszycie styczniowym Bibl. Warsz. w artykule „Z ekonomiki“ mieli czytelnicy Bibl. Warsz. sposobność obznajmienia się z tą sprawą. Pracę p. J. Kirsztrot-Prawnickiego uważać trzeba za ważny przyczynek do wszechstronnego rozjaśnienia tego przedmiotu.

W tomie 8-ym, wydanym przez Komisją archeograficzną „Rosyjskiej Biblioteki historycznej“ (Petersburg, 1884), spotykamy dużo ciekawego materiału historycznego do epoki samozwańców, przedstawiającego szczegółowy obraz stanu W. ks. moskiewskiego w tych czasach. Oprócz tego znajdujemy tam także ważne dokumenta do dziejów Rusi zadnieprskiej. Ostatnie numera zawierają akta poselskie dworzanina carskiego Iwana Żelabużskiego, wyprawionego w r. 1657 do Jerzego II Rakoczego, księcia siedmiogrodzkiego i do pułkownika kozackiego, Antoniego Zdanowicza,—rzucające jasne światło na ostatni rok życia i działalność Bohdana Chmielnickiego, na jego stosunki z ks. Siedmiogrodzkim i wspólne ich zamiary z W. ks. moskiewskiem i z Chmielnickim względem szarpanej wówczas na wszystkie strony Rzpłtćj polskiej. Do dziejów owego niespodziewanego najazdu Rako-

czego i wiążących się z tą wyprawą siedmiogrodzką kwestyi (wybór następujący za życia Jana Kazimierza) jest to przyczynek bardzo pożądany.

Już od kilku lat spotykamy się coraz częściej w literaturze rosyjskiej z dziełami poważnej nauki, poświęconemi dziejom prowincyi nadbałtyckich, któremi dotychczas zajmowali się prawie wyłącznie uczeni niemieccy. Autorami są zwykle uczeni pochodzenia łotewskiego, wychowani w uniwersytetach rosyjskich. Ze względu na ważność kwestyi i dla naszych dziejów, korzystając z relacji „Przeгляdu powszechnego“ (Kraków, grudzień, 1885), zwracamy uwagę czytelników na 2 następujące studia, oparte na źródłach i na gruntownej znajomości swego przedmiotu, mianowicie:

1) Truwnan: „Zaprowadzenie chrześcijaństwa w Inflantach.“ Petersburg, 1884, str. 542. Znajdujemy tu szczegółowy obraz etnografii i religii fińskich Estów, autochtonów prowincyi nadbałtyckich, oraz ludów grupy łotewskiej (litwinów i łotyszów) przed przyjęciem chrześcijaństwa; dalej czytamy opis stosunków krajowców ze Wschodem i Zachodem do w. XIII-go, wzmianka o przybyciu Niemców nad dolną Dźwinę, o rozwoju wewnętrznym ludności miejscowej pod wpływem chrześcijaństwa, niemniej i o stosunkach książąt ruskich z prowincjami nadbałtyckimi, które nastęrczyły później powód do wojen, które Polska prowadzić musiała z W. ks. moskiewskim.

2) Forsten: „Walka o panowanie na morzu Bałtyckiem w XV-ym i XVI-ym wieku.“ Petersburg, 1884, str. 619. Dzieło Forstena, przedstawiający przegląd krytyczny wydawnictw źródłowych, jako też i studyów, mających związek z historią ziem niegdyś zakonnych, zajmuje się głównie sprawami Hanzy i losem wybrzeży bałtyckich od czasów najdawniejszych do początków w. XVI-go, nie dosięga zatem jeszcze ognia właściwej walki, która rzeczywiście rozpoczyna się dopiero z chwilą wniieszenia się Polski w sprawę inflanckie w roku 1557.

Materyały do historii gub. Podolskiej. (1792 do 1796). W dodatkach do „Podolskich Gubernskich Wiedom.“ z roku zeszłego 1885 wydrukowane zostały akta do historii Podola z lat 1792—1796. Całość, obecnie ukończona, stanowi zbiór materyałów, ciekawych jako dotyczących organizacji i nowo wprowadzonych urzędzeń po drugim rozbiorze Polski. Szereg ukazów, rozporządzeń, korespondencji władz i t. d., rozpoczyna reskrypt cesarzowej Katarzyny II (8 grudnia 1791) do generała Kreczetnikowa, zamianowanego generał-gubernatorem. Instrukcje, spisane w tym reskrypcie, równie jak i w dalszych ukazach, dotyczą nowo wprowadzonych reform, rozporządzenia zaś i rozkazy samego Kreczetnikowa zawierają wiele szczegółów nadzwyczaj ciekawych co do zarządu prowincyi i spraw administracyi. Z czasów zaś generał-gubernatorstwa Tutołmina (1792—1796), znajdujemy tu sporo dokumentów do spraw religijnych i politycznych, również cieka-

we szczegóły w sprawie dóbr koronnych (starostw), majątków konfiskowanych lub zwracanych właścicielom, dóbr oddawanych prywatnych w opiekę i t. d. W ogóle wszystkich aktów jest 137, które stanowią pierwszorzędny materiał do historii Podola w danej epoce, uzupełniają nagromadzone akta w 43 i dalszych tomach „Połn. sobr. rus. zakonow.“ Materiały, wydane w powyższej publikacji, dostarczone zostały w części przez dr. A. I. Rollego, w części zaś wzięte z archiwum kancelaryi gubernatorskiej.

Znany sławista Fr. Miklosich wydał w zeszłym miesiącu „Słownik etymologiczny języków słowiańskich“ (Etymologisches Wörterbuch der slavischen Sprachen—Wien 1886, 8 większa, str. VIII i 547). W przedmowie wyłuszcza autor powody, dla których się nie trzyma nowszych teoryj, dotyczących wokalizmu indo-europejskiego. Po słowniku następują jeszcze dopełnienia i sprostowania (str. 414—432) a potem „Index,“ zawierający te wyrazy, których w nagłówkach nie ma, a wyszukanie ich sprawia pewne trudności. Zamykają dzieła skrócenia (pierwsze w swym rodzaju w literaturze gramatycznej słowiańskiej), podane na ostatnich dwu stronicach.

N e k r o l o g i a.

— † Dnia 25-go lutego 1886 r. umarł po krótkich cierpieniach w dobrach swoich Pojeziory w gub. suwałkowskiej ś. p. **Zygmunt Gawroński**, jeden z zasłużonych ziemian-obywateli w 69-ym roku życia. Ś. p. Zygmunt urodził się w r. 1816-ym w augustowskim. Po ukończeniu szkół warszawskich, syn zamożnych rodziców, udał się za granicę i w Niemczech odbywał studia na polu nauk społecznych i agronomicznych. Powróciwszy do kraju osiadł w rozległych dobrach, gdzie jako obywatel i rolnik rozwinął szeroką działalność na polu podniesienia racjonalnego gospodarstwa w okolicy i w sprawie regulowania stosunków włościańskich. W epoce tej był współpracownikiem Towarzystwa naukowego krakowskiego i korespondentem do „Gazety rolniczej“ za redakcyi Mieczyńskiego. Zdobywszy sobie przez wybitną działalność obywatelską zaufanie ziemian, wybrany został na prezesa Zebrania wyborczego do władz Tow. kredytowego ziemskiego w Król. Polskiem w oddziale suwałkowskim w r. 1864-ym, a niebawem powołany na radcę komitetu tegoż Towarzystwa (1876—1880). W r. 1880-ym został wybrany jednomyślnie na Członka-redaktora „Biblioteki Warszawskiej“, której prace wspierał gorliwie jako szlachetny mecenas. Obok tych zajęć nie spuszczał z oka stosunków włościańskich i uczynków miłosiernych, z których słynął w okolicy. Dla uczczenia tych zasług obywatelskich, zjechali się też tłumnie obywatele i duchowieństwo z augustowskiego i ze Żmudzi w dniu 2-go marca do pałacu w Pojeziorych na pogrzeb uroczysty, któremu przewodniczył ks. sufragan Hollak do grobów familjnych w Olesinie w obec mnóstwa ludu okolicznego. Ś. p. Zygmunt był mężem szlachetnego serca i podniosłego obywatelskiego ducha: śmierć jego uważać trzeba za dotkliwą stratę dla społeczeństwa polskiego. Cześć jego pamięci!

— † Dnia 31 marca o godzinie 7¹/₂ rano 1886 r. w Villepreux pod Paryżem umarł **Józef Bohdan Zaleski**, ostania świetna gwiazda epoki poezyi mickiewiczowskiej. Odbierając w ostatniej chwili zamknięcia zeszytu tę smutną wiadomość musimy tymczasem poprzestać na wynurzeniu żalu serdecznego po stracie tak bolesnej, którą całe społeczeństwo polskie odczuje. Ś. p. Bohdan Z. urodził się dnia 14-go lutego 1802 r. na Ukrainie nad Rosią i Rosową na po-

graniczu stepów i legendowych mogił ukraińskich we wsi Bohaterce w gub. kijowskiej. Nauki szkolne pobierał w Humaniu razem z Goszczyńskim, Grozą, Grabowskim M. i i. W r. 1819 wystąpił poraz pierwszy w „Dzienniku wileńskim“ z wierszem według szkoły klasycznej pod tyt: „Do Pirry.“ W r. 1820 wszedł do uniwersytetu warszawskiego, gdzie nowy ruch w literaturze (K. Brodziński) pociągnął za sobą Zaleskiego. Przez czas niejaki trudnił się potem nauczaniem prywatném, domowém w kilku możnych rodzinach, (Górskich, Szembeków), mieszkając to w mieście to na prowincyi. Od r. 1822 pojawiały się coraz częściej jego utwory poetyczne („w Pamiętniku warszawskim“ i w „Melitele“ jak „Nieszczęśliwa rodzina,“ balada „Lubor,“—„Dumka hetmana Kosińskiego,“ „Rusałki,“ w których Zaleski uwydatnił w języku polskim tyle pieściwości i tyle wdzięku, że sobie na miano „słowika ukraińskiego“ zasłużył. Zamieszkawszy po r. 1831-ym w Paryżu a następnie na resztę żywota pod Paryżem, w ustronnym domku, wśród rodziny, otoczony czcią rodaków stał nieporuszony wiernie przy sztandarze tradycyi narodowych, głuchy na pokusy Towiańczyków nawet Mickiewicza, chociaż prądów ówczesnego mistycyzmu i mesyanizmu zupełnie nie uniknął („Zgryzota i łaska“—„Przenajświętsza rodzina“). W r. 1862 wyszedł większych rozmiarów poemat epiczno-liryczny Zaleskiego: „Duch od stepu.“ Z wydań poezyi Zaleskiego (Paryż 1841. Poznań 1842, 2 tomy. Petersburg 4 tomy 1851), najkompletniejsze lwowskie: Wydanie zbiorowe, przejrzone przez autora w 4 tomach we Lwowie 1877, nakł. Gubrynowicza i Schmidta. Nuta poważna, religijna zajmowała u Z. z postępem wieku miejsce dawniejszych „szumek, dumek i rusałek“—i dolatywała nas rzewna zawsze, chociaż rzadko. Cześć pamięci szlachetnego obywatela-poety!

Redakcja Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca J. K. Plebański.